

Mazarine Pingeot

Wpadki i wypadki Joséphine F.

Powieść polecana
przez Nieformalne Stowarzyszenie
Miłośników Dobrego Humoru



Mazarine Pingeot

*Wpadki
i wypadki
Josephine F.*

Przełożył
Paweł Łapiński

WYDAWNICTWO LITERACKIE

*Dla Oliviera,
towarzysza przeprawy*

„Przecież celem życia człowieka nie jest prawidłowe zrozumienie innych ludzi. Życie polega na rozumieniu ludzi opacznie, nie raz, i nie dwa, i nie sto, aż w końcu, po głębokim namyśle, znów zrozumiemy ich opacznie. Po tym właśnie poznajemy, że żyjemy: że się mylimy. Może najlepiej byłoby machnąć ręką na słuszne i niesłuszne rozumienie innych ludzi i spokojnie dryfować z prądem życia”.

PHILIP ROTH, *AMERYKAŃSKA SIELANKA*, TŁUM. JOLANTA KOZAK

„Wciąż na białej linii,
wciąż na białej linii,
wciąż na białej linii,
wciąż na białej linii”

BASHUNG, *WCIAŻ NA BIAŁEJ LINII*

DZIEŃ 1

Charlotte G., czyli powołanie zduszone w zarodku

Szósta rano. Budzę się zaniepokojona jak we wszystkie parzyste piątki od ośmiu miesięcy, kiedy dzieci mają spędzać weekend u swojego ojca. I jak w każdy wtorek, „jego jedyny wieczór w tygodniu”. Jak w gruncie rzeczy we wszystkie poranki, odkąd jesteśmy w separacji – José nigdy nie był w moim życiu tak bardzo obecny jak teraz, gdy nie żyjemy już razem.

Nie wiem, czy cieszyć się, czy nie ze słońca prześwitującego zza firanek – z pewnością spotkało mnie kiedyś coś dobrego, ale kiedy? Nie pamiętam już, co mi się śniło, wiem tylko, że coś nieprzyjemnego, i poczucie niepokoju, które pozostawił ten sen, może mi towarzyszyć cały dzień. Nie wyleguję się w łóżku, nie przyniosłoby mi to nic dobrego.

Korzystając z godziny spokoju przed pobudką chłopców, zaglądam do skrzynki mailowej z nieustającą nadzieją: pewnego dnia znajdę tam wiadomość, która mogłaby wszystko zmienić. Miłosne wyznanie napisane doskonale poprawnym językiem przez jakiegoś nieznajomego (bo nie wiem, kto inny mógłby to być) albo ewentualnie informację (która nie byłaby s p a m e m) o wygraniu miliona dolarów. Jestem wystarczająco głupia, żeby optować za pierwszą wersją, mimo że ta druga rozwiązałaby dziś konkretny problem, a pierwsza tylko przysporzyłaby mi nowych. Tymczasem tego ranka, jak we wszystkie inne, czeka na mnie wiadomość od José. No przecież! To o ten niepokój chodziło po przebudzeniu. „Zdawało mi się, że według naszych ustaleń to ty zawozisz dzieci na dworzec przed wyjazdem na ferie wielkanocne, zgodnie z przyzwyczajeniami chłopców”. Dokładnie. José nigdy nie korzystał ze swoimi synami z pociągu, autobusu ani metra, czyli żadnego ze środków komunikacji publicznej, co pomnożone przez liczbę dwojga dzieci sytuuje się gdzieś między dziewiątym i ósmym kręgiem Piekła Dantego. José ma inne zalety, jest na przykład bardzo przystojny. I prawdziwy z niego majsterkowicz. Jest także przeraźliwie inteligentny, więc również perwersyjny. Oto dowód: „Nie rozumiem, co miałaś na myśli, pisząc, że

swoje wyjście na salon literacki zaplanowałaś w przekonaniu, że dzieci będą wtedy ze mną. Tak się składa, że to jedyny weekend w czasie ferii, kiedy mogłabyś je zobaczyć. Nie chcę tu bynajmniej mieszać się do twoich priorytetów”. Wzbiera we mnie gniew. José postanowił grać rolę odpowiedzialnego ojca – co powinno brzmieć jak pleonazm, ale w jego przypadku nabiera rangi wyczynu. Z biegiem czasu stałam się prawdziwą specjalistką od specyficznego języka mojego byłego męża: „odpowiedzialny ojciec” oznacza w rzeczywistości, że postanowił przyłapać mnie na błędzie. Odpisuję mu od razu: „No i słusznie, nie mieszać się do moich priorytetów. Zdaje mi się, że zajmowałam się dziećmi dzień i noc przez dziewięć lat, bo ty potrzebowałeś ciszy do pisania (co pisałeś, tego się nigdy nie dowiem), co miało niby usprawiedliwiać twoje kursowanie w tę i z powrotem do Portugalii, ale widzę, że nie mogę liczyć na rewanż, co szczerze mówiąc, było podstawową regułą naszego związku i najwyraźniej także czekającego nas, rodziców, życia w separacji”. Wiadomość wysłana. Jeżeli José nie odpowie w przeciągu najbliższych dziesięciu minut, będzie to zły znak. Pysznic i dwa papierosy później wciąż brak odpowiedzi. Mam przecucie, że nie skończyliśmy tej dyskusji i że nigdy jej nie skończymy.

Moi synowie jeszcze śpią, a ja naprawdę chciałabym, żeby już się obudzili, wtedy nie byłabym sama ze swoimi rozmyślaniami. Szukam sobie jakiejś roboty, żeby otrząsnąć się z tego niepokoju, ale niestety posprzątałam już wszystko wczoraj wieczorem. Pozostaje przygotowanie śniadania, do czego zabieram się z zapalem: wstawiam czajnik z wodą, wyciskam dwie ostatnie pomarańcze na sok, który zamierzam wypić jeszcze przed pobudką moich synów – oni i tak wolą sok z butelki. Wyjmując dzbanek do herbaty z szafki nad zmywarką, zrzucam miseczkę, która nie powinna tam stać. Poznaję po kawałkach gliny, że to prezent, który dostałam od Adriena na Dzień Matki. Na paluszkach zmiotam kawałki miseczki, ale Adrien i tak się obudził: zapewne rozpoznał rozpaczliwy dźwięk, jaki wydało jego arcydzieło... Tak czy inaczej, zostaje nakryta na gorącym uczynku. Adrien staje przede mną. Zawstydzona podnoszę na niego wzrok, szukając jakiejś wymówki – w konfrontacji z jego zrezygnowaną miną nic nie przychodzi mi do głowy. Decyduję się więc na smutne przyznanie się do winy: „Przykro mi, kochanie, wybacz,

proszę. Miseczka źle stała, spadła, kiedy otworzyłam drzwiczki”. W kąciku oka połyskuje mu łza. „Spróbuję ją posklejać”, proponuję nieprzekonująco.

Syn podchodzi bez słowa i opiera się o mnie buzią spuchniętą jeszcze od snu. „Tata to by jej nigdy nie rozbił”. Przeczesałam mu włosy, skruszona i odrobinę rozdrażniona, rozpoznając w wypowiedzi mojego syna słowa jego ojca, bo tak właśnie powiedziała by José. Ewakuuję Adriena z miejsca zbrodni, wypychając go z kuchni, w kierunku salonu, i obiecuję dziecku jakiś podarunek w ramach przeprosin za to, że potłukłam jego prezent. Ale to nie wystarcza. Tak mi się przynajmniej wydaje, dopóki nie pada z jego strony roszczeniowe: „paczka kart z Pokemonami”. Mam sobie za złe, że tak łatwo dałam się zaszantażować, zanim jeszcze w ogóle mój syn na to wpadł. Ale, złapana w pułapkę, zgadzam się.

Sadzam go za niskim stołem i podaję ciepłą czekoladę. Dołącza do nas jego młodszy brat. Zbywamy milczeniem incydent, który małego z pewnością by ucieszył – sam zapomniał w tym roku o Dniu Matki i przez to bardzo się zamartwiał. Włączam radio i wszyscy troje przeżuujemy sobie grzanki z masłem, w duchocie pomieszczenia rozgrzanego przez promienie słońca muskające kafle jak szklarnia. Po zakończonym śniadaniu zbieram miseczki, chowam masło, przecieram stół i kończę nasz codzienny poranny rytuał – stawiam kropkę nad i, naciskając guzik zmywarki. Ta wydaje z siebie dziwne kasznięcie, po czym staje, nie rozpoczynając nawet pracy. Próbuje raz jeszcze, naciskam na wszystkie guziki jeden po drugim, bez skutku.

Oslupienie. Porażka. Maszyna była już dwa razy naprawiana w poprzednim miesiącu. Serwisant zapowiedział, że śmierć zmywarki będzie szybka i bezbolesna. A co robimy, kiedy ktoś zapowiada nam czyjaś śmierć? Oczywiście nie wierzymy w to do tego stopnia, że zapominamy się pożegnać, wypieramy nieuchronność katastrofy, krzyżując palce za plecami, żeby tylko nie nadeszła. No i proszę – od samego rana porażka zarówno na polu wyparcia, jak i AGD. Będzie trzeba wymienić sprzęt, a ja jestem bez grosza. Najbliższa wypłata z uniwerku jest już zagospodarowana na zaległe rachunki i nadchodzące wydatki. Niech mnie ten grat nie zostawia w takiej chwili, kiedy nie czekał na mnie z rana żaden zbawienny mail, a ja powinnam życzyć sobie wygrania miliona dolarów zamiast marnego wyznania miłosnego, nawet jeżeli jest pozbawione błędów ortograficznych. Być może to ono przyniosłoby mi szczęście.

Zrezygnowana, z całej siły kopię w maszynę, nie zapominając o radach José: zawsze być u władzy, a w przypadku porażki mścić się. Oceniając po bólu, jaki mnie przeszywa, musiałam sobie złamać mały palec. Zmywarce dla odmiany nawet brew nie drgnęła. A ja kuleję sobie pośród resztek miseczki od Adriena, miotając tyradę pod adresem Boscha, którego nazwisko naprawdę brzmi niefortunnie, biorąc pod uwagę historię XX wieku.

Adrien i Gabriel obserwują mnie pełni troski, stojąc w drzwiach – wiedzą o mojej alergii na zmywanie. „Mamo, jak sobie teraz poradzisz?” „Wyjdźcie stąd i zaczynajcie się zbierać”, zarządzam zbyt ostrym tonem, upokorzona przez tę katastrofalną scenę. Moi synowie, trochę zaskoczeni, decydują się jednak posłuchać i znikają. No właśnie, jak ja sobie teraz poradzę? Najrozsądniej byłoby wymóc na José, żeby przelał mi wreszcie alimenty za sześć ostatnich miesięcy, czego odmawia. Ale to wiąże się z ryzykiem wysłuchiwania po raz kolejny, że „wyrzuciłam go za drzwi, prosto na ulicę, zostawiłam na bruku” i że powinnam się wstydzić prosić go jeszcze o cokolwiek. Czy znajdę na to siłę? Osuwam się na podłogę, opierając plecami o lodówkę (ta jeszcze służy mi wiernie), ze (zbyt suchymi) włosami opadającymi na twarz. Po chwili biorę się w garść: Nie. Nie będę jedną z tych kobiet, które poddają się przez byle przeszkodę, potrzebujących wsparcia, kiedy tylko maszyny odmawiają wypełniania swoich obowiązków (polegających mianowicie na działaniu), nie ustąpię przed technicznymi kaprysmi, przed buntem rzeczy, przed uporczywym psuciem się bojlerów, kiedy tylko padają zapowiedzi zimy stulecia, przed toaletą, zatykającą się akurat w D-Day, kiedy startują wyprzedaże, i pożerającą ostatnie oszczędności. Nie poddam się słabości polegającej na myśleniu, że świat gniewa się na mnie, szczególnie że jest on pełen nieżywych przedmiotów, które z definicji ani nie mają woli, ani nie wiedzą, co to premedytacja. Socjologia nie świadczy na moją korzyść: samotna kobieta jest z definicji niezdolna do podłączenia jakiegokolwiek urządzenia, szczególnie kiedy ulotka oddała wszelkie nadzieje na samodzielność. Niezbędna staje się wtedy interwencja technika, wyspecjalizowanego nie tyle w różnorodnych podłączeniach, ile w czytaniu instrukcji obsługi.

Tymczasem moje dzieci spodziewają się po mnie czegoś innego. Muszę im udowodnić, że ich matka jest również wojowniczką, i mniejsza o moje konto bankowe. Ostatecznie raz-dwa zamiatam potłuczone kawałki, po czym dołączam do dzieciaków w ich pokoju. „Nie martwcie się, chłopaki,

jest sposób na nasze problemy. Internet! Za pomocą jednego kliknięcia mogę zrobić zamówienie z dostawą do domu i zaoszczędzić trzydzieści procent!”

Tymczasem Gabriel jest już gotowy do wyjścia i mnie pospiesza: „Mama, ubieraj się!”. „Dwie sekundy, kochanie”. Gabriel siada z kurtką na kanapie, a ja dołączam do niego z komputerem na kolanach. „Spójrz, wybierzemy tylko zmywarę, jaka ci się spodoba, i idziemy”. Nie wydaje się szczególnie chętny do współpracy, ale jego brat przychodzi mi z pomocą. Zastanawiałam się już, czy Adrien nie skończy jako architekt wewnątrz: interesuje go wszystko, co jest związane z urządzaniem mieszkania. I rozumie się samo przez się, że z wiekiem kuchenne fronty ze Spidermanem będą go pociągać coraz mniej, taką mam przynajmniej nadzieję. Surfujemy po stronie sklepu C-Discount. To bez wątpienia najmniej atrakcyjna strona, od kiedy na świat przyszedł start-upy, ale maskuję to moim entuzjazmem. Żeby sprawić im przyjemność, zatrzymuję się na zmywarce do zabudowy: „Można zamocować front, jaki się chce! Na przykład z tabliczką, żeby napisać na niej listę zakupów albo zakodowane słowa z życzeniami miłego dnia, tłumaczenia angielskich słówek, można też na niej coś narysować, napisać jakieś zażalenia...”. „Co to takiego zażalenia?” „Wiesz, za czasów rewolucji francuskiej istniały księgi zażaleń, w których pisało się wszystko, co się komuś nie podobało. Moglibyśmy też tak robić!” Ten pomysł wydaje mu się podobać. Właśnie wynalazłam terapeutyczną zmywarę.

Klikam, całkiem dumna ze swojego odkrycia. Zapłata w trzech ratach bez odsetek, dostawa w ciągu następnego tygodnia. Zapewniają mnie, że zadzwonią, żeby umówić się na określony dzień. I proszę, oto dzień, który wydawał się zaczynać źle, rusza z kopyta. Wychodzimy we trójkę, rozmyślając o naszej przyszłej zmywarce – choć oni rozmyślają raczej o s w o i c h z a ż a l e n i a c h, a ja o szybkości, z jaką przeprowadziłam całą operację (co pomaga mi zapomnieć o jej aspekcie finansowym).

Mój telefon dzwoni, kiedy jesteśmy w drodze do szkoły. Ukryty numer o ósmej trzydzieści pięć rano (jesteśmy spóźnieni), nie odbieram. Dopiero po odstawieniu chłopców, którzy obawiali się, że wylądują u dyrektora (wymyśliłam im nawet wytłumaczenie wystarczająco dramatyczne, żeby wziąć go na litość), odsłuchuję wiadomość. Jakiś Émile „Benthaux”? (nie

dosłyszałam nazwiska) chce się ze mną zobaczyć. Kilka chwil zajmuje mi zrozumienie, że nie chodzi o szefa C-Discount we własnej osobie, tylko o nowego redaktora serii, który ma zastąpić Marguerite. Krótko mówiąc, o mojego nowego wydawcę. Albo i nie. Marguerite zapowiedziała mi jego rychłe przyście do wydawnictwa, co wywołało we mnie uzasadnioną obawę – moja literacka przyszłość spoczywa teraz w rękach kogoś obcego, a biorąc pod uwagę spadek sprzedaży moich ostatnich książek, ten obcy może równie dobrze zdecydować o zakończeniu naszej współpracy. Wymigałam się niewinnie: dopóki ten k t o ś nie zadzwoni, dopóty nie istnieje.

Tyle tylko, że dziś ten k t o ś dzwoni o godzinie, która sugeruje pilną sprawę. Tymczasem ja od miesiący nie posunęłam się do przodu z pomysłem na tekst o zaświerzbionych królikach, który miałam oddać Marguerite, żeby podpisała ze mną ostatnią umowę przed swoją emeryturą – jej odejście osłabiło moją inwencję. Za dużo zmian w życiu w tak krótkim czasie: po tym, jak rozstałam się z José, moja wydawczyni, która pełniła również rolę mojej matki i psychoanalityka, opuszcza mnie, zorientowawszy się na starość, że nie lubi dzieci i że poświęcenie całego życia na zajmowanie się literaturą młodzieżową było być może nieporozumieniem. Staralam się przemówić jej do rozumu: wcale nie trzeba lubić maluchów, żeby pisać dla nich książki. Nigdzie nie jest powiedziane, że autorzy „poważnej” literatury lubią ludzkość, no a kto jeśli nie ona czytałby ich książki? Nie wyglądała na przekonaną moją argumentacją – mając ładnych sześćdziesiąt pięć lat, przechodziła kryzys wieku dojrzewania. Oto jestem zmuszona do poznania człowieka, który dzwoni do swoich autorów o ósmej trzydzieści pięć rano (na pewno pracował wcześniej w telekomunikacji) i którego władza nad moim nędznym żywotem jest nie do przecenienia.

Poczekam z odpowiedzią do wieczora. Biorąc pod uwagę rozbitą dziś rano miseczkę, wykonaną na Dzień Matki przez mojego syna, oraz zmywarę, która odmówiła posłuszeństwa, nie wydaje mi się rozsądnym pomysłem prowokować los poprzez oddzwanianie od razu. W moim przypadku zasada, że nieszczęścia lubią chodzić parami, zawsze okazywała się prawdziwa.

Na razie nie mam innego wyjścia i opuszczam wbrew sobie bezpieczną przystań mojego mieszkania znajdującego się naprzeciwko więzienia La Santé i szpitala psychiatrycznego świętej Anny – co mimo wszystko sytuuje

mnie po dobrej stronie muru, ale wywołuje wrażenie, że moje położenie jest wynikiem czystego przypadku. Nie wspominając o tym, że nigdy nie należy całkowicie wykluczać możliwości jakiejś ucieczki z więzienia. Odkąd się tu przeprowadziłam, przygotowuję się na ewentualność ukrywania pod przymusem jakiegoś seryjnego mordercy. Czytam pod tym kątem dzieła z dziedziny psychologii i psychiatrii, żeby móc przyjąć jak najlepszą postawę, gdyby doszło do takiego zdarzenia. Nie skończyłam jeszcze rozdziału o psychopatologiach, które doprowadziły tych mężczyzn za kraty, ale mam nadzieję, że zanim przyłożą mi nóż do gardła, poczekają, aż skończę moje samodzielne studia z kryminologii. Wtedy mogłabym zagrać wreszcie główną rolę, o której mówiłoby się na salach wykładowych i w komisariatach: Joséphine Fayolle, zaklinaczka seryjnych morderców. Jedna melodia zagrana na flecie i składają broń, żeby stać się pasjonatami literatury młodzieżowej. Moje fantazje muszą jednak poczekać, bo jestem już spóźniona.

Gimnazjum, do którego jadę tego ranka, znajduje się na przedmieściach. Nauczycielka francuskiego przez pół roku pracowała tam ze swoją klasą nad *Dziobatym dziobakiem* oraz nad *Ślepą wiewiórką i autystycznym Karłem*, moimi dwiema ostatnimi książkami, obiecując kulminacyjne spotkanie z autorką w celu „uosobienia” literatury. Młodzi nie potrafią sobie wyobrazić, że za książkami stoją prawdziwi ludzie – powiedziała nauczycielka, żeby mnie przekonać – w ten sposób ożywimy ich lekturę, to dla nich niewiarygodna szansa. Nie żebym zgrywała niedostępną (tym bardziej że to być może ostatnia okazja, z uwagi na fakt, że moja kariera literacka zależy od arbitralnej i niesprawiedliwej decyzji nowego redaktora serii). Spotkania z uczniami zawsze są zabawne, czuję się zaszczycona, że pracują na moich tekstach, i pozwala mi to odetchnąć od rutyny zajęć z filozofii, prowadzonych na uniwerku – słusznie ich nie porzuciłam w celu poświęcenia się duszą i ciałem zajęciu, o którego niestałości dziś rozmyślam: literaturze młodzieżowej i nędznym zaliczkom na jej pisanie.

Ale Rosny-sous-Bois to daleko. Czterdzieści pięć minut metrem, potem pociąg podmiejski, potem pół godziny zamknięta w samochodzie z nieznaną, która po mnie przyjedzie i z którą mam rozmawiać, zachwalając wspaniałe życie pisarza i radość, jaką sprawia mi przyjęcie przez tak dobrze przygotowanych uczniów. Tymczasem ja będę mieć w głowie tylko jedną rzecz: moją zmywarę. Kobieta-wojownik właśnie

składa broń. A Émile Benthaux z pewnością oczekuje tekstu. Którego nie napisałam.

Gimnazjaliści jednak przywracają mi siły. Wyobrażam sobie moich synów za kilka lat, mogliby być jednymi z nich – pomijając kolor skóry, bo trzeba jasno zaznaczyć, że idea integracji nie dotarła jeszcze na te dalekie przedmieścia. Są tu czarne i arabskie dzieciaki, ale nie ma ryzyka dyskusji o tożsamości, bo moimi bohaterami są wyłącznie zwierzęta, wszystkich gatunków: zachodnie, afrykańskie, amerykańskie i azjatyckie, mało przywiązane do swojego pochodzenia geograficznego i przekonań religijnych, i w większości niepełnosprawne (jednorękie, z porażeniem, garbate, głuchonieme i co tam jeszcze). Nauczycielka uznaje to za promowanie prawa do inności i normalizowanie niepełnosprawności. Nie patrzyłam na moją pracę pod tym kątem, zresztą nie patrzę na moją pracę pod żadnym kątem, a już na pewno nie z perspektywy filozofii, która pozostaje moim źródłem utrzymania i której nie mam zamiaru zaśmieszać moimi zwierzęcymi orgiami. Ale ostatecznie, jeżeli rzeczywiście wspieram wartości humanistyczne, to bardzo mi miło z tego powodu.

Tyle tylko, że nie to zdaje się interesować gimnazjalistów, a nauczycielka, która z uniesieniem generalizuje, tylko mąci im w głowach. Przejmuję kontrolę nad sytuacją, zapewniając uczniów, że pisanie polega na tym, żeby ośmielić się i powiedzieć o tym, co drażni, nie martwiąc się o moralę. Formułuję jednak moją wypowiedź w ten sposób, żeby nie urazić pasjonatki, która wkłada tyle energii w publiczną edukację kolejnych pokoleń młodych ludzi oddanych bardziej grom wideo niż literaturze. Proponuję dzieciakom małe ćwiczenie: opowiedzcie historię szczura, który włamuje się do gry komputerowej i przez niezdarność zabija wszystkich, zarówno dobrych, jak i złych, ale znajdźcie mimo wszystko jakiś happy end – to ustępstwo na rzecz nauczycielki, lekko zaniepokojonej kierunkiem, jaki obierają sprawy. Dzieciaki z radością zabierają się do zadania w pięcioosobowych grupach. Tłumaczę po cichu tej niemłodej już kobiecie, że chodzi tylko o rodzaj ćwiczenia katartycznego: jeżeli pójdą na całość przy pisaniu, to być może będą bardziej opanowani w prawdziwym życiu, „a tego w końcu wszyscy oczekujemy od młodzieży, czyż nie?”. Argument pedagogiczny zdaje się ją interesować, tak czy inaczej zresztą jestem pisarką, więc wszystko mi wolno. Posiadam klucze do kreacji, a tego nie

uczą w gimnazjum, rozmawiam z Kartezjuszem, Henrim Bergsonem, Fiodorem Dostojewskim, Victorem Hugo i innymi, do których mam w zwyczaju mówić „ty” (ale tym się nie chwale). Z pewnością posiadam jakąś wiedzę ezoteryczną, której tajemnicą się napawa, ocierając się o mój rękaw (poplamiony dziś poranną kawą), kiedy wstaje, by napisać coś na tablicy. Lubi pisarzy, to wzruszające. Gdyby tylko wiedziała...

Uczniowie oddają mi swoje prace, a ja obiecuję, że przekażę im szczegółową recenzję w ciągu tygodnia. Nauczycielka aż kipi z nadmiernej wdzięczności, co po raz kolejny przypomina mi o moim chwilowym znaczeniu – pozwalam sobie w nie wierzyć i planuję objechać wszystkie gimnazja we Francji, żeby czerpać ze spojrzeń uczniów i wdzięczności nauczycieli siłę, której brakuje mi przed komputerem. „Było genialnie!”, słyszę, wychodząc na korytarz. Rumienię się z przyjemności.

Na szkolnym dziedzińcu wyciągam papierosa. Jakiś nauczyciel kładzie mi rękę na ramieniu – zapomniałam, jesteśmy w miejscu publicznym. Grupka uczennic śledzi mnie aż do wyjścia ze szkoły i prosi o fajkę, ukrywając się przed spojrzeniem nauczyciela. Promieniując nową aurą, bez wahania daję im całą paczkę i kładę palec na ustach. Nie cofam się przed niczym, żeby zyskać przyjaciół, nawet jeżeli ci przyjaciele to narkotyzujące się trzynastoletnie dziewczynki (udające szesnastolatki), które już od czterech lat biorą pigułki. Bardzo by im się przydało spotkanie odpowiedzialnego dorosłego, czyli kogoś, kto skorzystałby z uwielbienia, jakim go obdarzą, aby wyznaczyć im granice. Czyli nie mnie.

Żeby uniknąć kolejnego niepotrzebnego tête-à-tête, w drogę powrotną wyruszam autobusem, po czym wsiadam do podmiejskiego pociągu.

Po powrocie do domu trudno mi pozbyć się poczucia obowiązku. Papuga Kant jest na miejscu, przysiadła mi na ramieniu (tak, Immanuel Kant objawia się zawsze pod postacią papugi), każe mi chwycić za telefon i bezzwłocznie dzwonić do Émile’a Benthaux. Próbuję przekonać zarządcę mojego sumienia, że lepiej odłożyć to na później: dziś wieczór jestem zmordowana, mój głos mnie zdradzi, a żeby kłamać, trzeba być w formie. Ten argument jest dla Immanuela K. nie do przyjęcia, uznaje on bowiem kłamstwo za ostateczne złamanie prawa moralnego. Ale że niby co? Mam zadzwonić do Émile’a Benthaux i powiedzieć mu, że pilnie potrzebuję pieniędzy i gwarancji dotyczących mojej przyszłości? I że poza tym nie mam mu chwilowo nic do zaoferowania?

Peroruję dalej: piątkowe wieczory są dla mnie święte, nie ma dzieci, a poza tym to czas, który rezerwuję na poprawianie prac. Żeby zadzwonić do Émile'a Benthaux, muszę najpierw przeczytać sobie tych kilka stron zarzuconych pół roku temu i popracować nad nimi trochę, aby je sobie z powrotem przyswoić i być w stanie o nich rozmawiać – to byłoby najlepsze rozpoczęcie tematu, prawda? Jeżeli dziś wyrobię się z poprawianiem prac (obiecałam moim studentom, że w środę oddam im ich elaboraty), to będę mogła cały weekend poświęcić na tę jakże ważną sprawę. Kant coś jakby stulił dziób skonfrontowany z retoryką nie do pobicia i *El Camino* The Black Keys brzmącym w tle – nie pytam go o zdanie w kwestii moich gustów muzycznych. Niemniej jednak siedzi dalej na moim prawym ramieniu, tam gdzie zazwyczaj, zapewne będzie czekał na kolejne okazje, żeby mnie podręczyć.

Ledwo co przeczytałam pięć prac, słyszę kroki na schodach i wysokie, przenikliwe głosy Adriena i Gabriela. Serce mi łomocze, jak za każdym razem, kiedy spotykam moje dzieci, czy to przy wyjściu ze szkoły, czy gdy wracają od swojego ojca albo kiedy budzą się rano. Ale szybko włącza mi się logiczne myślenie: co oni tu robią o tej porze? Czy ojciec nie miał ich odebrać? Skutek uboczny mojego maila? Wypadek? Pospiesznie wstaję, żeby otworzyć drzwi, spodziewając się za nimi oskałpowanego Gabriela albo Adriena po amputacji ręki. Ale widzę akurat José, który sapie, zatrzymując się na przedostatnim schodku. „Co się stało?” Mój głos zapewne zdradził pewną panikę, czym José rozkoszuje się przez pół sekundy. Ale zanim zdąży powiedzieć zdanie, które zapewne szlifował od trzech pięt, słyszę „mama!”. Chłopcy wchodzą i rzucają mi się w ramiona. Ściskam ich i całuję po włosach. Trochę za długo, wnioskując po niecierpliwych ruchach, które słyszę za nimi. „Dzień dobry”, mówi do mnie José przez zęby, podkreślając wyraźnie moją nieuprzejmość. „Nie możesz przywitać się z ojcem swoich dzieci, Charlotte?”

Tak właśnie teraz do mnie mówi. Kieruje przeciwko mnie wyznanie, którym podzieliłam się z nim w czasach serdecznego porozumienia, kiedy kochankowie opowiadają sobie o małych i wielkich upokorzeniach, które ich zbudowały i o których nie myślą jeszcze jak o bombach z opóźnionym zapłonem, konstruowanych w tym czasie cudownej zgody. Chodzi o Charlotte Gainsbourg, która zajęła specjalne miejsce w moim życiu od

momentu pewnego niedzielnego wieczoru, kiedy miałam dziesięć lat i zobaczyłam ją po raz pierwszy w telewizji, gdy grała w *Złościcy*. Moi rodzice, mój brat i ja siedzieliśmy sobie wygodnie na kanapie, ja wciąż ssałam kciuk (wieloletnie przyzwyczajenie), trzymałam głowę opartą na ramieniu mojego brata, ze ściśniętym sercem, wilgotnymi oczami, kiedy usłyszałam, jak matka mówi: „Ta mała wariatka i jej nieznośny grymas”, a potem, chowając się w kuchni, z pewnością sama do siebie, bo szepnęła – ale szepnęła tak, żeby to nikomu nie umknęło – „kurewka”. W naszym domu nie używało się wulgaryzmów, chyba że w kuchni i w samotności – nieważne, że kuchnię od przechodniego salonu oddzielały tylko zwykłe drzwi z płyty, w dodatku otwarte. Było to chwilę po tym, jak mój ojciec zauważył na samym początku filmu: „To zabawne, jak bardzo ona przypomina ciebie”. Uwaga, która zdawała się przejść niezauważona, ale która wyryła się we mnie jak znak mojego powołania: być Charlotte Gainsbourg (już mi przeszło).

Przez łaskę słów mojego ojca stałam się kimś. Chwilę później zrozumiałam, że moje stawanie się kimś jest dokładnie tym, co wytrąca moją matkę z równowagi. Czy to podświadomy powód, dla którego wrzuciłam w Google’a i na mój facebookowy profil jedyne zdjęcie, na którym można się jakoś dopatrzeć tego podobieństwa? Przyznaję, że trochę się napracowałam nad tym zdjęciem, jakby w ramach rewanżu: widać mnie na nim z profilu, ze spiętymi włosami, w różowym topie, czarnych dżinsach i kozakach na obcasie. Dokładna kopia plakatu do *Układu idealnego*.

Opowiedziałam José tę rozkoszną rodzinną przypowieść, kiedy nie był jeszcze ojcem moich dzieci. Wtedy nie wyobrażałam sobie, że gdy miłość przeminie, on będzie mi ją przypominał przy każdej okazji swoimi „dzień dobry, Charlotte” albo „Charlotte forever”. Wypowiada je z ironią, jakby zapominał, że w czasach, kiedy żyliśmy razem, bardzo podobało mu się to moje podobieństwo do Charlotte Gainsbourg.

Chłopcy podchwycili to do tego stopnia, że uwierzyli, iż Charlotte to rzeczywiście jedno z moich imion. „Dzieciaki, idźcie do swojego pokoju po rolki”, rozkazuje ojciec, po czym spogląda na mnie: „Zamierzamy sobie jutro pojeździć”. Wznoszę oczy do nieba, rolki, no tak, fakt, że są u mnie, pozwala im wpaść z niezapowiedzianą wizytą. Fantazja, na którą zdobywa się José, żeby mi dokuczyć, zmusza go do podejmowania ryzyka. „Ty i rolki?” José odbija piłeczkę od razu: „Dlaczego się tak denerwujesz?”. Jako że moje pytanie nie pociągało za sobą logicznie jego pytania (pytanie,

którym odpowiada się na inne pytanie tak czy inaczej nigdy nie jest odpowiedzią), wnioskuję, że José odpowiada mi bez uprzedniego wstępu na maila, którego wysłałam dziś rano. Odbijam i ja: „Nie denerwuję się, ale zmieniasz w ostatniej chwili coś, co zostało ustalone”. „Nic nie zostało ustalone... Powiedziałaś mi to w pośpiechu przez telefon, a wiesz, że ja komunikuję się wyłącznie przez maila” – jakaś nigdy niezgłaszana zasada, która działa tylko w jedną stronę. „Świetnie, w takim razie odwołam swój salon”. Próbuję wywołać w nim poczucie winy, mimo świadomości, że przeciwko José jest to raczej mało skuteczna broń. „Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej, żebym mógł się zorganizować?” Doskonale bezużyteczne zdanie, które cofa problem do źródeł, zamiast go rozwiązać. „Mówiłam ci o tym wcześniej, ale ty słyszysz tylko to, co chcesz usłyszeć. Tak czy inaczej, teraz trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie”. „Czemu jesteś taka agresywna? Mówię do ciebie spokojnie, a ty od razu wysyłasz mi obraźliwe maile”. Chyba nie byłam agresywna albo najwyraźniej mi to umknęło, a określenie „obraźliwy” wydaje mi się przesadzone, ale jestem przyzwyczajona do wysłuchiwania wyolbrzymionych zarzutów. „Wydaje ci się w porządku wymagać ode mnie, żebym wszystko zmieniała, kiedy już się umówiliśmy?” – pytam jak najbardziej uprzejmym tonem. „Nie umówiliśmy się, narzucasz mi swoje terminy według własnego widzimisie, dotychczas trzymałem się bardzo ściśle twojego kalendarza”. Co obiektywnie rzecz biorąc, jest nieprawdą, a on sam mógłby to przyznać, gdyby miał w sobie choć krztynę dobrej woli. Wolałabym jednak uniknąć wymieniania wszystkich jego wad, lista jest długa, a on wszystkiemu zaprzecza. „Sprawdzę, czy rodzice mogą mi pomóc, i dam ci znać”, mówię do niego, żeby szybko uciąć rozmowę. „Rodzice, zawsze rodzice! Świetnie się ustawiasz, oddając swoje dzieci innym. Zastanawiam się, kiedy masz czas, żeby z nimi poprzybywać” – takie słowa w ustach mężczyzny, który zdał sobie sprawę ze swojego ojcostwa dokładnie w chwili, gdy został zmuszony do samodzielnego zajmowania się dziećmi, są odrobinę nie na miejscu. Ale on kontynuuje: „Kiedy są u mnie, to jestem z nimi sam na sam, rozmawiam, oni naprawdę mają potrzebę porozmawiać o swoich przeżyciach, poświęcam im czas”. Wewnętrznie współczuję moim synom tej dusznej atmosfery, ale gratuluję José spóźnionej ojcowskiej uwagi. Mimo wszystko dorzucam: „Pytanie nie dotyczy tego, czy jestem złą matką, ale tego, jakie znaleźć rozwiązanie,

żebym mogła też wykonywać swoją pracę”. „Pracę? Wyjście na salon i wypicie kilku głębszych? Nazywasz to pracą?”

Trzeba tu zaznaczyć, że José, pomimo wyjątkowej ambicji zostania pisarzem, nigdy nic nie opublikował. Ale obraca się w paryskim światku literackim (pojęcie stosunkowo wąskie, ograniczone do kilku wybrańców, którzy do niego należą), co daje mu poczucie, że także jest jego częścią. A jako że jego przyjaciele cieszą się większą popularnością niż ja, José uważa się za lepszego ode mnie. Często kusilo mnie, by mu wytłumaczyć, że talentem nie można się zarazić, ale powstrzymałam się, chroniąc go mimo wszystko. Był to jeden z wielu moich błędów, jeżeli oceniać po pogardzie, z jaką José wciąż odnosi się do mojej kariery.

„Nieważne, jak to nazwiemy, potwierdziłam, więc idę”. „Myślałem, że możesz to odwołać, nie tak powiedziałaś przed chwilą?” „Teoretycznie mogę, ale nie widzę powodu”. „Decyduj, jak tam sobie chcesz, ale załatw to tak, żeby chłopcy mieli opiekę od srody wieczorem”. „Myślę, że to dobre podsumowanie, do którego mogliśmy dojść od samego początku tej rozmowy”. „No dobra, to będę się zbierał”. Korci mnie, żeby podjąć temat alimentów, ale dzieci wróciły do salonu ze swoimi rolkami, słuchając z udawanym roztargnieniem odwiecznej kłótni swoich rodziców – to nie najlepszy moment. Adrien wstaje. „Tato, nie chcesz zobaczyć mojego albumu z Pokemonami?” José tłumaczy się przede mną: „Obiecałem mu”. Pozwalam mu pójść do pokoju syna i zabieram się do zmywania, żeby zająć czymś ręce. Gabriel płacze mi się pod nogami. Słyszę, jak José zachwyca się Pikachu i Grotichonem w taki sposób, żeby nie umknęła mi ani odrobina z jego entuzjazmu. Potem nie słyszę nic, pewnie zdradzają sobie tajemnice, czy raczej to pewnie José zdradza tajemnice swojemu synowi, bo nigdy nie działało to w drugą stronę. Po chwili widzę biegnącego do mnie Adriena, do którego José krzyczy, żeby o nic mnie nie pytał, że to był żart. Adrien wytrącony z impetu odpowiada mu: „Mam przecież prawo porozmawiać z mamą”. „Oczywiście, ale to był żart. Nic jej nie mów” (najwyraźniej nie dostrzegając sprzeczności). Teraz to ja pytam Adriena: „Co się stało? O co chciałeś zapytać?”, a on odpowiada: „Nie, o nic”, szukając czegoś w lodówce, żeby ukryć zmieszanie. José przyszedł za nim. „O co chce spytać? Może mnie zapytać o wszystko, odpowiem szczerze, dlaczego powstrzymujesz go przed mówieniem?” José odpowiada: „Wcale go nie powstrzymuję, zażartowałem sobie i tyle, dalej Adrien, mów, jeżeli chcesz”. Adrien czuje się rozdarty między chęcią mówienia i wstydem, że jego

entuzjazm został zgaszony. Muszę naciskać, czując niebezpiecznie rosnącą we mnie złość... „Czy tata mógłby zostać na noc?” Patrzę na José porażona. „Mówię ci, że sobie zażartowałem”. „Bardzo śmieszne, wręcz rozbijające”. Korci mnie, aby zapytać go, czy metodyczne niszczenie własnych dzieci zbytnio mu nie przeszkadza, ale owe dzieci są w ł a ś n i e obecne, co trochę ogranicza dyskusję. Natomiast jeśli chodzi o jego nową partnerkę, to jeżeli miałam wcześniej jakiekolwiek wątpliwości, teraz mam już potwierdzenie, że gra rolę figurantki albo maskotki.

Po ich wyjściu staram się mimo wszystko wrócić jakoś do sprawdzania prac – ale José jest górą, mój mózg się zablokował, skarłowaciał, owinął się wokół jego osoby, której życzę, by przeszła taką samą metamorfozę. Jestem zmuszona oddać ten wieczór walkowerem. Tym bardziej że zgłodniałam od tego ex-mażeńskiego sportu. Chociaż perspektywa przygotowania sobie czegoś do jedzenia temperuje moje skurcze żołądka. Dobrze wiem, że od dłuższego czasu nie zrobiłam zakupów. Przeszukuję lodówkę dla świętego spokoju: w środku są tylko pomidory, które kupuję z przyzwyczajenia, chociaż ich nie lubię (tak, ale to składnik niezbędny w kuchni, według zasady „nigdy nie wiadomo, czy nie najdzie cię ochota na przyrządzenie lasagne albo sosu bolognese, albo gazpacho, albo sorbetu pomidorowego, albo Bloody Mary”, zasady, od której liczne wyjątki nie potwierdzają reguły, ale ja lubię być przygotowana na wszystko), oraz ser pleśniowy „Kapryst bogów”. W zamrażalniku jest hamburger zarezerwowany dla dzieciaków.

Waham się, odwracam, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, po czym wrzucam go do mikrofal. Ładuję się na łóżko i pozeram junk food (mój sekretny przysmak), obserwując płamę na suficie, która wydaje się większa niż kilka tygodni temu. Zmieniła się z chmury w ptaka, coś w rodzaju papugi, której dziób rozpoznaję bez trudu: to Kant, znów on, poznaję go. „Dobra, zgoda, to ani zdrowe, ani specjalnie szlachetne: podkraść tak jedzenie przeznaczone dla własnego potomstwa – jutro je odkupię, obiecuję, ale nie widzę powodu, dla którego sama nie mogłabym też tak sobie zjeść. Nie wspominając już o tym, że biorę na siebie ryzyko ostrej niestrawności, która wisi nad każdym szanującym się hamburgerem. Być może właśnie ratuję przed nią moich synów, którzy w obecnej chwili zapewne nie jedzą nic lepszego”.

Ale kto wie, co takiego robią u swojego ojca? Szukałam dokładnie i nie znalazłam ani jednego wspomnienia, w którym José zajmowałby się dziećmi. Jestem więc ograniczona do własnej wyobraźni. A wyobraźnię mam okrutną. Wyobrażam sobie José z rolkami na nogach, José, który nawet w adidasach potrafi skrócić sobie kostkę, bo jest taki d e l i k a t n y, ma „wyjątkowo wrażliwe kości”, jak mi to kiedyś wyjawiał, niedługo po tym, jak się poznaliśmy. A mnie to wzruszyło, mężczyzna dumny ze swoich kości.

DZIEŃ 2

Lawendowa komoda w fioletowym polarze

Czytam początek tekstu, którego pisanie zaczęłam bez przekonania pół roku temu. Niespecjalnie udany. Wszystkiego po trochu, kot po amputacji przytula wściekłego psa, króliki lansują modę na egzemę, a szympans zaprasza kolibra do tańca. Zatrzymałam się w samym środku rosnącego napięcia, w chwili kiedy szlachetny królik opowiada o odkryciu, że jego małe złapały świerzb na polu transgenicznej kukurydzy, a stuletni wilk protestowuje formułę sprayu przeciwpchelnego firmy Servière.

Zniechęcona, odwracam spojrzenie, które teraz pada na komodę José. Pyszni się tam, przy wejściu, swoim mdłym lawendowym kolorem – mój były mąż chciał mnie przekonać, że on też odkrył możliwą do opatentowania formułę, podczas gdy w rzeczywistości wziął puszkę z zieloną farbą za puszkę z białą farbą. O ile przypadek gra pewną rolę w odkryciach naukowych, to nie zawsze ma pozytywne konsekwencje w przypadku wysiłków mężczyzny pragnącego sprawdzić się w roli samca i ojca rodziny. Tak jakby niedzielne majsterkowanie mogło ten status bezdyskusyjnie przypieczętować.

José przywiózł ten mebel razem z innymi rzeczami. Komoda jest dla mnie od tego czasu, bardziej niż symbolem idealnego męża – raczej symbolem fikcji, w jakiej żyje on już od kilku lat. José uważa się za nieszczęsną ofiarę zorganizowanych prześladowań, w których ja jakoby gram jedną z głównych ról. Upoważnia go to do prześladowania mnie z pełną premedytacją – José tchnął w ten chybotający się rupieć w nieznośnym kolorze całą swoją moc. Kładę na komodzie brudny fioletowy ręcznik, żeby zniknęła mi z oczu, ale teraz wygląda tak, jakby José opatulił się w mój polar z Decathlonu przeznaczony na stawianie czoła wielkim mrozom. To pasuje do niego jeszcze bardziej. Ściągam ręcznik i rzucam go na ziemię, ustawiam krzesło tyłem do komody i wracam do pracy.

Odchodząc, Marguerite wyraźnie powiedziała mi, żebym pracowała dalej nad tekstem, jeżeli chcę zachować moje zwyczajowe miejsce w serii „Ulica dzieciaków”. Następca mojej przyjaciółki słynie bowiem z bycia przesadnie wymagającym. Że też jej nie posłuchałam. To nie jest dobry moment na utratę źródła dochodu i przez to też inspiracji. Jestem zbyt podatna na niepokój, jaki może wywołać taka zmiana kierownictwa. Ale powinnam pamiętać (w tym celu zapisuję samoprzylepne karteczki i umieszczam je na lodówce jak psychodeliczne mantry dla AGD), że „Wyrobiłam sobie w literaturze młodzieżowej dobrą pozycję, a nawet n a z w i s k o”.

Co zresztą nie przestaje sprawiać mi problemów – moje nazwisko jest bowiem celem sekty, którą mało kto uznaje za prawdziwe zagrożenie. Sekty mamusiek owładniętych manią googlowania autorów i rozpowszechniania plotek z poziomu własnej hysterii oraz zamięłowania do spisków. Dzieci mamusiek z definicji są tu potencjalnymi ofiarami. Otóż mamuśkom nic nie umknie. Ani linijka o rzekomo traumatycznej zawartości, której dostarczają moje książki. Ani działające na podświadomość rysunki mojego ilustratora, w których mamuśki regularnie doszukują się członków w erekcji, podczas gdy dla każdego normalnie nastawionego odbiorcy jest to pysk wilka, którego jedynym łąjdactwem jest niepoohamowana chęć zjedzenia królika, choć nigdy mu się to nie udaje, co jest być może źródłem maminych frustracji. „Joséphine Fayolle nas zatruwa”, „Kiedy dojdzie do małżeństw homoseksualnych między zwierzętami dewiantami?”, „Kurewka” (tutaj zastanawiam się, czy to czasem nie moja własna matka daje w końcu upust emocjom pod pseudonimem boub43), „Jak można wydawać chorych psychicznie? Taką *art brut* pozostawcie degeneratom”, „Zamknąć ją w psychiatryku”, „Chrońcie nasze dzieci”, „Bojkotujmy *Ulicę dzieciaków*, teraz to dzieciaki ulicy” oraz tu i ówdzie inne komplementy, o których uparcie zapominam – wolę za każdym razem od nowa uświadamiać sobie okrucieństwo świata, który mnie otacza.

Między mnie a ekran komputera wkrada się obraz sfory rozgniewanych matek manifestujących pod oknami mojego domu. Trzymają moją zakrwawioną głowę, przemienioną w komodę w kolorze lawendy i otuloną w polar z Decathlonu, na kijku narciarskim z tego samego zestawu. Podnoszę głowę, żeby sprawdzić, czy komoda nie przybrała moich rysów, ale ta śmieje mi się prosto w twarz. Kiedy mam ją naprzeciwko, drwi sobie ze mnie. Kiedy mam ją za plecami, wzbudza we mnie strach. Opuzczam miejsce pracy i idę umościć się na kanapie, beczynna. Potem wstaję po

kawę, papierosa, siadam z powrotem, chwytam za telefon i przeglądam nazwiska, aż jedno z nich wpadnie mi w oko: Irina, ona nie oburzy się z powodu pięciu minut, które zajmę jej pustym gadaniem. Trafiam na skrzynkę głosową, później na skrzynkę Julie, przybieram wesolutki ton takiej, co to ma się doskonale i chce tylko spytać, co słyhać. Następnie ruszam na poszukiwania jakiegoś pilnego zadania na usprawiedliwienie: odkurzania, układania książek w porządku alfabetycznym. Czekam na rozkazy ze strony przedmiotów; niech list sam wysunie się ze stosu, prosząc o odpisanie, niech mail zamruga na czerwono, nakazując mi powrót do pracy.

Bóg istnieje, bowiem dzwoni telefon. Każda rozrywka jest w tej chwili mile widziana. Tyle tylko, że to mój doradca bankowy. Który czuje się zobowiązany „po raz kolejny” dodać: „Po raz kolejny jest pani na debecie”. To ma być język doradcy bankowego? Czy raczej mieszanka nadopiekuńczej matki i kogoś współodpowiedzialnego za kryzys kredytów subprime, kto nie ma zamiaru wyrażać skruchy za grzechy? Pojęcie winy jest dobre dla jego klientów, no i dla tych, co „po raz kolejny” są na debecie. „W poniedziałek o czternastej w moim biurze?” Odpowiadam – zbyt szybko – nie patrząc nawet do kalendarza, bo wiem, że nie mam NIC innego do roboty w poniedziałek (poniedziałek to mój dzień zarezerwowany na nicnierobienie): „Tak, oczywiście” (o mało co nie wypalając „przepraszam”). Nagle przypominam sobie, jednocześnie informując o tym mojego doradcę, że w następnym tygodniu wypadają urodziny mojego ojca – siedemdziesiąte! „Rozumie pan, postanowiliśmy razem z bratem podarować mu wycieczkę do Egiptu. Nie żeby Egipt był jego wymarzoną celą, ojciec woli srogie góry Owernii, które przemierza w stroju piechura, z kijkami narciarskimi w dłoniach o każdej porze roku, czego ja osobiście nigdy nie rozumiałam. Ale z uwagi na ostatnie wydarzenia cena biletów spadła o połowę, a to, co naprawdę ekscytuje mojego ojca, to podróż samolotem, dlatego że musi za nią zapłacić w przeciwieństwie do pociągu – trzydzieści pięć lat przepracował na kolei. Pomyśleliśmy sobie, że potrzeba mu jakiegoś kraju niepołączonego siecią kolejową z żadnym z pięciu wielkich dworców Paryża – pracował na każdym z nich, skazując nas na podążanie wzdłuż linii, które rysują się między tymi newralgicznymi punktami, miejscem spotkań alkoholików, samobójców, psów ze świerzmem, śpieszących się ludzi, no i nas (być może to źródło mojej inspiracji, ale to już, prawda,

zostawiam moim przyszłym biografom)”. Mój doradca nie odpowiada, z pewnością jest zbyt zajęty uśmiechaniem się. „Najlepszą gwarancją będzie morze oddzielające miejsce wyjazdu od punktu docelowego. Mój brat zarabia uczciwie, jest psychologiem dziecięcym w XII dzielnicy, ale ma na utrzymaniu całe grono kochanek, przez co musiał wymóc na mnie połowę kwoty za wycieczkę, chociaż wie, że wszystkie moje honoraria autorskie poszły na zakup nowego mieszkania, symbolicznie ulokowanego przy ulicy Santé, w XIII dzielnicy Paryża. A moja pensja z dorywczej pracy wykładowcy filozofii nie wystarcza na zapłacenie za nową zmywarę, wakacje mojego ojca plus wakacje moich dzieci. Nie żeby koszt moich dzieci się zwiększył, wręcz przeciwnie – bo z trojga zostało mi dwoje, od kiedy wyprowadził się ich ojciec – ale powinnam przynajmniej poprawić sobie piersi (do których zaniku właśnie moje dzieci się przyczyniły), żebym mogła mieć nadzieję na inne ich zastosowanie. Na przykład jako przynęty albo chociaż żeby odebrać im całkowicie moc szkodzenia mojej miłości własnej – czego pan chce, czuję się stara i brzydka, a przecież mam tylko trzydzieści osiem lat. Och, wiem doskonale, że nigdy, przenigdy nie przekroczę progu kliniki chirurgii estetycznej, ale próg moich fantazji – nie mogę go nie przekraczać, stojąc na skraju nowego życia, a żeby mieć go wciąż w zasięgu, potrzebuję perspektywy. Taki na przykład większy debet załatwiłby sprawę...”

Tymczasem mój doradca się rozłączył. Jak dawno temu?

Niemniej jednak telefon ten podziałał na mnie jak różga: postanowiłam zanurzyć się w teksty Bergsona i zacząć przygotowania do najbliższych zajęć – krótko mówiąc, zrobić coś produktywnego. Nawet pomimo przekonania, że mój doradca bankowy, któremu dedykuję ten przyływ energii, uznaje za naprawdę żalosne zajmowanie mózgu i poświęcanie czasu lekturze jakiegoś e s e j u (nie lekturze prezentacji ani naukowych wyników, o nie, chodzi o lekturę zwykłej p r ó b y) o bezpośrednich danych świadomości. Tak, dobrze wiem, że pogardza mną za paranie się zawodem, którego wartości nie da się obliczyć. Że pisanie dziecięcych opowiadań i przekazywanie odrobiny filozofii idealistycznym studentom nie jest warte pensji, którą widzi co miesiąc na moim koncie. Że myśli o mnie, że żyję w świecie abstrakcji i marzeń – co nie jest nieprawdą. „Droga pani, jaki sens ma filozofia, kiedy człowieka nie stać na porządne mieszkanie?” – pyta mnie, kiedy spomiędzy regałów mojej biblioteki wychyla się jego głowa w kształcie cykorii (mój doradca bankowy ma ten rodzaj głowy,

która nie zapisuje się w pamięci, niewyraźną twarz, twarz, której rysy się poruszają, twarz bez kantów, zmienną). „Do bycia szczęśliwym”, próbuję. Ale ta odpowiedź nie jest satysfakcjonująca, wystarczy na mnie spojrzeć. I rozumiem jego złość: nie, nie jest to opłacalne.

Czasami mówię sobie, że wybrałam niewłaściwą drogę: chciałabym produkować krzesła albo kołdry jak Guy Degrenne, coś konkretnego i pożytecznego, co być może położyłoby kres temu poszukiwaniu sensu, którego nigdy nie będę w stanie sprzedać mojemu doradcy – ile kosztuje taki sens? Przygotowałam ich trochę, tych moich zajęć z filozofii, zapisków z bajkami, naprodukowałam rozpraw, które wyrzucałam; napisałam trochę tych noweli z maniakalnymi szympancami, płaczącymi drzewami, wypadkami na hulajnogach i śpiączkami z happy endem. Cały ten czas do kosza, nie licząc paczek papierosów na podtrzymanie koncentracji, godzin torturowania się we własnym łóżku, potem przed komputerem, szukania odpowiedniego cytatu, rozbijania filiżanek, bo Word się zawiesił i trzeba wszystko zaczynać od nowa, czytania, sczytywania, skracania, zmienienia kolejności zbyt długich akapitów. Tygodnie, miesiące – na marne, bo na koniec okazuje się, że coś nie działa, konstrukcja nawala, tekst jest zbyt trudny, zbyt łatwy, nie przejdzie przez cenzurę bloga mamusiek. I nawet moje dzieci, które są moimi pierwszymi i najbardziej entuzjastycznymi czytelnikami (szczególnie historii o autystycznym karle), są czasem zmuszone postawić mnie do pionu: do kosza. Ile czasu upchniętego w śmieciach? Czasu straconego czy czasu wolności? Jak wycenia się czas wolności? W zależności od jego produktywności czy straty? To naprawdę nie jest pytanie, które należy sobie zadawać, kiedy zaczyna się lekturę Bergsona (chyba że on zna odpowiedź?).

Tymczasem orientuję się, że jest już dawno po czasie, gdy miałam wyjść do fryzjera, a precyzyjnie rzecz biorąc: do „fryzjera-wizażysty”. Ma to lekko niepokojące brzmienie, ale w obecnej sytuacji wizażysta nie może mi już zrobić krzywdy. Wściekła na to spóźnienie, pospiesznie wrzucam na siebie za duży prochowiec i wbijam się do metra w kierunku Havre-Camartin. Siadam, nie obdarzając pozostałych pasażerów spojrzeniem, którego oni też mi nie rzucają. Żeby spożytkować czas jazdy, wyciągam z torby Bergsona w celu przygotowania środowych zajęć. Podczas gdy usiłuję skoncentrować się, między dwoma akapitami o „ruchu i trwaniu” pojawia się znów twarz mojego doradcy, surowa, inkwizytorska, potem smutna, tylko smutna, pełna nieskończonego smutku.

Staram się wytłumaczyć z tego szalonego wydatku, do którego właśnie się przymierzam. Chodzi o to, że od pewnego czasu zaczęłam znów o siebie dbać. Jasne, ogranicza się to do pozorów – nigdy nie wiadomo, czy Martin, najlepszy przyjaciel mojego brata i mój kochanek od czasu separacji z mężem, nie zadzwoni do mnie zniecka, ogłaszając swój rozwód i szaloną chęć, by mnie znów przelecieć. Depiluję się przed pójściem do lekarza, kupuję nową bieliznę, którą trzymam na dnie szuflady, żeby się nie zużyła – odraczam tym samym wyrok moim starym majtkom – zakładam buty na obcasie, aby się przyzwycząić, i kręcę się w nich po salonie, z biustem wysuniętym do przodu, starając się prostować, po czym wkładam adidasy i idę do pracy, zażegnując początki skurczy. Zawsze mam w głowie myśl, że większość kobiet wydaje się robić te rzeczy z łatwością, a ja jakbym pozostała na etapie dorastania, kiedy ciało nie panuje zupełnie nad swoimi ruchami. I to pomimo lat przygotowań przed lustrem w łazience, gdzie udawałam aktorki, piosenkarki czy nawet dziewczyny z gimnazjum, do których nigdy nie odważyłam się odezwać. Próbowalam ułożyć sobie swoją własną twarz, wygląd, którego nikt by nie podejrzewał o wielogodzinny wysiłek, który byłby naturalny, podczas gdy moja matka tukała w drzwi za długo zamknięte na klucz (co jest bardzo podejrzane). „No i co ty tam znów robisz, Joséphine? Łazienka nie jest miejscem na wyłączność...”, wymawiając każdą samogłoskę z zawodowym zboczeniem – z zawodu jest logopedą (z wyboru natomiast komunistką, jeżeli chodzi o rodzinną prywatność) – „...i nie próbuj paćkać sobie twarzy m o i m i kosmetykami, oznajmiam ci, że sporo kosztują, a jeśli myślisz, że to coś zmieni...”, na co nie odpowiadałam nic i kończyłam, przegrana, nawet zawstydzona, otwierając drzwi od łazienki.

Metro stanęło między dwiema stacjami. Zagubiona w rozmyślaniach, orientuję się, że skuliłam się na siedzeniu z rękoma zaciśniętymi na torbie, mam zmarszczone brwi, stopy cofnięte, a plecy zgarbione – chciałoby się powiedzieć: moja własna matka, jej ciało, które karłowacieje z wiekiem. Ten obraz odrzuca mnie do tego stopnia, że z powrotem kieruję myśli na mojego doradcę bankowego, prostując się nagle, krzyżując nogi, biorąc głęboki wdech, żeby tchnąć w to zdeformowane coś odrobinę elegancji. On w końcu też był kiedyś dzieckiem, wyobrażam go sobie we wspólnej łazience na piętrze, jak oddaje się pierwszym masturbacjom, albo jedzącego domowej roboty frytki, oblizując przy tym palce – i już jestem w stanie o wiele więcej mu wybaczyć.

Zarysowuje mi się scena: oto blond chłopczyk wyłania się z mlecznego obłoczku, zupełnie jak wróżki pojawiające się nagle w środku chmury – można by uwierzyć, że tam mieszkają, co, szczerze mówiąc, nie jest zbyt wygodne – i każe przyznać mi, dziecku przedwcześnie skonfrontowanemu z problemem mieszkaniowym, że lepiej mieć jakikolwiek pokój, nawet mały, niż całkiem mokrą chmurę, nawet jeżeli jest się wróżką. A zresztą gdzie one mieszkają, kiedy jest ładna pogoda? Krótko mówiąc, trzeba przyznać, że wróżki niekoniecznie wiodą żywot godny pozazdroszczenia, mimo posiadania złotych opasek i supermocy. Być może podobnie było w przypadku tego pucołowatego bobasa, który zamienił się w cykorię: kto wie, czy nie molestował go ojciec albo stara zgryźliwa ciotka, niegdyś wiedźma, albo bardziej banalnie: zazdrosna i okrutna macocha (w cudownym świecie kreskówek to pleonazm).

Więcej mi nie trzeba, żeby poczuć do niego życzliwość.

Odruchowo zanurzam rękę do torby i chwytam za patyczek do uszu, kręcę nim sobie w uchu, zastępuje mi to papierosa i zadowala moją drugą strefę erogenną (jaką część ciała lubił sobie łaskotać Bergson? Czy w jego czasach istniały patyczki do uszu?). Zawsze mam w kieszeni patyczek do uszu, na wszelki wypadek, to mój proces ucieleśniania: o ile pozostaje niewidzialna, to przynajmniej mogę się dotknąć – patyczek do uszu jest namacalnym dowodem na moją egzystencję. Nauczyłam się także ukrywać ten przedmiot pod włosami, kiedy ochota na kręcenie nachodzi mnie w miejscu publicznym – dlatego też czekające mnie cięcie włosów nie może być radykalne.

„No ale w takim razie, insynuuje mój doradca bankowy o cykoriowatej głowie, czy taki wydatek jest rzeczywiście rozsądny, skoro niczemu nie posłuży? Cięcia prawie nie będzie widać. Jaki w tym cel?” Niech się pan nie zraża, odpieram zarzut, to nie ujmuje mu nic z bycia niezbędnym: wynika to z potrzeby ładu społecznego – zaczynam go straszyć jak moich studentów. To bardziej akt konserwacji niż pielęgnacji czy zwykłej kokieterii, tak jak może nią być chirurgia estetyczna w nieznacznym zakresie refundowana przez ubezpieczenie społeczne. „Droga pani, użyteczności społecznej nie mierzy się już dziś w kategoriach dobra wspólnego (na maturze z filozofii miałem dwóję), ale wyprodukowanego bogactwa, zarobionych pieniędzy, opłacalności. Co więcej zyska pani tą nową fryzurą? Jeżeli cofniemy się jeszcze do poprzedniej kwestii, zdaje się, że przyznała pani, że jest niewidzialna...?”

Drzemiący we mnie Che Guevara wreszcie się buntuje. Podszeptuje mi, że mój doradca n a p r a w d ę fantazjował, że pewnego dnia będzie obracał pieniędzmi innych na swoim komputerze Dell France i tłumaczył swoim kumplom, co to takiego Euronext Paris, Nasdaq i Nikkei 225. Ucierpiała na tym moja empatia. Mógł sobie być dzieckiem, mógł sobie mieć dziesięć lat mniej ode mnie (a to drań), ten administracyjny przestępca, teraz nie ma już w sobie nic z tej niewinności. O ile w ogóle ją kiedyś miał – bo teraz mówię sobie, że ostatecznie wcale nie dorastał w świecie jak z czeskiej kreskówki ani we w s p ó l n e j łazience, tylko raczej słuchał, jak ojciec śpiewa mu zamiast kołysanki kurs indeksu CAC 40.

„Czemu to służy? Czemu to służy? Mam ci wytłumaczyć?” Zaskakuję siebie samą, pytając tak na głos. Kobieta siedząca naprzeciwko podnosi na mnie wzrok, zaciekawiona. Czuję się zobowiązana kontynuować, żeby nie wyjść na wariatkę: „To pytanie, które zawsze stawia się w przypadku filozofii. Jeżeli pan odpowie, to już po sprawie, bo wypełnił pan właśnie kryterium użyteczności. Nie mówię, że pan sam tak uważa, co to to nie, z pewnością ma pan inne projekty w życiu niż tylko poddawanie się dyktatowi ekonomii”. Kobieta uśmiecha się, ale wygląda na zaniepokojoną. „No przecież trzeba porządnie pracować, prawda?” „Oczywiście, ale sam pan widzi, że użyteczności nie ocenia się dziś tak naprawdę według kryterium dobra wspólnego, ale raczej wyprodukowanego bogactwa, zarobionych pieniędzy, opłacalności – mój doradca wie, o czym mówię. Być może powiedziałby mi, że dobra wspólnego nie da się wycenić, ale nie wchodzi ze mną w tę dyskusję, bo owszem, da się wycenić, ale w jaki sposób? No dalej, cykorio, zestaw mi tu ze sobą w konspekcie na trzy akapity równość arytmetyczną z równością dystrybucyjną i wyjaśnij, czy to twój ostateczny wybór, według którego kryterium dzielisz tort”. Teraz przysłuchuje mi się cały wagon. Wczoraj o tej porze to misjonarz krzyczał na linii 2 „Ratuj nas, Jezu”. Zyskali na zmianie i mają darmowe zajęcia z filozofii z bonusem w postaci tyrady przeciwko wielkiemu kapitałowi. Niesiona tym zainteresowaniem, które przerodziło się w globalną aprobację, kiedy zaczęłam obrażać mojego doradcę bankowego, kontynuuję z rozpędu i wstaję, żeby ci w głębi nie stracili ani słowa: „Może zasługi? Często są tylko reprodukcją nierówności społecznych, natury i jej porażek. Prowadzi to do powrotu prawa silniejszego albo prawa słabszego. A jeśli jesteś niepełnosprawny, biedny i upośledzony, ale jednocześnie jesteś seryjnym mordercą, to czy powinieneś korzystać z powinności, jakie ma wobec ciebie

społeczeństwo? – kiwania głowami – To może przypadek? Pierwszy, który przyjdzie do Urzędu Pracy, ma prawo do zatrudnienia, nawet jeżeli drugi w kolejności miał lepsze kwalifikacje? Podobnie z zapisami do elitarnych szkół: jeżeli śpisz pod drzwiami, w mrożącej mżawce, na psich sikach, masz prawo zapisać swoje dziecko; więc znów wracamy do najbardziej zasłużonych, którzy w dodatku nie idą do pracy następnego dnia na ósmą, bo o tej właśnie godzinie otwiera się biuro zapisów... Krótko mówiąc, sam widzisz, dobro publiczne nie jest obiektem kalkulacji, ale stanem umysłu”. Kończę moją tyradę, krzyżąc. Cały wagon mnie oklaskuje. Kilka osób wybucha śmiechem, ale nie biorę tego do siebie: zdaje mi się, że obudziłam sumienia, co w paryskim metrze graniczy z cudem. Niestety muszę wysiadać, żeby się przesiąść, żal mi zostawiać pozyskane audytorium gotowe rzucić koktajlem Mołotowa w pierwszego doradcę bankowego, którego bym wskazała. Lud pała żądzą zemsty. Uchyliłam drzwi rewolucji, ale jako odpowiedzialna obywatelka pozostawiam oszalały tłum na pastwę jego smutnej codzienności. Kiedy drzwi metra się zamykają, słyszę: „Spadaj, niedorznięta!”. Nie dopuszczam takiej odpowiedzi do mojej obecnej iluzji, odganiem ją w myślach, zasmucona dawką wulgarności.

Przy wyjściu z metra wznosi się dominująca i fatalistyczna Galeria Lafayette. Bez zastanowienia wchodzę na halę, kieruję się na drugie piętro, gdzie ze złości na doradcę, wciąż niesiona gniewem swojej mowy oskarżycielskiej, przymierzam buty, oczywiście przecenione, ale i tak kosztujące sto pięćdziesiąt euro. I bęc po debecie. Podczas gdy ściągam swoje buty, siedząc na stołku, odkrywam – w tej samej chwili, co ekspedientka – dziurę w skarpetce. Sprzedawczyni oferuje mi swój najbardziej uprzejmy uśmiech, mieszankę współczucia i wyższości (ona sama zapewne wyrzuca dziurawe skarpetki pomimo nędznej pensji i dyplomu magistra). Wsuwam nowe buty i postanawiam zostawić je na nogach, żeby zatkać jej dziób, a tak naprawdę, żeby nie musieć ich zdejmować przy jej spojrzeniu, które stało się pogardliwe: rzecz w tym, że ta dziura stworzyła między nami perwersyjną więź, a ja nigdy nie opieram się perwersyjnym więziom z ekspedientkami, czuję się winna, kiedy nie kupuję, jeżeli wcześniej przymierzałam. Nie jestem przekonana co do czubka ani co do koloru, ani zresztą co do kształtu, ale oddalam się od stoiska jak najszybciej, lżejsza o solidną sumę pieniędzy, która jednak odpowiada mniej więcej jednej dziesiątej tego, co jest mi winien José – czyli pieniędzy straconych.

Po piętnastu minutach kręcenia się w kółko odnajduję tylne schody, schodzę ostrożnie – koturny mają jednak dziesięć centymetrów, a moja kostka ponosi tego konsekwencje. Kiedy jestem już na ulicy, narzucam sobie powrót do domu pieszo, żeby moje nogi cierpiały tak bardzo, jak chciałabym, żeby cierpiał mój doradca. Godzinę później zrana potem z cudem uratowaną kostką padam na kanapę, ściągam buty, żeby znaleźć dwa wielkie pęcherze, po czym w nowym porywie skruchy chwytam z powrotem za książkę Bergsona, aby Kantowi, który mi się przygląda, w żadnym wypadku nie umknęło, że zabieram się do pracy.

Niestety kanapa stoi naprzeciwko komody od José („Kupujesz sobie kolejne buty, podczas gdy w lodówce nie ma nic do jedzenia dla twoich dzieciaków? Słyszałaś o wdowie po prezydencie Marcosie? Nie wyszło jej to na dobre, zapewniam cię”). Żeby uniknąć kontaktu z komodą, szukam swojego odbicia w lustrze zawieszonym tuż nad nią. Moje włosy! Zdaję sobie sprawę, ogarnięta paniką, że całkowicie pochłonięta przez rozmowę wewnętrzną z moim doradcą bankowym zapomniałam o fryzjerze!

Całe poczucie winy, do jakiego jestem zdolna, spada na mnie jak kamień, który wysunął się z bloków ciągnięty przez egipskich niewolników na wzniesienie piramidy. Ogłuszona waham się: zadzwonić czy schować głowę w piasek, powiedzieć prawdę czy wymyślić kłamstwo, błagać na kolanach o wybaczenie czy przybrać agresywny ton, oskarżając, że nie wysłano mi dzień wcześniej SMS-a z potwierdzeniem – tak jak robi to moja terapeutka, żeby wyprzedzić moje otumanienie, które nazywa czynnością pomyłkową. Jednocześnie nie widzę powodu, dla którego moja podświadomość miałaby buntować się przeciwko cięciu i czesaniu. Ale najwyraźniej nieudolnie się nią porozumiewam, skoro przez dziesięć lat spędziłam więcej czasu z psychologiem niż z byłym mężem.

Biorę się w garść i wybieram numer: „Dzień dobry Antoine, mówi Joséphine Fayolle, nie wiem, jak się wytłumaczyć... Tak się spieszyłam z przyjściem, chciałam biec i przytrafiło mi się zwichnięcie... Manifestacja zablokowała taksówkę, w którą wskoczyłam, a poważny wypadek drogowy zatrzymał ruch na linii 9, cóż, no tak, nie udało mi się przyjść, pomimo pilnej potrzeby – końcówki mogę już sobie zębami przygryzać...”. W tym momencie mi przerywa – wiem, jak go zmiękczyć. „Joséphine Fayolle? (Naprawdę zdaje się mnie nie rozpoznawać, a przecież byłam u niego zeszłego września na początek roku szkolnego, myślałam, że do wykonywania tego zawodu trzeba być fizjonomistą). Tak, miała pani wizytę

na piętnastą... No cóż, możemy się umówić na inną porę, jeśli pani chce”. Jego otwartość niemal doprowadza mnie do łez. „Tak, czwartek, o tej samej porze?” „W ten sam dzień, o tej samej porze”, podśpiewuje do melodii, której nie mam odwagi przywołać... ale jednak: przecież to Patrick Bruel, *Place des grands hommes*. Od razu przypomina mi się pierwsza historia miłosna przeżyta z tą piosenką w tle. Zmonopolizowała fale radiowe, a my uporczywie staraliśmy się od niej uciec. Nie było kawiarni ani sklepu, w którym by jej nie puszczała. Przesiadaliśmy więc zabunkrowani na dziesięciu metrach kwadratowych kawalerki, z zamkniętymi oknami, wyklejaliśmy ściany gazetami, żeby powstrzymać ten zgrany hit, zanim do nas dotrze. Rzecz bowiem w tym, że my nie chcieliśmy spotykać się za trzydzieści lat jak para w piosence, tylko teraz, zaraz, w chwili nieustannie przeżywanej na nowo – i raczej przy muzyce The Police niż Patricka Bruela. Byliśmy ajatollahami dobrego smaku, fanatykami czystości dźwiękowej, pierwszymi w szeregu alternatywy, ascetami wszystkiego poza tym, co dotyczyło eksploracji naszych ciał. Puszczaaliśmy Bacha na trzysta decybeli, potem, paląc papierosy, Billa Evansa, razem płakaliśmy od takiej dawki wielkości i odwracaliśmy wzrok przed siksami, w tym przed siostrą mojego kochanka, które darły się „Patriiiiick!” w kolejce przed wejściem do hali Zénith. My woleliśmy Cité de la Musique^[1] (które było jeszcze w budowie, ale chodzi o symbol). Fryzjer Antoine wzbudza we mnie nostalgię za czasami, kiedy moje włosy były jeszcze czarne i sprężyste. Rozłączam się, poruszona, zmieszana konstatacją, że dwadzieścia lat później ta piosenka ostatecznie jednak mnie nakręciła.

Zabieram się z powrotem do czytania książki, starannie robiąc notatki, tymczasem po moich policzkach płyną łzy – Bogu dzięki w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby być świadkiem mojej porażki. Nikogo zresztą obok nie będzie już nigdy, ani żeby doświadczać, ani żeby pocieszać, wiem o tym aż za dobrze. Jestem niezdolna do spotkania mężczyzny – i oto płaczę sobie w najlepsze. „Ale za to ja tu jestem”, bełkocze jakiś znany głos. Podnoszę wzrok i natrafiam nad biurkiem na spojrzenie mojej suczki, oprawione w ramkę.

Gdy przyglądam się uspokajającej mordce Balou, przychodzi mi do głowy pomysł: czemu by nie odwiedzić Martina? Chwilowo pomieszkuje naprzeciwko, pokój 104 w szpitalu świętej Anny – lekkie przedawkowanie leków przeciwłękowych. Odwiedzanie chorego na depresję to broń obosieczna: mobilizuje do zweryfikowania własnego stanu, ale może też

wywołać regres w nieskończoność – zaraźliwą depresję. A jednocześnie muszę mu się przecież pokazywać, jeżeli chcę, żeby pamiętał o mnie, kiedy wyjdzie, prawda?

Przebieram się niespiesznie. Muszę postawić na ubiór, żeby zapomnieć o włosach. Schodzę po schodach w krótkiej sukience od Vanessy Bruno i przemierzam trzysta metrów, które dzielą mnie od szpitala. Recepcjonistka najwyraźniej zna się na sukienkach, nie umknęła mi iskra zazdrości w jej oczach. Byłoby mi równie przykro jak jej, gdybym musiała nosić seledynowy fartuch, który nadaje jej twarzy niemal ten sam odcień, jakim świecą lampy w toalecie TGV.

Martin leży na łóżku z nieobecny wzrokiem. Jeżeli cieszy się z moich odwiedzin, to jego twarz w żaden sposób tego nie potwierdza. Odgarniam moje rozdwojone końcówki eleganckim gestem w celu ukrycia ich przed jego wzrokiem, po czym siadam u wezglowia łóżka. Rozmowa chyba nie najlepiej się zaczęła. Rzecz w tym, że zazwyczaj najpierw się rozbieramy, a szybko wypalony papieros zaraz po pozostawia mało miejsca na sferę intelektualną. Patrząc na jego amorficzne ciało, zastanawiam się, co właściwie mogło nas łączyć poza pojedynczą nicią, i tak już napiętą, która na granicy pęknięcia ukazuje rozmiar przepaści. Odkładam na później wypytywanie go o szanse na jego rozwód i łapię się na tym, że marzę o obecności mojego brata, żeby odtworzyć nasze trio nastolatków, niezniszczonych jeszcze przez antydepresanty. W obliczu milczenia Martina próbuję na głos znaleźć ciąg dalszy historii o świerzbowatych królikach, przedstawiając mu, jak pilna to sprawa: spotkanie u doradcy bankowego w celu negocjowania debetu, nowy redaktor serii, który dysponuje możliwością zakończenia mojej długiej i owocnej współpracy – co równałoby się niemożności uzyskania debetu – urodziny mojego ojca za kilka dni, komoda-przeszkoda, pęcherze na stopach, ale powstrzymam się aż do dnia, w którym wróci do swojej „fazy maniakalnej” – tej, którą wolę. Za całą odpowiedź otrzymuję tylko niezobowiązujące „hum-hum”. Z braku argumentów kończę monolog, całuję Martina bez przekonania – bardzo czuć go szpitalem – mówiąc sobie, że być może właśnie upada jedna z ostatnich pewnych cech mojego ciała: możliwość szybkiego i dobrego szczytowania. Teraz pozostaje tylko wysiłek i wstrzeźliwość.

Powinno mi być to wiedzieć – oglądanie go w tym stanie w niczym nie przyczynia się do nabrania przeze mnie dystansu do mojego własnego stanu. Martina dopada niekończący się regres. A jednak kiedy idę zamknąć

drzwi, woła do mnie: „Joséphine!?” . Odwracam się. „Wychodzę pojutrze, mogę do ciebie zajrzeć? Pojutrze będzie dobrze, będzie lepiej. Brakuje mi ciebie. Ale masz naprawdę dziwaczną fryzurę”. Zmieszana tą quasi-deklaracją ze strony mężczyzny, który ledwo postarał się powiedzieć dzień dobry, kiwam głową na tak, zmartwiona jednak tym, że moje wysiłki włożone w ukrycie rozdwojonych końcówek poszły na marne, wiem jednak na pewno, że to nie to lubi u mnie najbardziej.

Pojutrze. To jedno słowo otwiera perspektywę.

Włóczę się w drodze powrotnej, delektując się tą niedaleką przyszłością: niełatwo włóczyć się na dystansie trzystu metrów. Tymczasem na dwieście siedemdziesiątym piątym słyszę gwizdnięcie. Nikogo z tyłu, nikogo przede mną. Ktoś znowu gwizdże, jakby pod moim adresem. Wreszcie podnoszę wzrok: na trzecim piętrze po lewej, w więzieniu La Santé, poruszają się jakieś ręce, jakaś szemrana twarz śledzi mnie wzrokiem. Wciąż jeszcze jestem na celowniku sąsiadów z naprzeciwka i zupełnie niespodziewanie napełnia mnie to wdzięcznością bliską euforii. Wykonuję dyskretny znak ręką, którą zatrzymuję w połowie, niepewna, co do tego, jak mój znak może zostać zinterpretowany. Nie potrzebuję w tej chwili platonicznej relacji, w zasadzie tego właśnie powinnam unikać, nawet jeżeli dystans między nami, bardziej pionowy niż poziomy, stanowi szczególnie skłaniający mnie do zaangażowania się. José wie o tym co nieco, on, który widział rosnący między nami stopniowo Wielki Mur. Nawet nie mogę do końca mieć mu za złe, że nie próbował go pokonać, czy nawet tego, że rozbił obóz po drugiej stronie. Dopiero teraz morduje się, żeby rozmontować ten mur, kamień po kamieniu, przekonany, że jego wysiłek mnie rozczuli, ale ja już nie potrzebuję muru, przestałam się bać: nie kocham go już.

Po powrocie do domu uświadamiam sobie, że wciąż nie oddzwoniłam do Émile’a Benthaux. Musiałam schować to zadanie o priorytetowym znaczeniu do tylnej szuflady podświadomości, tej, w której regularnie gubią się klucze – z trudem przychodzi mi zmuszenie się do czegoś, kiedy jestem w tym stanie. Ale tym razem nie mogę się już wycofać.

Co mu powiedzieć? Rozegrać to szczerze? Dzień dobry, tu autorka, która obdarza czułą wdzięcznością wszystkich, którzy mają władzę finansową? Czy raczej, przybierając głos małej dziewczynki (której żadne z moich rodziców, nawiasem mówiąc, nigdy nie słyszało – rezerwuję go dla moich

zwierzchników): „Tak, przepraszam, tutaj, to znaczy tutaj Joséphine, zdaje mi się, że zostawił mi pan wiadomość, ale może to przez pomyłkę?”.

Podczas gdy waham się między dwiema opcjami, odgrywając scenki, żeby sprawdzić, która z nich lepiej brzmi dla mojego wewnętrznego ucha, dzwoni telefon. Jego echo w pustym pomieszczeniu paraliżuje mnie. Czyżby to on deptał mi po piętach? Czy to José chce mi oznajmić, że Gabriel złamał sobie nogę, przymierzając szpilki swojej macochy – bo owszem, ma macochę (od dwóch tygodni) i owszem, zdarza mu się podkradać mi buty, żeby się przebierać? Czy raczej mój ojciec chce przypomnieć, że jego urodzinowa kolacja odbędzie się w najbliższą niedzielę, o czym nie mogę nie wiedzieć, biorąc pod uwagę, że moja matka przygotowuje ją od dwóch tygodni – jeżeli się nie mylę, to stół jest już z pewnością nakryty, srebrne sztucce z serwisu mojej prababci (wyciągane z piwnicy raz na dziesięć lat na ważne rocznice i czyszczone dużym kosztem) i kryształowa karafka na wino z kanistra schowane gdzieś w kuchni? Czy wreszcie to moja matka chce przypomnieć mi już nie datę, ale godzinę kolacji, „punkt dziewiętnasta trzydzieści, bo o dwudziestej trzeciej wszyscy już śpią”? Ostatecznie odbieram, inaczej tajemnica pozostałaby niewyjaśniona. Lista była niekompletna: oczywiście zapomniałam o moim bracie, który znudzony oświadcza mi, że ma konsultację, która może się tego dnia przeciągnąć do późna, i przyjedzie po rozpoczęciu kolacji, czego nie ośmiela się powiedzieć mojej matce, więc jak zwykle chce, żebym ratowała mu skórę. Znam ja te jego konsultacje, często kryje się za nimi para nóg uniesionych do góry, ale szczerze mówiąc, mógł się powstrzymać w dzień siedemdziesiątych urodzin swojego ojca. Wzbudzanie gorących uczuć zawsze idzie najlepiej tym, którzy i tak już są przez wszystkich kochani. Jeżeli o mnie chodzi, to jestem co roku punktualna, ale nikogo nie interesuje, czy musiałam w tym celu odwołać jakąś „konsultację”. „Z dziećmiakami w porządku?”, pyta w ramach podsumowania. Ledwo znajduję chwilę, żeby mu powiedzieć, że być może nie będę w stanie od razu odblokować pieniędzy na prezent. „Ale jak to, nie kupiłaś sobie czasem niedawno płaszcz BA&SH?” „Był na przecenie”. „Co prawie odpowiada cenie wycieczki”, oblicza z szybkością, która zawsze mnie fascynowała, mój brat jest jedynym ścisłowcem w rodzinie, co być może tłumaczy wyłączną miłość, jaką darzy go moja matka. „Dobra, możesz za mnie wyłożyć, mam spotkanie z moim doradcą bankowym... Ale nie jestem pewna, czy mi się uda. Mogę dać ci w zamian ten płaszcz”.

„Świetnie się składa, bo idę pojutrze na urodziny i nie miałem pomysłu na prezent”. „Tak też myślałam”.

Mój brat rozłącza się, zanim wytłumaczę mu moje aluzje. Nie jest kimś specjalnie podatnym na poczucie winy, z pewnością to ja wzięłam na siebie całą dawkę, jaka przypada na jedną rodzinę, poświęcając się jako dobra córka, Ifigenia od kredytu, o czym mój doradca bankowy będzie mógł się osobiście przekonać.

No dobra. Nie pozostaje mi już nic, tylko przedzwonić do pana Benthaux, co może mieć tylko dwa następstwa: nowy kontrakt albo wyrok śmierci. Muszę raz jeszcze odsłuchać wiadomość, żeby spisać jego numer telefonu, który podyktował razem ze swoim nazwiskiem. Zanim przejdę do jakiegokolwiek czynu, staram się przeanalizować jego głos. Jest raczej mrukliwy, odrobinę zachrypnięty, ton niespecjalnie sympatyczny, co przechyla wagę w stronę wyroku śmierci. Nie mówi nic, poza „proszę o telefon”. Nie zwraca się do Joséphine Fayolle, autorki na fali (tyle że opadającej), tylko do jednego z tak licznych członków zespołu pisarzy literatury dziecięcej – tak, jestem częścią zespołu. Nie widzimy się, ale nasze nazwiska znajdują się jedno obok drugiego w materiałach promocyjnych. Jest to koncepcja rodziny czy grupy, która całkiem mi odpowiada: nie trzeba spotykać się z innymi, niejasne poczucie przynależności krąży wokół wspólnej miłości do książek „młodzieżowych” (raczej w sensie młodości już straconej niż tej, która nadejdzie), samotniczych niepokojów, zawodzącej inspiracji, porażek i sukcesów – co musi tworzyć napięcia i zazdrości, z tym że ich jedynym odbiorcą jest wydawca. W kwestii całej reszty wiemy tylko o swoich dziełach i sprzedanym nakładzie: im więcej inni sprzedają, tym bardziej człowiek czuje się odrzucony – krótko mówiąc, nie wykracza się poza cyfry. Taki właśnie zawód spotkał mnie, kiedy wchodziłam w ów świat dzieciństwa i marzeń: nawet one stają się obiektem kalkulacji.

Jako następca Marguerite, Émile Benthaux (nie przeliterował swojego nazwiska, którego pisownia jest z pewnością zawiła, pozwoliłam sobie założyć użycie jednego *h* i jednego *x*) musi zapoznać się ze wszystkimi autorami, żeby się przedstawić i przystąpić do selekcji, niesiony chęcią każdego nowego szefa, by narzucić swój znak firmowy. Jest prawie dwudziesta pierwsza i poważnie zastanawiam się, czy to wciąż jeszcze godzina robocza, żeby dzwonić do kogoś (w dodatku w sobotę), kto trzyma w swoich rękach moje życie materialne. Jednocześnie to świetne wejście

w temat „Przepraszam, że nie miałam czasu, żeby zadzwonić do pana wcześniej, jestem obecnie bardzo zapracowana”. Zbyt pretensjonalne i mało prawdopodobne. Mam mimo wszystko szansę na trafienie na jego pocztę głosową, co obecnie by mnie urządziło, nawet jeżeli trudno jest mówić samemu do skrzynki, która nagrywa nieubłagane słowa, jakie chciałoby się potem wykasować, jedno po drugim. Słowa chodzące po głowie podczas bezsennych nocy, których są podstawową przyczyną. Być może powinnam go przede wszystkim wygoogłać? Mam zwyczaj tak robić, kiedy tylko pada jakieś nazwisko w rozmowach z moimi znajomymi, którzy całkiem niewinnie ruszyli na poszukiwania mężczyzny dla mnie, zarabiającego minimum pięć tysięcy euro miesięcznie, po rozwodzie i z dziećmi. (Bo jest zrozumiałe, że mężczyzna czterdziestoletni, który nigdy się nie ustatkował, ma albo problem z dojrzałością emocjonalną, albo na gwałt pragnie dziecka, albo wreszcie nie interesuje się tak bardzo kobietami, a jeszcze mniej dziećmi). Google i jego bank obrazów pozwalają zyskać na czasie, czy może raczej nie tracić go – po jednym czy dwóch zoomach potencjalny kandydat zostaje skreślony bez wstępnej kwalifikacji, nie mówiąc o tym, że pozwałam mu zaoszczędzić co najmniej cenę kieliszka wina czy bukietu kwiatów.

Ale kto wie, przed cudem nie uciekniesz, Émile B. mógłby równie dobrze przypominać George’a Clooneya. Odpalam komputer i wklepuję w Google’a „Émile Benthau”. Nic. Google proponuje, żeby spróbować z inną pisownią: „Émile Bertaux”, nie biorąc pod uwagę, że chodzi o inne nazwisko – dwie różne spółgłoski, to już zupełnie inna bajka. Podążając za głosem mojej wrodzonej ciekawości, patrzę, kim jest ten sławny Émile Benthau. Otóż, o ile nie istnieje Émile Benthau (brak w rejestrze Google’a to znak jeżeli nie nieistnienia, to co najmniej braku znaczenia, co sprowadza się do tego samego w społeczeństwie, w którym bycie widocznym jest jedynym dowodem na istnienie, i mogłabym długo to rozwijać, zaczynając od świętego Tomasza, żeby wrócić do ontologii fenomenologicznej, a w tym samym czasie wylizywać kubek po lodach, już pusty, oblizuję więc własny palec i kilka śladów stopionej czekolady), znajduję trzech Émilów Bertaux, z których żaden nie wydaje się pasować do moich kryteriów: francuski astronom zmarły w 1903 roku, historyk sztuki zmarły w 1917, belgijski polityk zmarły w 1911. Mam wrażenie, że moje poszukiwania dobiegają końca i pozostaje mi już tylko wykonać ten telefon.

Przeglądam maile, w ramach podarowania sobie ostatniego odroczenia. Jedenaście maili o przecenach, rejsie marzeń albo o „Wygrałaś piętnaście tysięcy euro”, których szkodliwości jestem świadoma, albo o „Twój profil mnie interesuje” (te być może nieroztropnie jest przerzucać od razu do kosza, wszystko zależy od wyniku mojej rozmowy) i trzy bardziej interesujące: Jérôme (nie mam szczęścia do imion zaczynających się na „J”), kolega mojej koleżanki Anne, z którym zjadłam kolację tydzień temu (w towarzystwie dziesięciu innych osób), zaprasza mnie na spektakl, który wyreżyserował; obsługa klienta operatora SFR; i Julie, która była na tej kolacji z Anne i Jérôme’em i która twierdzi, że ów Jérôme nabrał o mnie dobrego zdania (to znaczy?). Nie wiedziałam, że są ze sobą tak blisko i raportują sobie o zaletach i wadach nowych kandydatek. Co paraliżuje mnie *a posteriori*: jeżeli ktoś tak desperacko stara się ustatkować Jérôme’a, to znaczy, że sam Jérôme ma jakąś wadę techniczną. Nagle nachodzi mnie apodyktyczna i ekscytująca ochota: napisać SMS-a do Martina z propozycją, żeby do mnie dołączył – wiedząc, że o tej porze (i gdyby nie przebywał naprzeciwno) właśnie wracałby do domu, wplątywał dłoń we włosy swojej żony i nalewał dla obojga po solidnym kieliszku burgunda (w kominku płonąłby ogień, z adaptera grał Mozart, oni śmialiby się i robili miny, całowałiby się prosto w usta, gilgotali się, przewracaliby się na dywan z króliczego futra, on zdzierałby jej majtki, ona śmiałaby się w najlepsze, wilgotniałaby, z uniesienia i z przyjemności... i w tym momencie dociera do mnie, że moja wyobraźnia chyba się zagalopowała), kiedy przypominam sobie, że śpi w swoim ponurym pokoiku w szpitalu zaledwie kilka kroków ode mnie, rozchwiany w pełnym znaczeniu tego słowa. Odpisuję do Jérôme’a: „Przykro mi! We wtorek nie mogę, mam spotkanie z nowym dyrektorem mojej serii – sobowtórem George’a Clooneya! – który uwielbia moje *Zwierzęta chore na wirusowe zapalenie wątroby* i nie jest żonaty”. (Jérôme zresztą też nie, ale mam zwyczaj kończyć tak moje SMS-y do Martina). Kasuję wszystko aż do „mam spotkanie”, zarówno żeby nie zapeszać, jak i z obawy przed śmiesznością, po czym naciskam „wyślij”.

Teraz waham się przed napisaniem maila do ojca moich dzieci, żeby dowiedzieć się, czy wszystko dobrze, pod pretekstem jakiejś kwestii organizacyjnej dotyczącej nadchodzących ferii, po czym powstrzymuję się, bo każda okazja do odtworzenia więzi upoważnia go do wkładania nogi w drzwi. W dodatku, jako że José nie udało się jeszcze nigdy nic

opublikować, bierze mnie sobie za pierwszego i jedynego królika doświadczalnego jakiegoś epistemologicznego dzieła, w którym zapożyczenia z Choderlosa de Laclos są tak widoczne, że w końcu zaczęłam się zastanawiać, czy mogą być świadome, czy José r z e c z y w i ś c i e ma się za mistrza. Obydwie opcje są możliwe, a ja nie wiem, czy wolę mitomana, czy plagiatora, i obawiam się, że w jego przypadku doszło do połączenia tych dwóch schorzeń. W ramach ostatniej deski ratunku dzwonię do Anne, zapytać o dwie czy trzy rzeczy o Jérôme, nie dając po sobie poznać, że mnie interesują. Znamy się z czasów studenckich, ona wysoka brunetka o niebieskich oczach, ja równie drobna, co ona okazała, równie wycofana, co ona wydawała się bezkompromisowa. Tworzyłyśmy szyderczy duet, w którym nieśmiałość każdej z nas przekształcała się we wspólną siłę gotową wykastrować każdego, którego wspólnota przekształcała nasze wzajemne nieśmiałości w gwarantowaną kastrację – więc lecę bardziej konkretnie: „Wiesz, to nie mój typ, sprzedam cię, ale zdaję sobie sprawę, że muszę spuścić trochę z tonu, w moim wieku nie można już zgrywać niedostępnej. To jak z mieszkaniem, nie mogę mieć jednocześnie światła i przestrzeni”. „Tak czy inaczej, co masz do stracenia?” Nic, to prawda, pozornie. Ale w rzeczywistości wszystko: moje złudzenia, moje zajęcia, moją wolność, moją wiarę w siebie (niewiele jej mam, to prawda, dlatego też nie warto wystawiać na niebezpieczeństwo strzępków, które mi pozostały), moją miłość własną (ta sama uwaga co do wiary). Krótko mówiąc: biorąc pod uwagę brak pożądania, po co rzucać się w paszczę wilka niezobowiązująco poszukującego ofiary, odrobinę wygłodniałego, reżysera teatralnego, co gwarantuje jego nieobecność przez większość czasu, ale którego głos mi się nie podoba (a ja jestem bardzo wrażliwa na głos). „Nie mam siły”, mówię świadoma, że ta odpowiedź stanie się wodą na młyn dla jednej z moich najlepszych przyjaciółek, wyczulonej na moje nawracające flirty z depresją. „No to nie idź”, odpowiada mi i to właśnie w niej lubię, tę szczerłość, której nie zawstydzają moje ersatze fantazji, moje przecenione marzenia, moja zdolność do konstruowania kłamstw, do wierzenia w które sama się potem zmuszam. „A zadzwoniłaś do gościa, który przychodzi na miejsce Marguerite?” „Nie, jeszcze nie, boję się”. „Tak czy inaczej, ostatecznie się do niego odezwiesz, więc zrobienie tego od razu pozwoli ci uniknąć kręcenia się w kółko”. „Myślałam, żeby poczekać do urodzin mojego ojca. Jeżeli przyjdę do moich rodziców jako bezrobotna, to wywołam niedobry

nastrój”. „Przede wszystkim nie jesteś bezrobotna, tylko pracujesz w sektorze publicznym i wpada ci co miesiąc dwa tysiące euro, po drugie twoi rodzice nigdy nie lubili twoich królików-pedofili i innych zwierzątek z chorobami wenerycznymi, więc wybac mi, proszę, ale to się nazywa pretekst do tchórzostwa”. Z Anne nie można oszukiwać, co za nuda. „A poza tym przypominam ci, że nie jesteś już małą dziewczynką, twoja matka nie ma już nic do gadania”. „Ona tego nie wie”. „Być może to ty powinnaś jej to uświadomić”. „Nie mogę nawet zapłacić połowy kwoty za wycieczkę mojego ojca”. „A twój brat nie może za ciebie wyłożyć?” „Odpalę mu mój nowy płaszcz BA&SH, który zaraz podaruję swojej nowej panience”. „Jeszcze jeden powód, żeby zadzwonić do tego gościa, nigdy nie wiadomo, może podpisze z tobą kontrakt życia i wtedy uratujesz płaszcz”. „Tak, ale co, jak nie podpisze?” „Nie dowiesz się, dopóki do niego nie zadzwonisz”. Ta nieubłagana logika nie pozostawia mi ani chwili wytchnienia. „Nie chciałabyś ty do niego zadzwonić?” „I podać się za twoją asystentkę?” „Dlaczego nie?” „Przestań, Joséphine, twoja matka ma rację, że traktuje cię jak dziewczynkę”. „Jednocześnie wszystko zrobiła w tym celu”. „Nie musisz podążać za nią słowo w słowo”. „To może podasz się za mnie?” „Nie jest ci głupio chować się za innych?” „No właśnie, to niewiele zmieni!” „Posłuchaj, Joséphine, jesteś wykładowcą filozofii i pisarką młodzieżową, to znaczy kimś, od kogo wymaga się brania spraw w swoje ręce”. „I tak już myśli, że zmarnowałam sobie życie, dlatego że się rozwiodłam i że mieszkam w trzech pokojach w budynku ledwo co uratowanym od wyburzenia”. „Których to pokoi jesteś właścicielką”. „Dzięki pieniądзом pożyczonym od rodziców”. „I które oddajesz co miesiąc”. „Niedługo nie będę, jeżeli nie podpiszę kontraktu”. „Nie masz wrażenia, że kręcimy się w kółko?” „Mam”.

No i proszę, doszłam do tego samego miejsca co godzinę temu, z bolącymi stopami (bo chodzę, kiedy rozmawiam przez telefon), skreconym żołądkiem, poczuciem braku pewności siebie, które odbija się w tę i z powrotem od ścian mojego mieszkania. Mam wrażenie, że jestem debiutującą zawodniczką squasha, kompletnie niepanującą nad piłką, i nawet jeżeli udaje mi się zrobić przed nią unik, to wiem, że w końcu strzeli mi w pysk. Na razie postanawiam nie dzwonić tego wieczoru, tak czy inaczej jest już dwudziesta pierwsza trzydzieści. *Kaprys bogów* i kieliszek wina, dobra książka i do łóżka. I pomyśleć, że marzyłam o tej samotności...

Wykonuję plan. Co do ostatniego punktu, rzucając okiem na świetliste kwadraciki, którymi podziurawiona jest ściana La Santé, ośmielam się na małe machanie ręką, żeby podtrzymać niedawno zaczęta i urwana znajomość, przyciskam czoło do szyby i czekam. Czegoś brakuje. To z pewnością ta cisza, przez którą brzęczenie lodówki jest tak nieprzyjemne. Włączam radio i zajmuję się deserem, czyli kostką czekolady. Najpierw dwoma, następnie całym paskiem, a potem tabliczką. Towarzystwa dotrzymuje mi debata o muzyce barokowej, mam wrażenie, że nie jestem tak bardzo sama, i łapię się na odpowiadaniu prowadzącemu, podczas gdy nie mam zielonego pojęcia o muzyce barokowej: „Nie, nie całkiem się z tym zgodzę, barok oznacza teraz raczej epokę niż styl, a co do Monteverdiego...”, prowadzący odpowiada mi, kontynuując swój wywód, a ja zaczynam się denerwować: „Rameau, Rameau, ma pan tylko to jedno słowo w ustach, podczas gdy kłótnia Bouffonów, to jest interesujące, to dotyczy nas wszystkich, Bouffonowie, którzy okładają się pięściami w celu, którego nikt dotąd, to znaczy od początku tej audycji, nie zrozumiał”. Ostatecznie zmieniam stację i nalewam sobie jeszcze jeden kieliszek wina. Na France Info mówią o łańcuchu pokarmowym i jestem bardzo zadowolona z wyboru *Kaprysu bogów* (który posłuży mi dziś wieczór za sery i deser, mniejsza o kolejność, nie stoi mi nad głową żaden *maître d'hôtel*, żeby łać mnie po łapach, a mój drugi *Kaprys bogów* potrzebował trochę czasu, żeby się rozmrozić) jako towarzysza do trzeciego kieliszka wina, zamiast mrożonej lasagne (z pewnością równie zimnej co moja resztką sera, ale której skład został właśnie wyjawiony przez prezentera, co nie zachodzi w przypadku *Kaprysu bogów*, na razie wolnego od wszelkich podejrzeń).

Zainspirowana audycją, próbuję odtworzyć etapy produkcji lasagne. Zaczynam od mięsnej papki i docieram do... Dziobatego dziobaka? Maniakalnego szympansa? To wciąż mięso. Ale czym miałyby być stworzenie, któremu wyrwano serce, żeby przerobić je na bolognese, jeżeli nie zwierzęciem? Myśli mi się płaczą, jeżeli mięso nie jest mięsem, to czym? Dość poważnie rozważam tę kwestię, co zajmuje mi ładne pół godziny, podczas której nalewam sobie czwarty kieliszek wina. Tymczasem zmienił się temat audycji, no chyba że jest jakiś związek między pozaziemskim pochodzeniem lasagne a północnokoreańskimi próbami atomowymi, no i właśnie, logika skacze mi do oczu: tam tkwi rozwiązanie, jak mogli na to nie wpaść wcześniej? Chwytam za komputer, żeby napisać

list na skrzynkę kontaktową France Info, mimo wszystko świadoma, że magazyn *Nature* byłby bardziej adekwatnym i ważnym adresatem. Waham się, czy nie wyjąć nowego *Kaprysu bogów* – kupuję po trzy w zestawie, są w promocji w moim markecie – ale zaczynam wątpić, czy chodzi o mleko pochodzenia zwierzęcego, i postanawiam nalać sobie piąty kieliszek wina, które jest pożywne i pełne witamin i *a priori* nie ma wątpliwości co do roślinnego pochodzenia napoju. Opisanie mojego odkrycia naukowego odkładam na później, biorę się do czytania maili. Robert Durand, najpopularniejsze z fałszywych spamowych nazwisk – który ma prawdziwą twarz! (i to w dodatku całkiem niezłą) – znów chce odkupić moje kredyty. Skąd wie, że mam kredyty? Wystarczy go spytać: „Dzień dobry, czy raczej dobry wieczór Panu, widzę, że proponuje mi Pan pomoc. Chciałabym się tylko dowiedzieć, czy zna Pan moich rodziców, bo nie widzę, kto poza nimi i moim byłym mężem mógłby Pana poinformować o stanie moich kredytów, o ile oczywiście nie jest Pan przyjacielem mojego doradcy bankowego. Też tak sobie myślałam, że woli mężczyzn, a oceniając po zdjęciu, niezły z Pana przystojniak, naprawdę pociesza mnie wiedza, że mój doradca prowadzi jakieś życie seksualne”. Wysyłam.

Mam nadzieję na szybką odpowiedź i w oczekiwaniu podkreślam radio: o tej porze w nocy łapię życie tak jak hipochondrycy łapią choroby, o których się mówi. Liczę na rozweselające historie, które pomogłyby mi zasnąć, ale aktorka-celebrytka właśnie procesuje się ze swoim chirurgiem plastycznym, a żona marynarza czeka na swojego męża. Niepokoję się, tracę nadzieję, staram się z całych sił nie litować nad żoną marynarza, ale jej oczekiwanie tkwi w kieliszku wina, który wypijam, w lodówce, która brzęczy, w łóżku, które pościeliłam dziś rano, w oknie, które oddziela mnie od nocy i które zaczynam czyścić, żeby widzieć, kiedy nadejdzie, dostrzec jego zbliżającą się postać, ale po chwili jestem marynarzem, samotnym na rozległym morzu, i bez światła, którym można by zaznaczyć swoją obecność, przyrzeczoną śmierci, ale nieświadomym odroczenia; później znów żoną, która każdego dnia wygrywa malutki kawałek życia, w tym samym czasie powstrzymuję się przed dokończeniem *Kaprysu bogów* – nie mogłam się oprzeć – nawet jeżeli to nie ser z Bretanii, umierają tylko bretońscy marynarze. Jestem alterglobalistką, która kładzie się na tory, i dziewczynką pobitą na śmierć przez własną matkę, bo dziecku nie udało się według niej *n a w i ą z a ć w i ę z i*. Jestem dziewczyną, która o mało co nie umarła po spożyciu pigułki trzeciej generacji, oraz prezesem

stowarzyszenia konsumentów. Jestem głosem dziennika i piosenkarką, która go zamyka. Jestem kolejno satyrykiem, touroperatorem i członkiem personelu astrofizycznego. Jestem Joséphine Fayolle, mój ojciec pracuje na kolei, moja matka jest logopedą. Mam trzydzieści osiem lat i jestem po rozwodzie. Jest pierwsza w nocy i nadszedł czas, żebym wzięła życie w swoje ręce.

Niesiona niespodziewanym olśnieniem, które rozświetla mi noc, nagle czuję, że muszę odpowiedzieć Émile'owi... Benton? Émile Bento? Tak, dokładnie, Bento, jak japońskie pudełka!... żeby zapewnić go o moim entuzjazmie do pracy z nim i być może powiedzieć o mnóstwie projektów, z których dwa czy trzy z czterech są naprawdę ekscytujące. Chwytam za telefon, pełna nowej energii – czuję, że to pierwsza godzina reszty mojego życia.

„Szanowny Panie...” Nie ma sensu pisać nazwiska, skoro nie wiem jak, a poza tym takie swawolne „Dzień dobry” nada ton naszym przyszłym kontaktom. Chyba, że napiszę „halo”. Podoba mi się bardzo „halo”, pasuje do młodzieżowego stylu moich książek. Na pewno dostrzeże w tym nawiązanie do depresyjnego pelikana z mojej przedostatniej książki. Zabieram się: „Halo, to ja! Sorry, sorry za te trzy dni milczenia, ale pisałam na całego, zaszyłam się z moimi królikami i niedźwiedziami, wie Pan, ileż czasu one wymagają! Tak więc owszem, spotkajmy się jak najprędzej! Buziaki, Joséphine” i bez czytania wysyłam w tej samej chwili, w której spada na mnie świadomość błędu nie do naprawienia.

Półtora lexiomilu, żeby mieć pewność, że jutro odsunięte jest jak najdalej. Zawsze znajdzie się wyjście, jakieś wyjście, jakieś wyjście...

DZIEŃ 3

Kiedy Troskliwe Misie dostaną wszy...

Oparta plecami o ścianę w głębi kawiarni, w golfie naciągniętym aż po sam nos, zastanawiam się, z czego zrobione są dekoracyjne sztuczne kamienie będące połączeniem miękkości i twardości. Nie kruszą się nawet w wyniku upartego działania mojego palca wskazującego, który od dziesięciu minut usilnie próbuje zrobić w nich dziurę. Kilka stolików obok dwóch Chińczyków mówi po swojemu, znany zapach papierosów opuścił to miejsce zastąpiony przez elegancką mieszankę zaschniętego potu, zwiertzałego piwa i odrobiny pastisu: czuć tu starość i tyle. Tego właśnie szukałam chwilę temu – zapachu mojej babki, który by przeniesiono do jakiejś speluny. Chciałabym zostać Kotem w Butach i przeskoczyć drugą część mojego życia, żeby dotrzeć bezpośrednio na fotel ze skaju i grać w warcaby z towarzyszką o niebieskawych włosach. Ale na razie, czekając na przeskoczenie kolejki, pozostaję tutaj, pod neonami, które świecą żółtym kolorem w dobrym guście, a nie dziennym światłem, które wydobywa wasze zaskórniki i zmarszczki. Ciepło tu. Na zewnątrz panuje mżawka. Mam mokre skarpetki, bardzo jestem ciekawa dlaczego. Sprawdzam i stwierdzam, że to przez dziurę w podeszwie, co jakoś tam mnie pociesza – więc logika istnieje. To trzeci bar bukmacherski, który okupuję, i tym razem trafiłam odpowiednio, od razu to poczułam, wchodząc, to miejsce na mnie czekało. Poczułam się jak u siebie, w tym cieplarnianym świetle, otoczona mężczyznami o twarzach przeoranych przez czterdzieści lat palenia, prawdopodobnie bezrobotnych (bo inaczej co by tu robili o dziesiątej rano?), po raz trzeci tego ranka próbujących szczęścia w totolotka na chybił trafił za resztkę swojego zasiłku. Tak jak oni przyglądam się ekranowi, na którym przemykają konie – działa to równie hipnotycznie jak patrzenie na akwarium i rozumiem, że można spędzać całe dni w tym świetle gościnnym jak wewnątrz macicy. Starsza kobieta podaje mi piwo, jej się nie spieszy, mnie się nie spieszy, nie ma co spodziewać się z zewnątrz czegokolwiek dobrego. Świat zatrzymuje się na progu tego baru – łona

bardziej gościnnego od brzucha mojej matki, z którego wyszłam, krzycząc, po siedmiu i pół miesiącach, wołąc bezpieczny pleksiglasowy inkubator. Dopóki zostaję na swoim krześle, nic nie może mi się stać. Sama wypełniam kupon totolotka i gorączkowo oczekuję na wyniki. Jak wygram, emigruję do Brazylii i zmieniam nazwisko, dzieciakom tak samo.

Zgłodniałam. Czuję powiew paniki, w tym barze nie dają nic do jedzenia. To jest prawdziwy bar, to znaczy miejsce, gdzie się pije, kawiarnia, z której nie wygania się klientów, kiedy tylko zbliża się południe, i gdzie w porze lunchu zbierają się wszyscy outsiderzy masowego żywienia, nieważne fast food czy slow food, wszyscy unikający metra w godzinach szczytu, lunatycy, nocni kierowcy, żyjący odwrotnym trybem, punki, alkomaty, no i ja. Tyle tylko, że ja nie jestem mocna w walce z głodem. Jest oczywiście opcja jechania dalej z piwem, aż nie osiągnę poziomu kalorii równego klasycznemu posiłkowi, ale moja wątroba jest w kiepskim stanie. A wychodząc stąd, ryzykuję spotkanie z dyrektorką szkoły, nauczycielką albo, kto wie, mężczyzną mojego życia. Biorąc pod uwagę, że mogę postawić krzyżyk na moich prawach autorskich, które pozwalają mi spłacać pożyczkę i opłacać zajęcia pozaszkolne moich dzieci, czyli też krzyżyk na debecie, który zaczęłam już negocjować, czyli też krzyżyk na moim płaszczu BA&SH, byłoby nie na miejscu dodawać do tej listy niepowodzenia szkolne, w które bezdyskusyjnie wpędzę moje dzieci z powodu zmysłu towarzyskiego, który budzi się u mnie powyżej pół grama alkoholu we krwi.

Dostrzegam przez szybę małą chińską restaurację (jest kwadrans po dwunastej, pora, kiedy paryżanie zaczynają walkę o miejsce przy stole), pustą, nie licząc obecności samej restauratorki, która je przy stoliku (być może w celu wywołania wrażenia, że mimo wszystko przychodzą tu tłumy). Tyle tylko, że ona rozpakowuje Big Maca dopiero co odebranego z okienka sąsiedniego halalowego fast foodu. Kiedy mówiłam, że mam szczęście, dokładnie tego było mi trzeba, łącznie z neonem, który został z pewnością zakupiony u tego samego dostawcy co neon w moim zbawiennym bukmacherskim barze. Bo dziś neon jest dla mojego stanu ducha tym, czym lep na muchy jest dla muchy, czym skóra mojego syna Adriana jest dla komara, czym witryna sklepu z butami jest dla moich oczu, krótko mówiąc: przyciąga mnie nieubłaganie.

Powoli wstaję, płacę miedziakami, zbieram się chwilę przed wyjściem. Dobrze wiem, że w pewnym momencie dnia świadomość strzelił mi

prosto w pysk i że być może ten moment właśnie nadszedł. Przebiegam przez ulicę na drugą stronę, żeby zanurzyć się w „przedpokoju” łona, które nie wydziela wcale tego samego zapachu zużytej frytury i świeżej cebuli, po czym siadam ciężko na pseudodrewnianym plastikowym krześle i zamawiam sajgonki z warzywami z woka. Żadnych wyścigów konnych, żeby zająć czyjś umysł. Alkohol wyparowuje ze mnie powoli, wracają do mnie urywki zdań, niczym napisy do filmu: mój SMS wysłany dziś w nocy o pierwszej trzydzieści.

W mojej głowie maszeruje, tańczy, podskakuje wkoło przede wszystkim początek i zakończenie: „halo”, „buziaki”, „buziaki, halo”. Zadomawia się we mnie wstyd, czerwone plamy pokrywają górę mojego gardła, a następnie policzki. W jednej chwili pojmuję, co oznacza spalić się ze wstydu, ciepło mi, moje ciało się rozkłada, jem sajgonki wielkimi kęsami, nie tracąc czasu na przeżuwanie, zamykam oczy, wmawiając sobie, że mnie nie ma – zawsze wierna osobistej teorii, według której jeżeli sama nie patrzę, to nie jestem widziana.

Dlaczego pisanie kciukiem (bo od niedawna przerzuciłam się z palca wskazującego na kciuk, naśladując w ten sposób przyjaciół mojego starszego syna, którzy mają już swoje własne komórki) nieuchronnie prowadzi do pretensjonalności i imbecyilizmu? Przecież kciuk jest tym, co odróżnia ludzi od zwierząt: „Anaksagoras utrzymuje, że człowiek jest najmądrzejszym ze zwierząt, bo ma ręce. Racjonalnym byłoby raczej powiedzieć, że ma ręce, bo jest najinteligentniejszy”. Moja ręka odruchowo pociera zaciekle o stół, jakby chciała coś wymazać. Ale plama pozostaje nie do wywabienia: gdzieś tam jest pewien mężczyzna, nowa osoba odpowiedzialna za wiodącą serię wydawnictwa o międzynarodowej renomie, mężczyzna, który od tygodnia zajmuje swoje biuro, układa ostatnie walające się po nim rękopisy, ustawia zdjęcia dzieci w ramce obok komputera, bierze sobie swoje obowiązki do serca, wciąż stawia na literaturę młodzieżową wbrew telewizyjnemu zalewowi japońskiej mangi, która od najmłodszych lat kształtuje zły gust, chce stworzyć armię opornych, czerpać z nich dziecięce i poetyckie akcenty, które pożerają społeczeństwo konsumpcyjne i dorosłość, celować w poryw ducha, poryw literatury. Ten mężczyzna dostał SMS-a od jednej ze swoich autorek i co w nim przeczytał? „Halo, sorry, sorry, buziaki”, najbardziej debilną prozę, która wyraża wszystko, czego on nienawidzi, wszystko, co zwalcza: cukierkowość, milusińskość, zdrobnienia, wyjąłowione emocje, głupawy

przesyt, potoczność, sztuczny język dziecięcy, oszukaństwo, nieświadome błazeństwo, brzydotę, obojętność, wulgarność, śliczny patos, transgresję, figlowanie, przeciętność, porażkę językową, dymisję języka francuskiego, Troskliwe Misie. Litaniu towarzyszy mój bezgłośny płacz, płacz przegranej, która godzi się z ceną swojego upokorzenia. Pewnie zostałam na resztę życia w tej chińskiej restauracji, gdyby kobieta nie przyszła powiedzieć mi, że zaraz zamyka.

Z powrotem na dworze, w deszczu, z dziurawymi podeszwami, z purpurowym czołem, podkrążonymi i zaczerwienionymi oczami, przyglądam się z pewnym zainteresowaniem grubej kobiecie o tłustych włosach, grzebiącej w śmietniku. Chciałabym do niej dołączyć, zaprzyjaźnić się, przytulić się do niej na ławce w metrze i niech wszyscy o mnie zapomną. Proszę mojego ojca, Régisa, żeby wybaczył mi hańbę – on nie zrozumiałby mojego pociągu do wyrzeczeń – tym bardziej, że być może ta kobieta nie wybrała sama jedzenia obierek zamiast sajgonek, które ja pożarłam, nawet nie zadając sobie trudu, żeby poczuć ich smak. Nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do domu i przez resztę dnia chłostać się po plecach, wyliczając winy i złe myśli, których nie spisuję już na liście na bieżąco i których na szczęście nie wysłałam w załączniku do mojego przyszłego-byłego-świętej pamięci redaktora serii.

Pokutę zaczynam od wejścia na trzecie piętro na piechotę. Staję zdyszana przed drzwiami, zapalam papierosa przed zabraniem się do szukania kluczy – po wysiłku zawsze smakuje lepiej – wreszcie otwieram. Moje pierwsze spojrzenie mimowolnie pada na niski stolik, na którym tkwi narzędzie zbrodni. Chwytam z drzeniem za iPhone'a 4, na którego ekranie śmieją się do mnie moi synowie. Promyk słońca przedziera się przez chmury. Bóg daje mi znak, wklepuję datę moich urodzin, żeby odblokować telefon. Jedna nowa wiadomość. Otwieram, jest podpisana „Émile Berthot”.

Siadam, nawet jej nie czytając, żeby uspokoić bicie serca i drzenie nóg. Wdech, wydech. Dlaczego nie wysłałam mu przeprosin z samego rana? „Byłam wczoraj wieczorem ze znajomymi, na koniec spotkania padł głupi zakład, jedna z moich przyjaciółek chwyciła za mój telefon i wysyłała na chybił trafił SMS-y do osób z listy kontaktów. Przerazona zorientowałam się, że znalazł się Pan był wśród ofiar...” Dorzucić trochę czasu zaprzeszczonego, żeby zapomniał o moim „buziaki”. Ale czy taka historia trzyma się kupy? Może coś mniej wyszukanego: „Dzieciaki cały wieczór bawiły się moim telefonem, bardzo mi przykro, proszę mi wierzyć”. To

wymówka, której już nadużyłam i która ociera się o prawdopodobieństwo, nawet mimo to, że właśnie z tego powodu zabroniłam synom (odkąd potrafią czytać) bawienia się moją komórką. Tylko że SMS został wysłany o pierwszej trzydzieści w nocy. Czy odpowiedzialna matka i specjalistka od młodzieży – która to młodzież jest nawet głównym odbiorcą jej twórczości – pozwala swoim dzieciom bawić się w środku nocy przedmiotem, o którym dowiadujemy się powoli, że nieubłagane powoduje raka mózgu? Dobra, tak czy inaczej jest za późno. Émile Berthot już odpowiedział. Pozostaje mi zebrać się w sobie i przeczytać jego wiadomość.

Nie będę przedłużać tych tortur. Zapalam papierosa i bardzo nonszalancko (w razie gdyby ktoś mnie obserwował) zabieram się do czytania. Ostatnie spojrzenie na moje dzieci, które wyświetlają się na ekranie, po czym otwieram wiadomość.

„Droga Joséphine, zaczynałem się niepokoić. Z przyjemnością uzgodniłbym termin najbliższego spotkania, w moim biurze albo poza nim. Jak Pani wygodniej. Émile Berthot”. Kiedy moje oczy obejmują zawartość tekstu, żołądek mi się rozluźnia, serce uspokaja, zalewa mnie fala ulgi, robiąc miejsce uniesieniu z rodzaju tych, których doświadcza się u szczytu okresu dojrzewania. Mimo wszystko czytam raz jeszcze, żeby upewnić się co do realności słów. Ale jednak wyraźnie tam są, w przytoczonym porządku, nadając zdaniu dokładnie to znaczenie, które sama odczytałam. Odkładam komórkę, drżąc, wstaję i ostatecznie siadam z powrotem na kanapie. Po raz trzeci czytam SMS-a. Te same słowa, ta sama struktura składniowa i logiczna, ale tym razem sens zaczyna się zmieniać. „W moim biurze albo poza nim”. Co przez to rozumie? Czy to zaproszenie? Sposób na przygotowanie terenu pod dyskusję o zażyłości, na którą sama się wystawiłam moim „buziaki, sorry”, głupim nadmiarem, przez który znów obrywam, którym otworzyłam drzwi byle jakiemu biedakowi, łącznie i przede wszystkim z moim hierarchicznym przełożonym, który, tak się akurat składa, jest mężczyzną, podczas gdy ty jesteś kobietą, skazaną na łaskę jego decyzji o kontynuowaniu lub nie naszej współpracy? Trzydziestoosmioletnią kobietą, w dodatku wolną (informacja, o której nie wspominam w moim CV, ale Marguerite z pewnością zatroszczyła się o przekazanie jej swojemu następcy, wiedząc, że ten ma pociąg do molestowania seksualnego)?

Z jednej otchłani w drugą, staram się powstrzymać upadek, chwycić się luźnego haka, żeby nie polecieć jeszcze niżej, moje palce wpijają się, ranią, czuję, jak moje ciężkie ciało ciągnie mnie w dół, za dwie sekundy roztrzaskam sobie czaszkę. Jasne, facet zakończył, pisząc stosunkowo grzeczne, uprzejme „Jak Pani wygodniej”. Ale jednak nie dołączając żadnego „Z poważaniem” albo „Z wyrazami szacunku”, z pewnością w jego ocenie zbyt oficjalnego w odpowiedzi na żalną wiadomość od niedorozwiniętego dziecka, które pisze *sorry* zamiast „przepraszam”, i przesyła „buziaki”, zamiast załączać „wyrazy szacunku” czy co tam jeszcze. „Buziaki” to znaczy „całować”, to znaczy kłaść moje usta na jego policzkach, to znaczy dotykać mężczyzny, którego nigdy nie spotkałam i który w dodatku jest redaktorem mojej serii. „Buziaki” to znaczy nie tracić ani chwili na przejście od ust do członka, o mój Boże.

Chowam twarz w dłoniach i ciągnę się za włosy, okręcam je wokół palców i miętolę, natrafiając na kosmyk o siedmiu końcówkach, jaka to przyjemna odskocznia pomimo swej symboliki. Chwytam za obcinacz do paznokci wciśnięty w fałdę kanapy i biorę się do cieniowania na własną rękę. Chociaż nie skończyłam jeszcze z zaszyfrowaną wiadomością.

„Jak Pani wygodniej”. Czyli pozostawia mi wybór. Przynajmniej nie pisze do mnie na „ty”, do czego upoważniałby go mój ton. Piłeczka jest po mojej stronie i jeżeli potrafię dobrze czytać, unosi się tu dwuznaczność. Moim zadaniem jest dookreślenie. Nadszedł czas, aby przywrócić rzeczom ich właściwie miejsce, więc postanawiam przyjąć surowy ton, żeby dobitnie podać mu do wiadomości, że decyzja już zapadła, pomimo incydentu z nieszczęsnym SMS-em, do którego nie warto wracać. Chyba że dam mu do zrozumienia, że nigdy nie otrzymałam jego wiadomości? Ale to zakładałoby, że moja wiadomość też nigdy nie została wysłana, innymi słowy, że próbuję go nakłonić do wiary we wróżki (ale w sumie sama w nie wierzę, więc czemuż by nie on?).

Biorę kartkę papieru, żeby uniknąć jakiegokolwiek pośpiechu. Nie ma nic lepszego niż brudnopis, pościerany z każdej strony – wiem coś o tym, w końcu napisałam piętnaście książek – zanim osiągnie swoją idealną formę. „Drogi Émile’u Berthot – nie pomyliłam się tu w kwestii „h”, proszę wybaczyć mi to „x”, ale taki już mam rokokowy gust, francuska pisownia nigdy nas nie zawodzi, ma w sobie aspekt dobrowolności, i to dlatego lubię operować w niej tym, co niewidoczne. Proszę spojrzeć na język mówiony, kiedy tylko wprasza się do pisania, głupiejemy od tego. I mam tu na myśli

totalnie ogłupienie, jeżeli zamiast „ucałowania” można napisać „cmok”, powracając tym samym do onomatopei i do prostej mowy, która nie jest jeszcze językiem, zgodzi się pan ze mną, to znaczy do czysto mechanicznej fazy języka, który nie jest nawet w stanie dowieść istnienia umysłu, dokładnie tego samego umysłu, który odróżnia nas od zwierząt”.

Czuję, że mnie poniosło. Z niejakim wysiłkiem, bo skracanie tekstu zawsze uważałam za przymus – mam generalny problem z pograżaniem się w żalobie, ale to nie czas, żeby się nim dzielić – skreślam ten akapit. „Drogi Émile’u Berthot... dziękuję za wiadomość”. Skreślam. Za co dziękuję? Nie ma co dziękować, że stara się ze mną spotkać, skoro czeka nas rozmowa o mojej nowej książce. Ostatecznie to ja jestem autorką, nie mam powodu ustawiać się na podrzędnej pozycji, dziękując mu tak od razu. Już na szkolnym podwórku dziękowałam chłopcu, któremu pilnowałam plecak przez całą przerwę, żeby mógł iść pograć w piłkę, dziękowałam mojej matce, która budziła mnie za późno do szkoły, za to, że jednak mnie obudziła, i za sok pomarańczowy, którego zupełnie przez przypadek nikt nie dopił przed moją pobudką, została kropelka dla mnie, zawsze coś, dziękuję.

Skreślam. Zaprzeczanie przestaje działać, kiedy się je napisze. „Szanowny Panie, wiadomość dotarła, w przyszłym tygodniu jestem wolna i gotowa na spotkanie W BIURZE”. Przedział czasowy jest zbyt duży, pomyśli sobie, że nie mam nic do roboty, a zagadkowe sformułowanie „jestem wolna” połączy ze sobą nasze podświadomości, podczas gdy ja chcę mu dać do zrozumienia coś dokładnie odwrotnego (Freud zajmuje czasem miejsce Kanta, podszeptując mi do ucha rady, co niestety nigdy nie uchroniło mnie przed błędami). Nie ma też co podkreślać „W BIURZE”, pomyśli o mnie, że coś sobie ubzdurałam (co jest zgodne z prawdą), jeżeli bowiem jego wiadomość nie kryła w sobie żadnej podświadomej intencji, to ja z kolei wyjdę na nimfomankę, co mogłoby pociągnąć za sobą jedną z możliwych interpretacji mojego pierwszego SMS-a. Na tym etapie redakcji zaczynam się zastanawiać, czy jemu wysyłanie swojej wiadomości zajęło równie dużo czasu. Wyobrażam go sobie przed komputerem, jak pisze jednym palcem, potem kasuje, potem pisze jeszcze raz, daje do przeczytania najlepszemu przyjacielowi, żeby się upewnić, szuka w Safari potwierdzenia pisowni każdego słowa. Rozczulam się nad jego wahaniem, kołataniem serca, chciałoby się powiedzieć: młody mężczyzna, jednocześnie podniecony i nieśmiały – Émile’u, pora dorosnąć!

Podsakuję na dźwięk telefonu. Wyświetla się imię mojego brata. Postanawiam nie odbierać, ale żeby nie myślał, że go „odrzucam”, czekam aż dzwonek ucichnie sam z siebie, co wytrąca mnie z twórczego rozpędu. Właściwie mogłabym poprosić go o ocenę mojego brudnopisu, ale mój brat, nieustannie czatujący na jakąś seksualną przygodę, potrafiłby podpowiadać mi tylko dwuznaczne frazy, tak więc z przyjemnością powracam do mojej pracy w samotności, koniec końców rozweselającej. Po ponownym napisaniu „Szanowny Émile’u Berthot”, łamie mi się grafit w ołówku. Zdarzają się czasem drobne rzeczy, które niektórzy uznają za nieistotne, a które jednak potrafią doprowadzić człowieka do łez. Tym bardziej że nie mam zielonego pojęcia, gdzie znajduje się temperówka Gabriela. Pójdę i przekopię się przez jego rzeczy, uważając, żeby się nie zorientował. Nie da się tam nic znaleźć. Korzystam z okazji i zbieram jego skarpetki i majtki porozrzucane tu i tam, wącham je, żeby upewnić się co do stanu ich czystości. Nie wiem już, w jakim celu przyszłam do jego pokoju, mniejsza z tym, pochłania mnie teraz coś nowego: zrobić pranie. Przetrzęsam cały dom, żeby pozbierać wszystko, co się wala, i wpycham rzeczy do bębna pralki – kiedy nagle przypominam sobie o temperówce. W desperacji chwytam za zaostrzony nóż i strugam wkład.

Po powrocie na kanapę czuję się wyprana i nie jest to gra słów. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Jeszcze raz czytam wiadomość od Émile’a Berthot. Na co cały dzień i noc zmarnowane dla zwykłego, informacyjnego SMS-a? Na co bukmacherski bar, który przyjął mnie jak gościnnie macica (co osobiście uważam za oksymoron)? Na co paskudny chińczyk, gdzie zjadłam bez gryzienia sajgonki – chociaż ich nie lubię – bo to jedyne danie, którego nazwę znam, co pozwala mi zaoszczędzić trzy kwadransy spędzone na lekturze azjatyckiego menu? Na co bazgranie po białej kartce i palec niemalże ucięty przy doprowadzaniu do stanu używalności wybrukowane narzędzie – ołówek? Na co było zawracać sobie głowę mglistym nieznanym, z którym całkiem wbrew sobie nawiązałam więź, najpewniejszą i najbardziej poufałą: więź upokorzenia? Tutaj przestaję się umartwiać, bo od źle zatemperowanego ołówka do upadku mojego związku, do smutku moich dzieci, do braku miłości mojej matki, do obaw związanych z moją kreatywnością i strachu o przyszłość dzieli mnie tylko jeden krok. Postanawiam z tym skończyć i piszę trzydziestego SMS-a : „Dzień dobry Panu. Jestem dyspozycyjna we wtorek lub czwartek. Z poważaniem, Joséphine Fayolle”. Wysyłam.

Nie było to takie trudne, ale mam wrażenie, jakbym przebiegła maraton nowojorski. Oto jestem – wymęczona w momencie, kiedy zaczyna się prawdziwa praca. W środę prowadzę zajęcia o pojęciu „możliwości” u Bergsona, a nawet nie skończyłam jeszcze układać konspektu. Muszę się pospieszyć, od powrotu dzieci dzieli mnie raptem kilka godzin. Sama myśl, że José z pewnością pojawi się razem z nimi, jest dla mnie źródłem niepokoju. Czeka mnie kolejna rozgrywka – wszystko będzie zależało od jego nastroju i pilnych spraw, które przyspieszą jego wyjście, ale zasadniczo, kiedy przywozi dzieci, nie umawia sobie żadnych spotkań na następne trzy godziny, przez co regularnie jestem zmuszona dawać mu do zrozumienia, że pora iść, wywołując u niego praktycznie niezmienną odpowiedź: „Wyganasz mnie? Bardzo dobrze. Nigdy nie masz ochoty rozmawiać, więc pójdziemy do sądu, skoro tego chcesz”. Groźba, która dotychczas nie pociąga za sobą skutków, co pozwala José wygłaszać ją ponownie raz na tydzień, kiedy już skończy opowiadać mi o swoim nowym raku jelita grubego, guzie mózgu albo stwardnieniu rozsianym, którego ma wszystkie objawy (czasem nawet zdobywa się na wizytę u lekarza, o ile któryś z nich nie zwęszy w José idealnej ofiary, José spędza na wizytach u lekarzy więcej czasu niż ze swoimi dziećmi). To również z tego powodu opóźniło się nasze rozstanie: jak tu zostawić mężczyznę, który umiera?

Tak więc, kiedy trzy godziny później, gdy mam już połowę mojego wykładu, chłopcy wpadają czerwoni i podekscytowani popołudniem spędzonym na rolkach, wszystko toczy się po staremu. Podczas gdy dzieci starają się opowiedzieć mi gremialnie, czyli jeden przez drugiego, o piruetach wykonanych przez każdego z nich i upadkach, które zdarzyły się temu drugiemu, José wchodzi za nimi i zaczyna szperać: „Gdzie schowałaś moje zdjęcia rentgenowskie?”. „Dobry wieczór”. „Tak, dobry wieczór-co-słyszać, Charlotte, a moje zdjęcia? Gdzie są? Potrzebuję ich na jutro”. „Nie rozumiem, jakim cudem twoje zdjęcia rentgenowskie mogłyby się tutaj znaleźć, biorąc pod uwagę, że to nigdy nie był twój dom”. To proste stwierdzenie nie robi na nim wrażenia, José ma na wszystko wytłumaczenie: „Oddaj mi je, Joséphine, nie rozumiem, jaki masz cel w tym, żeby je ukrywać”, a mówiąc to, wchodzi do mojego pokoju i rewiduje mi biurko – rękopisy, prace studentów, rachunki lecą w nieładzie na podłogę.

Przyglądam mu się, stojąc w drzwiach mojego pokoju, osłupiała i bezsilna. Odpowiedź oznacza usankcjonowanie jego szaleństwa, ale brak

reakcji będzie miał ten sam skutek. Biorę się w garść i podchodzę bliżej. „Masz mnie uprzedzać, kiedy chcesz wpaść. I nie pozwalam ci grzebać w moich rzeczach”. „Nie bój nic, naprawdę nie interesują mnie twoje historyjki o transpłciowych psach”. „Ach tak, zapomniałam, Wielka Obsesja. Co tym razem? Języczek? Wyrostek? Mózdzek? A nie, czekaj, serce!” „Nabijaj się dalej, nie będzie ci do śmiechu, kiedy odbiorę swoje wyniki”. „Zęby mądrości?” José zatrzymuje się ze wzrokiem oszalałym z powodu karygodnego wykroczenia, którego moja lekka ironia dopuściła się pod adresem jego wnętrza. Bowiem jego wnętrza są święte, mieści się tam tyle potencjalnych nowotworów, że José analizuje je jak jasnovidz fusy po kawie. Kocha swoje wnętrze do tego stopnia, że bardzo je uzewnętrznia. „Do czego zmierzasz, Joséphine? Chcesz mnie upokorzyć? Nie wystarczy ci to, co już zrobiłaś? Znasz mnie, Joséphine, kiedy ktoś próbuje mnie dobić, mogę zacząć wariować”. „Zdaje mi się, że już do tego doszło”. José napiera na mnie, cofam się. Gdyby dzieci nie podeszły do mnie z tyłu, być może by mnie uderzył. Zatrzymuje się i zaczyna grzebać w szufladzie, atakując plik przelewów bankowych. Korzystam z okazji: „Powiedz, skoro już tak interesujesz się moimi rachunkami... Kiedy zamierzasz zapłacić mi alimenty?” „Alimenty? A na co? Żebyś codziennie robiła dzieciom makaron na kolację?” „Bo jesteś mi je winien, i to za pół roku...” „Starczy już tego, nie przy dzieciach. Żadnych hamulców, nie masz żadnych hamulców”, mruczy, nie przestając wywracać do góry nogami moich rzeczy, w moim pokoju, na oczach moich dzieci. „José, wyjdź w tej chwili i przestań zostawiać u mnie rzeczy, żeby mieć potem pretekst do przychodzenia po nie...” Ale José zamiast tego zmienia wyraz twarzy. Ze łzami w oczach siada na kanapie w salonie, kładzie sobie rękę na głowę i bełkocze jakieś „przepraszam, sam już nie wiem, co robię”. Taki ruch jak zwykle wytrąca mnie z równowagi. José licytuje dalej: „Mogę zostać pięć minut?”. Mój wzrok miota błyskawice, ale nikt nie wydaje się tego dostrzegać. Obydwaj chłopcy gorączkowo oczekują na moją odpowiedź. Nadchodzi oschła, ale i tak już przegrana: „Pięć minut”. Innymi słowy, ani jedna dłużej. José wyciąga nogi na niski stolik, jakby był u siebie, pytając mnie, czy nie mam ochoty się czegoś napić (w sensie: nalej mi coś do picia). Zabieram się do tego, nie otwierając ust, żeby nie wybuchnąć. Gabriel i Adrien przyklejają się do siebie na kanapie, korzystając z tej nieoczekiwanej obecności ojca w salonie matki, po scenie paniki, o której chcieliby zapomnieć.

Otwieram butelkę, przynoszę dwa kieliszki i pomimo decyzji, żeby nie pić – wczorajsze ekscesy wciąż dają się mojej czaszce we znaki, a dzielenie tej intymnej chwili z José wzbudza we mnie mdłości – łykam naraz kieliszek sancerre. Żeby zająć czymś ręce i nie patrzeć na scenę z m o i m byłym mężem rozwalonym na m o j e j kanapie, tej samej, na której spędziłam wyczerpujący dzień, przygotowuję makaron n a t r z e c h p o m i d o r a c h (moja zasada „na wszelki wypadek” w końcu się sprawdza), z drżącymi rękoma, mrowieniem w stopach, przeczuwając nadchodzące zawroty głowy. Nie patrzę na zegarek, ale wydaje mi się, że pięć minut już minęło – bez jakiegokolwiek zmiany w salonie. Zanoszę makaron na niski stolik, José się zachwyca: „Wygląda nieźle! Mogę spróbować?”. Adrien odpowiada „oczywiście”, zanim w ogóle zdążę coś wtrącić. Jestem więc zmuszona jemu też nałożyć porcję i pogodzić się z tym, że zostanie na kolację (co w konsekwencji oznacza również, że będę musiała po nim pozmywać). Stoję oniemiała – ale starannie powstrzymuję się przed tykaniem jedzenia, żeby nie sprawiać wrażenia, że dzielę z nim ten posiłek, choć jestem głodna. José je powoli, bawiąc się spaghetti. Sam sobie nalewa kolejny kieliszek wina, a ja sparaliżowana i milcząca czekam, aż chłopcy skończą jeść, żeby ogłosić: „No już, do łóżek, jutro szkoła, pospieszmy się!”. Tymczasem jeden chce deser, a drugi, który nauczył się odczytywać godzinę, zwraca mi uwagę, że jest dopiero dziewiętnasta. „No i dobrze, dziewiętnasta to doskonała pora, macie niedobór snu”, mówię do nich, myjąc naczynia. José wreszcie wstaje, w obliczu moich coraz bardziej poirytowanych gestów. „Bardzo chciałbym, abyśmy porozmawiali”. „Przecież jesteś tu od godziny! Nie mamy już sobie nic do powiedzenia!” Na co Gabriel pyta płaczącym głosem: „Dlaczego nie zejdziecie się z powrotem?”. I tu wszystko, co trzymałam w sobie od początku wieczoru, eksploduje: „Bo się już nie kochamy!”. José poprawia: „Nie, to nieprawda, ja akurat nie wiem, czy cię już nie Kocham, wciąż cię Kocham na swój sposób”. Wskazuję mu palcem drzwi. „Widzisz – próbuje José – zawsze uciekasz od dyskusji. Musiałś zapomnieć, jak dorośli rozmawiają ze sobą...” „Wyjdz”. José, ledwo nad sobą panując, wychodzi z furią z pokoju i trzaska drzwiami. Adrien mnie pyta: „Dlaczego nie mówi do widzenia?”. „A widziałeś kiedyś, żeby tata mówił „do widzenia”, serce ty moje?”

Trzęsąc się ze złości, albo ze strachu, spędzam trzy kwadransy na zmywaniu i zbieraniu moich papierów. Nie ma mowy o posortowaniu ich dziś wieczór. Gromadzę je w wielki stos i układam na biurku, wpadając nie

na zdjęcia rentgenowskie José, ale na jego okulary. Korci mnie, żeby je połamać i wrzucić do śmieci, ale wybieram wyjście moralne (czyli karygodne) i wkładam je do tornistra Adriena, starannie je wcześniej opluwając.

Całkiem normalny niedzielny wieczór: dzieci nie pójną spać o dziewiętnastej trzydzieści, bo najpierw będę się czuła w obowiązku długo im opowiadać przed zaśnięciem, portretując główne postaci, o różnicach między miłością a przyjaźnią (pomijam nienawiść), o więzach między rodzicami nawet kiedy się już nie kochają, o miłości do dzieci, niezmiennej, z uprzejmości będę całkiem unikać krytykowania ich ojca w jakikolwiek sposób. Mocne wyzwanie. Zakończone nokautem, kiedy po ładnych piętnastu minutach głaskania po głowie mojego młodszego, który inaczej nie zaśnie, odkrywam wesz. Gabriel płacze z upokorzenia: „Przecież dopiero co przeszliśmy kurację Wszawiksem! Nawet tydzień nie minął!”. „No cóż, wielka kuracja Wszawiks wraca do łask”, mówię z triumfem. Tym razem obiecuję Gabrielowi zupełną i ostateczną eksterminację i nie myślę już tylko o wszach. „Dziś wieczór?” – pokrzykuje. „Nie, kochanie, jutro – wystarczy nam po jednej przykrości na dzień”.

DZIEŃ 4

W którym myszy przejmują władzę, podczas gdy psom odmawia się książeczki oszczędnościowej

Odprowadzanie dzieci do szkoły pozwala uniknąć błędzenia po wszelkiego rodzaju bukmacherskich barach, chociaż wczorajsza awantura mogłaby pchnąć mnie w tym kierunku – dziś dzień abstynencji. Ale tak *à propos* abstynencji, to zaczynam się poważnie niepokoić. Być może dla zabicia czasu i w ramach higieny cielesnej powinnam odpowiedzieć Martinowi? Odpisał mi, kiedy tylko udało mu się spławić dyżurnego lekarza. Wiem jednak, że Martin zawsze pozostawia mnie w stanie smutku destrukcyjnego bardziej niż marność mojej codziennej egzystencji, w gruncie rzeczy możliwej do ogarnięcia. Nie wspominając o tym, że potrzeba by cudu, żeby Martin w dwa dni odzyskał swój słynny wigor, chyba że w tajemnicy odstawiłby neuroleptyki – wahałam się kiedyś, czy mu tego nie zasugerować. Tymczasem Kant najwyraźniej poszedł dziś rano na spacer, a mój rozum razem z nim. Zamiast korzystać z dobroczynnego efektu pierwszego papierosa (zazwyczaj przychodzą mi po nim do głowy pomysły), klepię w telefon: „Szesnasta trzydzieści u mnie?”.

Wykorzystuję tych kilka godzin, które dzieli mnie od spotkania w banku, żeby przejrzeć papiery – deklaracje podatkowe, wyciągi i inne pilne sprawy. Nieproszona rewizja José miała ten jeden plus, że przywróciła je do porządku dziennego. Wypełniam, segreguję, sortuję, układam w kupki, chowam do szuflad. Na koniec, żeby wynagrodzić sobie odrobienie pańszczyzny, odpalam YouTube, wpisuję „pierwsze castingi” (ta nowa zakładka przyprawia mnie o zawrót głowy) i puszczam zapętloną Charlotte Gainsbourg. Przypominam sobie czystą radość, jaką odczuwałam przez kilka minut dwadzieścia osiem lat temu, kiedy mój ojciec uświadomił mi moje podobieństwo do Charlotte, podobieństwo, które mogło w końcu sprawić, że ktoś mnie zauważy, a które moja matka czym prędzej mi zohydziła. Wspomnienie miesza się ze wstydem, wstydzę się swojej twarzy,

swojego zbyt wątłego ciała, za małych piersi, zbyt bladej cery, więc przerzucam się na The Black Keys, żeby obudzić moją pamięć erotyczną. Całe godziny mogłabym spędzać przy *Little Black Submarines* – równie seksownego obiektu fantazji nie miałam od Jima Morissona – czyli trochę czasu już upłynęło. Po minucie zaczynam tańczyć, żeby poczuć ciało Dana Auerbacha tuż przy moim, o którego kantach zapominam, jego ręce w moich włosach, potem na moich pośladkach, wtulam się w jego mokry od potu tors, on śpiewa mi do ucha, jego głos świdruje mi w brzuchu. Gdybym została Charlotte, gdyby słowa mojego ojca przeważały nad słowami mojej matki, gdyby moje dzieciństwo było inne, być może byłoby to możliwe – nie, już by do tego doszło. Stało się inaczej. Pozostają mi cierpiący na chorobę maniakalno-depresyjną i więźniowie z naprzeciwka. Pewnego dnia rozwalę mój mur berliński i wezmę w ramiona cały pęk seryjnych morderców, którzy przez lata czynili mnie obiektem swoich fantazji, jako że nigdy nie zasłaniałam okien podczas przebierania się, wykonując jedyny dobry uczynek, na jaki mnie stać na rzecz tych biednych nieboraków w rui, gnijących po drugiej stronie ulicy. Oto co mi dziś pozostało z mojej seksualności: sprawianie przyjemności dewiantom seksualnym przez wystawianie się na ich widok – w dodatku nie mam nawet pewności, czy mnie oglądają.

Tymczasem nagle wibruje mój telefon. Wiadomość od Émile’a Berthot. Moje serce znów łomocze – skąd we mnie to przecucie nieuchronnej katastrofy za każdym razem, kiedy wyświetla się jego imię? „Tak w razie czego: wypadło mi dziś spotkanie o szesnastej... może byłaby pani wolna?” Koncentruję się tylko na jednej kwestii: czy będę już wtedy po spotkaniu z moim doradcą bankowym? Czy powinnam odwołać Martina, który jeszcze mi nie odpowiedział? Bez przekonania postanawiam poczekać na odpowiedź od tego drugiego, pozostawiając sobie opcję wystawienia go, o ile on sam nie rozważa podobnego wyjścia, wtedy nie wiadomo by było, kto kogo tak naprawdę wystawił. Daję sobie jeszcze godzinę na rozstrzygnięcie, czas na przekazanie czegoś, potem przejrzę swoją garderobę i przygotowuję się na obydwa spotkania – mój doradca bankowy skorzysta z okazji.

Ale na progu kuchni staję jak zaklęta: naprzeciwko mnie, spokojnie umoszczona na środku stołu siedzi mysz, zajadając resztki wczorajszej bagietki... Przerazona patrzę, jak kończy jeść ostatnie okruszki. Postanawiam zacząć śpiewać na cały głos, żeby ją przegonić. Ale moje

„W środku dżungli, potężnej dżungli, lew stary mocno śpi...” kompletnie jej nie wzrusza, wręcz prowokuje: mysz staje w miejscu i patrzy mi prosto w oczy, po czym z powrotem zanurza głowę w piętę. Uciekam do salonu, myślę, żeby wezwać pomoc przez okno, jednocześnie przypominając sobie, że za jedynych sąsiadów naprzeciwko mam kilkunastu więźniów z nosami przyklejonymi do krat, równie bezsilnych co ja – chociaż oni z pewnością bardzo chętnie przysliby mi z pomocą.

Nagle czuję się winna dysproporcji między ich losem a moim, dysproporcji, którą jestem zmuszona stwierdzić, więc postanawiam pominąć posiłek, żeby zaoferować im w ramach widowiska seans przebierania się i spłacić tym samym swój dług. Otwieram duże drzwi od szafy i postanawiam załatwić to szybko. Ale w tym samym momencie, w którym odkrywam nieskończone możliwości, jakie skrywa moja szafa, dopadają mnie wątpliwości. Nie pójdzie tak łatwo. Ponadto po krótkiej kalkulacji dochodzę do wniosku, że czas pominiętego lunchu pokrywa się z czasem poświęconym na rozważania – wychodzi na zero, więc mogę bez skrępowań oddać się poszukiwaniu odpowiedniej koszuli.

Trzeba pójść drogą eliminacji. Cieszy mnie ten napad racjonalności: niektóre koszule są skreślone na starcie – przynoszą mi pecha, wiem to z doświadczenia. „No to po co je trzymasz?” – pyta mnie Kant, patrząc wymownie. „No cóż... nie wiem... Kto wie, czy wyrzucenie pechowej koszuli nie przynosi jeszcze większego pecha? Lepiej nie ryzykować”. Kant wygląda, jakby ocenił, że to wystarczające wytłumaczenie. Inne koszule są poplamione, ale nie piorę ich, bo boję się, że nie wytrzymają w pralce – ich materiał jest zbyt niepewny.

Po pewnym czasie, który spokojnie starczyłby mi na lunch, decyduję się na koszulę brudny róż i obcisłe džinsy, zamszowe kozaki, trochę w stylu country, i czerwony sweterek. Są takie osoby, które zabroniłyby mieszać brudny róż z czerwonym, ale według mnie zestaw jak najbardziej pasuje, nawet jeżeli sweterek przykrywa tak starannie dobraną koszulę – podejrzewam, że przy takiej szarzyźnie, jaka dziś panuje za oknem, nie będę miała okazji go zdjąć. Nie można powiedzieć, że bym podkreślała swoją kobiecość – ale jaką znów kobiecość? (szepcze moja matka).

Po dotarciu do metra, jako że wciąż nie mam wieści od Martina, postanawiam wreszcie odpisać Émile’owi Berthot. „Szesnasta, doskonale”. Sprawy, w gruncie rzeczy, dobrze się układają. Mogłabym powiedzieć

mojemu doradcy bankowemu, że szykuje się dobra wiadomość i że przymierzam się do podpisania umowy. „Chciałam zrobić panu niespodziankę i przyjść z umową, ale wyprzedził mnie pan!” – wyobrażam sobie tę kwestię wypowiedaną do niego ze zwycięskim uśmiechem. Urojenie to jest tak radosne, że ostatecznie sama zaczynam w nie wierzyć i z lekkim sercem zatrzymuję się przed jednonogim żebrakiem, który stoi pod plakatem z filmu *Tupot małych stóp* (celowo się tak ustawił? Staję z wrażenia, zafascynowana taką aranżacją). Jednonogi wyciąga do mnie swój mieszek, uśmiecham się do niego, nawet nie myśląc o tym, żeby wyjąć portmonetkę. Przyglądam mu się jak dziełu sztuki ruchomej, współczesnej instalacji à la Mike Kelley, aż wreszcie mężczyzna zaczyna mnie wyzywać. Porażona napadem świadomości, zdaję sobie sprawę, że jednonogi naprawdę jest jednonogi, jego pudełko naprawdę jest puste, a ja go upokorzyłam. Sparaliżowana wyrzutami sumienia, otwieram portmonetkę i wyjmuję z niej banknot dziesięcioeurowy, który czekał samotnie między dwoma paragonami. Otrzymuję w zamian szeroki bezzębny uśmiech i uciekam biegiem, świadoma tego, że straciłam dziesięć euro nie przez dobre serce, ale ze wstydu.

Wychodzę z metra lekko zaniepokojona i wchodzę do banku. Siadam w fotelu i dla zabicia czasu, bo mój doradca bankowy każe mi czekać (od razu narzucając panujący układ sił), czytam ulotkę, jedyną dostępną tu literaturę, i rozmyślam o nadzwyczajnej umowie, którą nowy redaktor serii, Émile Berthot, z pewnością mi zaproponuje. Charlotte Gainsbourg, która postanowiła mi dziś towarzyszyć – cóż to za pomysł, żeby surfować po stronie z pierwszymi castingami? – szepcze mi do ucha: „Wynegocjujesz sobie ten debet!”. „Ale co ty o tym wiesz – odpowiadam jej od razu – byłaś kiedykolwiek na debecie?” „Zaczynasz mnie poważnie wpieniać, Joséphine, twoja matka jednak miała rację, a poza tym nie przypominasz mi aż tak bardzo”. Przed taką zniewagą niżam ton, co wydaje się odpowiadać hostessie przy wejściu, która przyglądała mi się kątem oka. Przyznaję się do porażki: „Oczywiście, czeka mnie *tabula rasa*”. Kartezjusz wtrąca się bez zaproszenia do rozmowy, zapewniając mnie, że „nie ma nic lepszego, żeby ugruntować pozostałą część mojej egzystencji, niż nadać jej fundament”. Pasjami lubię *Medytacje o pierwszej filozofii*, ale przyznaję, że w obecnej chwili jego argumentacja nie rozwiewa moich wątpliwości.

Ucinam krótko tę jałową dyskusję i rzucam okiem na rodziny na kredowym papierze. Blond mężczyzna, blond kobieta, blond dziewczynka,

blond chłopiec i blond pies, na trawiastym tle, patrzą na ciebie z uśmiechem i wyrzucają, że ostatnio rozeszłaś się z ojcem swoich dzieci, że te dzieci są brunetami, i że codziennie zastanawiasz się, czy to już czas na wizytę u psychiatry dziecięcego w celu wspólnego przejścia przez kryzys przedwiekim-dojrzewania, który na skutek rozwodu może zdarzyć się przedwcześnie – chłopcy mają tylko dziewięć i siedem lat. Domyślałam się po zdrowym wyglądzie rodziny na ulotce, że żadne z ich dzieci nie śpi nigdy w łóżku rodziców, że pytają, czy mogą odejść od stołu, i myją ręce po powrocie ze szkoły. Rodziny szczęśliwe, niemniej jednak przewidywalne, wręcz altruistyczne, bo przecież nie zapominają między wiejskim piknikiem a wspianym urodzinowym podwieczorkiem z wynajętym klaunem promować polisy na życie, to znaczy przewidywać rychłą śmierć jednego z jej członków. Przyglądając się uważnie zdjęciu, dostrzegam teraz raka, który drąży wątrobę tatusia – powód, dla którego zdecydował się na polisę na życie – i alkoholizm, którego niezupełnie udaje się ukryć pod makijażem matki. A co do dzieci, to nie jest w ogóle pewne, czy to ojciec ze zdjęcia je spłodził...

Wyrzucam tę ulotkę, ale przyciąga moją uwagę kolejna: czarna rodzina, w tej samej pozie, ale bez psa. Oni także, pomimo że są czarni, pomyśleli o podpisaniu polisy na życie: bank towarzyszy ewolucji społeczeństwa i nie zapomina o zapewnieniu miejsca widocznym mniejszościom, które przystraja w to samo rodzinne szczęście – białe szczęście, tyle że w innym kolorze. Potem w banku powiedzieli sobie: z psem czy bez? Nie, pies to przesada, podejrzenie o neokolonializm i protekcyjność, niech sobie będą szczęśliwi, nie ma problemu, ale żeby zaraz mieli posiadać labradora? Nie ma co przesadzać. Ostatecznie labrador stał się, za czasów Giscarda d'Estaing, oficjalnym akolitą prezydentów Republiki, co prawda po drugiej stronie Atlantyku Obama wygrał wybory, ale we Francji integracja nie przekroczyła jeszcze progu przystrajania kolorowej rodziny prezydenckim psem. Na te kwestie jestem wyczulona, jako że moi rodzice sami podarowali mi labradora na ósme urodziny. Tak, pomimo tego, że żaden z członków mojej rodziny nigdy nie piastował najwyższych funkcji, w celu wynagrodzenia mi wyraźnego deficytu uczuciowego zgodzili się (przynajmniej mój ojciec) wyprowadzać zwierzaka rano i wieczorem, dopóki ich nie zastąpiłam. Z Balou czułam się bezpieczna, czułam, że dotykam palcem Historii, poza tym, że zbierałam jej odchody, co nie każdy robi.

Czytam prozę towarzyszącą obrazkowi, już dziesięć minut siedzę w tym fotelu, ale nie mogę powstrzymać się od myślenia o psie – piaskowy labrador, zupełnie jak mój kiedyś. Szukam w przypisach oznaczonych gwiazdkami, na dole tej oszałamiającej karteczki, ale nie, nie ma nic o książeczce mieszkaniowej ani oszczędnościowej, odmówiono mu nawet polisy na życie. Kłamliwa reklama. Gdybym była choć trochę pieniaczem, rozpętałabym kampanię w prasie: co stanie się z psem ze zdjęcia w przypadku zdziesiątkowania rodziny? Zostanie wydany na pastwę Towarzystwa Ochrony Zwierząt, będzie błąkał się sam po ulicach, bez choćby cienia jakiejś Książeczki Obligacji Trwałego Rozwoju, jakiegoś Zróżnicowanego Planu Oszczędnościowego, który zapewniłby mu dostatek na stare lata? Jakie to okrutne. Gniotę ulotkę.

Oto on, we własnej osobie. Mój doradca bankowy. Tyle tylko, że go nie poznaję. Musi poprosić mnie po nazwisku, Joséphine Fayolle, żebym zrozumiała wreszcie, że to on. Na moim czole wyświetla się skrucha: obydwójce wiemy, bez zmuszania się do wielkich deklaracji, że przekroczyłam przysługujący mi debet. I to znacznie. Tak naprawdę przyszedłam do niego, żeby dał mi po łapach, zbeształ, dał klapsa. Żeby wyznaczył mi moje prawa i obowiązki, określił granice, powiedział, ile kosztuje moja potrzeba bycia dyscyplinowaną, odegrał rolę ojca, dał mi terminy spłat i nadzieję, zasady postępowania, cele. W zamian jestem gotowa ofiarować mu hojną prowizję, jemu i jego bankowi, który niedawno zrujnował swoich drobnych akcjonariuszy. Tymczasem pytam go: „Jaki los czeka psy?”. Wydaje się zaskoczony. „Psy z ulotki, czy są ubezpieczone na wypadek śmierci?”. Mój doradca bierze pytanie bardzo na poważnie, ale czuje się zobowiązany pokręcić przecząco głową i odpowiedzieć: „Znajdziemy jakieś rozwiązanie”. „Nie, ja go nie szukam, chodzi o zasady, nie lubię, kiedy okłamuje się ludzi”. „Racja, proszę pani”, mówi, żeby mnie uspokoić, chociaż „proszę pani”, którym częstują mnie też moi studenci, mnie drażni. Mimo to nie tracę z pola widzenia faktu, że po raz kolejny trafiłam pod kreskę, nieustająco wydając więcej, niż zarabiam, co z matematycznego punktu widzenia prowadzi do ruiny.

Znów wzbiera we mnie złość: ten szeregowy pracownik dopiero co wypuszczony ze szkoły być może ma na to niewielki wpływ, ale jednak postanowił służyć wielkiemu kapitałowi, który wszystkich nas wysłał na bruk (tak, byłam trockistką w liceum, to był mój sposób na podrywanie jedyńskich dostępnych facetów, czyli brzydali, frustratów – nie wmówicie

mi, że spędzanie życia na czytaniu Marksa w wieku szesnastu lat nie ma nic wspólnego z byciem prawiczkim). Krótko mówiąc, jest trochę odpowiedzialny za mój debet, tak samo jak my wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za jego wybór ścieżki zawodowej, bo wszystko jest polityką, nieprawdaż? „Mamy do rozwiązania mikroproblem, nie chodzi tu o globalną gospodarkę”, uprzedza mnie. „Chodzi o przysługujący limit. Przekroczyła go pani”. O mało co nie mówię mu: „Balansowanie na granicy przypomina mi, że żyję – nawet jeżeli wyznacza mi ją doradca bankowy, właściwie zwłaszcza wtedy, jeżeli robi to doradca” – w ostatniej chwili się powstrzymuję. Wybieram oportunizm. „Czekam na alimenty od męża. Wyliczyłam, że jeśli zapłaci mi to, co jest mi dłużny, to zawiązką starczy mi na spłatę debetu...”

Mój doradca zbywa jednak tę postmałżeńską logikę i ze znakiem zapytania w oczach wskazuje mi palcem wydatki na ekranie swojego komputera, sugestywnie odwróconego w moją stronę. Sto pięćdziesiąt euro w sobotę. „W dodatku tuż po moim telefonie”. Czuję, że powinnam nadać swojemu zachowaniu jakiś sens: „Widzi pan, kupowanie butów w tej cenie to bezczelne ze strony córeczki byłego kierownika dworca, który całe życie głosował na skrajną lewicę... Oda do wolności, szalony akt transgresji! Jestem dwa tysiące na minusie i kupuję sobie buty”. „Dokładnie to próbuję zrozumieć”. „Nie mówiąc o tym, że prawdopodobnie ich nie założę, ale pociesza mnie ciąg butów ustawionych wzdłuż ściany mojego pokoju. Przyglądam im się i sprawia mi to przyjemność. To takie moje sztabki złota, tyle że nie potrzebują skarbcza”. „Ale ich kurs spada z dnia na dzień” – ogłasza pracownik banku, chociaż sam ukrywa pod biurkiem parę westonów.

Z potrzeby odkupienia wypalam: „Jest pan moim motorem. Kiedy osacza mnie niepokój, kiedy nie wiem już, z czego opłacić zajęcia piłkarskie mojego syna, wpadam na pomysł – historia jękającego się księcia. Zaczynam pisać, rozsyłam wieści, zbieram zamówienia, nawet jeżeli są superwstydlive – to nie pora na ujawnianie wszystkich moich występków – ruszam się i dzięki panu produkuję. Oto moja dialektyka. Zaczynam sobie pozwalać, kiedy pan przestaje mi pozwalać. Jest pan moim katalizatorem, odskoczną, lekkim uderzeniem w policzek, które wygania mnie z pana snów, z pana drobnymi błędami ortograficznymi pozostawionymi w mailach. Jest pan moim punktem oparcia, inspiracją”. „Nie proszę panią o tak wiele. I przepraszam bardzo, ale to są literówki, a nie błędy

ortograficzne...” Zaskakuje mnie jego zła wola, ale niesiona swoim zapałem, kontynuuję: „Proszę mi wybaczyć. Proszę mi wybaczyć, że nie potrafię trzymać pieniędzy, nie potrafię ich pomnażać, przepraszam za elegancko układane maile, których pisanie zajmuje mi pół dnia, ale z których najwyraźniej nic pan nie rozumie, bo używam nieodpowiedniego słownictwa, a wszystko, co jest produktem finansowym, brzmi dla mnie jak obca mowa”. Jestem o krok od zalania się łzami: „Przepraszam za „błędy ortograficzne”, ale kiedy ktoś pisze „Proszę u wysłanie mi podpisanego upowarznienia”, to jest jednak błędny wybór, a nie przypadkiem naciśnięty klawisz, tego mi pan nie wciśnie!”. Doradca, cały czerwony, bełkocze: „Niech pani posłucha, nie jestem tu po to, żeby wysłuchiwać pani komentarzy (zastanawiam się w głębi, czy postawiłby tu przecinek), ale żeby wyjaśnić sprawę debetu, która może się dla pani przerodzić w poważny problem”. „Wie pan, że istnieją inne banki, wystarczyłoby mi po prostu przenieść się gdzieś indziej”. Ten argument zdaje się wreszcie uspokajać mojego rozmówcę. Nie chciałam, naprawdę nie chciałam grać na motywie konkurencji, ale nie wiedziałam nawet, że dysponuję tą nędzną bronią.

„Widzi pan, nie jestem ani skąpa, ani rozrzutna, tylko tkwię dokładnie pośrodku: jestem kimś, komu nie udaje się branie na poważnie ani siebie, ani pieniędzy” (nienawidzę ludzi, którzy zaczynają zdanie od „jestem kimś, kto”, mój doradca bankowy wyciąga ze mnie to, co najgorsze). „Zawsze byłam z mężczyznami, którym nie starczało na życie. Przynajmniej wtedy, kiedy z nimi byłam, bo przed i po jakoś sobie radzili. Poza jednym przypadkiem, wielkiego uczucia do milionera. Nie wiem, czy rzutowało to na pożądanie seksualne, jakie w stosunku do niego odczuwałam, ale bardzo szybko zaczęło mi to ciążyć. Że ma tyle pieniędzy. Że zamieszkuje apartament marszanda albo ministra, że wszystko jest takie proste, takie łatwe, to właśnie kochałam i tego nie znosiłam jednocześnie, i drogo za to zapłaciłam”.

Dlaczego mu to wszystko teraz opowiadam? Nic mu nie jestem winna, a on ma w nosie moje życie. Tylko właśnie jest ono poniekąd w jego rękach. On jest władzą, a ja winowajcą. Ledwo weszłam do banku, miejsca zostały zdefiniowane, doskonale wiadomo, po czyjej stronie leży władza, bardzo dokładnie odczuwa się własną niemoc, podrzędność, zbędność swojego bycia w obliczu cyfr figurujących w komputerze. Więc szuka się strategii, żeby zaistnieć choć trochę, najlepsza z nich z pewnością jest

przeciwieństwem mojej: rościć sobie prawo do czegoś, walczyć, mówić „nie”, odwracać układ sił, chronić swoją przestrzeń, zaczynać od nowa życia na debecie. Tyle tylko, że na moim debecie nie ma życia, na moim debecie jest nieobecność i cień, są tam moje narodziny, jest brak miłości mojej matki, słabość mojego ojca, są tam moje za małe piersi, jest moja niedawna separacja, są moje smutne dzieci.

Zaczynam płakać pod tym bladym neonem, który upodabnia mnie do trupa. Krzesło jest niewygodne, trzeba się garbić, żeby normalnie usiąść. Doradca pochyła się, szuka jakiegoś papieru w torbie, albo może chusteczki, nic nie znajduje, pozostaje tak ze zwieszoną głową, ucieka w ten wielki nieforemny worek, ukrywa się tam. Inny doradca ożywia się obok. Pleksi, które oddziela nas od niego, jest tylko symboliczną przegrodą, biorąc pod uwagę, że widzi mnie i słyszy oraz rzuca ukradkowe spojrzenia, udając brak zainteresowania.

Próbuję uciec przed wstydem, wyobrażając sobie, że jestem gdzie indziej. Na ratunek idzie mi pocztówka stojąca na biurku: biały piasek na plaży, przezroczysta woda, Morze Śródziemne, albo może Pacyfik, automatycznie budzi to we mnie wspomnienia ostatnich rodzinnych wakacji. Wszyscy czworo w Calanques, butelka różowego wina w kubelku z lodem, pływaki dla Gabriela, maska do oglądania ryb, skoki do wody ze skał, na które się wspinaliśmy, doskonałe piękno krajobrazu, moich synów, José, i tęsknota za pięknem, kiedy już się nie kocha. Odwracam głowę do mojego doradcy i słucham go z zaangażowaniem, żeby zapomnieć o tym obrazie. „Rozumiem, że przechodzi pani trudny okres. Ale tym razem nic już nie mogę dla pani zrobić. Daję pani dziesięć dni na załatwienie tego problemu, w przeciwnym razie będę zmuszony cofnąć pani uprawnienia do debetu”. Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem, i siedzę tam dalej, oszołomiona, z tyłkiem przyspawanym do krzesła i opadniętą szczęką. Mój doradca, zniecierpliwiony, wstaje i podaje mi rękę, uprzedzając tym samym prawdopodobny atak werbalny z mojej strony. „Mam kolejne spotkanie. Proszę mnie informować na bieżąco”. Nie przyśniło mi się, mrugnął do mnie.

Wtedy nadochodzi mnie straszna potrzeba siku. Pęcherz uwiera mnie w brzuch jak stópki płodu. To było z góry do przewidzenia, biorąc pod uwagę dwa litry herbaty wypite dziś rano. Nie poddam się panice, po wyjściu na pewno znajdę jakąś kawiarnię. Ale tam będzie trzeba zapłacić za konsumpcję, co w obecnych okolicznościach wydaje się niezalecane. Co do

Émile'a Berthot, zdecydowanie nie mogę wejść do jego biura i spytać go od razu, gdzie znajdę miejsce odosobnienia – o ile w ogóle dojdę aż tam, nie pękając po drodze. Krzyżuję nogi, wiercę się na tym przeklętym beżowo-brązowo-różowym krześle (jest dopasowane do dywanika), podczas gdy mój doradca wydaje się zastanawiać, co jest grane. Najłatwiej byłoby go spytać o toaletę, ale mam poczucie, że to nie wypada. W tym miejscu ciało jest zakazane, jedyna swoboda, jaka się tu liczy, to swobodne zadłużanie się.

Pęcherz zaraz mi eksploduje. Doradca kręci się, pokasłuje i przypomina mi o swoim kolejnym spotkaniu. Na co rzucam: „Czy jest tu toaleta?”. „Tak – odpowiada zażenowany – w głębi korytarza na prawo”. Wstaję, napotykam spojrzenie jego kolegi (gdyby nie byli tu obydwaj razem, mogłabym ich ze sobą pomylić) i zakradam się do świętego miejsca banku. Obok WC mikrofalówka i ekspres do kawy, rolka ręczników papierowych i gąbka, całość doskonale czysta, co tyczy się także pisuaru i klozetu – urocze słowo, które wyszło już z użycia. Panuje totalna cisza, więc w zasadzie wszystkie biura w open space będą mogły usłyszeć spuszczaną wodę, a czemu by nawet nie strumień moczu uderzający o emalię przed spłynięciem w głąb. Ma się nawet wrażenie, że wszyscy specjalnie milkną, żeby się przysłuchiwać. Skręcam się, żeby zdusić hałas, puszczam wodę w kranie, żeby go zagłuszyć, odrywam ładne kilkanaście listków papieru toaletowego, dla samej przyjemności marnotrawstwa, w końcu nikt mnie nie widzi. Wychodzę, lustruję otoczenie, przeglądam się w lustrze, zdrapuję czarny wągier, który pozostawia czerwony ślad na moim policzku, patrzę, czy nie walają się przez przypadek jakieś czekoladki z rodzaju tych, które podkrada się w restauracjach, często można je znaleźć przy ekspresach do kawy, ale absolutnie nic takiego tam nie ma. Nic nigdzie nie wystaje, nie czuć nawet zapachu. Otwieram szafki, znajduję cukier, podbieram cztery saszetki i jeszcze łyżeczkę dla czystej przyjemności. Wkładam ją do tylnej kieszeni dzinsów. Wystaje. Przyglądam się mojemu ubraniu, żeby znaleźć odpowiednią skrytkę: skarpetka, oczywiście! Mniejsza już o filiżankę do kawy, którą zamierzałam ukraść.

Wycofuję się. Łyżeczka uwiera mnie, stuka w małą kość, której nazwy nie znam, to ta, co tak paskudnie boli, kiedy się człowiek uderzy o ramę łóżka. Mój doradca ledwo podnosi wzrok, kiedy go mijam, ma już inne spotkanie, takie próbuje sprawiać wrażenie, ignoruje mnie, już nie istnieję – klientka nie może być niczym innym jak tylko debetem na swoim koncie,

w podziemiach banku natura nie ma prawa głosu. A jednak jemu burczy w brzuchu, słycać to aż z korytarza. Uwolniona od problemu z pęcherzem, zwycięska, mierzę go wzrokiem, żeby zrozumiał, że nie jestem głupia: doskonale słyszałam jego burczenie. „Toaleta wolna”, oświadczam przed dotarciem do wyjścia. Czuję skarpetkę zsuwającą mi się z kostki przy każdym kroku oraz wrogi wzrok mojego doradcy na swoich plecach – gdyby drzwi znajdowały się dziesięć metrów dalej, zostałabym nakryta.

Kiedy tylko powracam w końcu do życia ulicy, wibruje mi telefon. Martin: „Będę za dziesięć minut”. Z niejaką satysfakcją klepię w ekran (zapominając, że zwracam się do uciekiniera): „Za późno!”, jednocześnie schodząc do metra. Zrobienie dwóch rzeczy naraz bywa czasem zbawienne. Nagłe zdarzenie zobowiązuje mnie do niezwłocznego działania, co biorąc pod uwagę moją nadmierną rozwlekłość i brak filtra między myślą a pisaniem – powód mojego sukcesu w literaturze młodzieżowej i mojego upokorzenia w literaturze SMS (i można by tu odjąć tę drugą „S”) – oszczędza mi zarówno wątpliwości, jak i popadania w śmieszność.

Oto stałam się ekspertką od miłosnej manipulacji. Wystarczy tylko stępić moje palce, które mogłyby pisać dalej, plątać się w wyjaśnieniach i szybko zniwelować efekt mojego „Za późno!”. Kiedy wreszcie wsiadam do metra, zabieram się rezolutnie do lektury Bataille’a, którego zabrałam na wszelki wypadek, to znaczy żeby uniknąć myślenia o kolejnym spotkaniu. Jasne, przed przyjściem schowam go głęboko do torby: mógłby zostać wzięty za zaproszenie do erotyzmu, a postanowiłam nie zapuszczać rozmowy w te rewiry. Witam się z recepcjonistką – znam ją dłużej niż Émile Berthot, to mi daje kilka punktów przewagi: czuję się w tym wydawnictwie jak u siebie i nie pozwolę się wymeldować. Niemniej jednak muszę zgłosić swoje przybycie i upewnić się, że na pewno chodzi o byłe biuro Marguerite. Moja przewaga gubi się już w tych drobnych procedurach i kończę na pozycji petenta, który musi wykazać swoją tożsamość, żeby zostać uznanym przez swoich, po długich latach nieobecności. W głowie rozbrzmiewa mi piosenka Serge’a Reggianiego – nie wiem, dlaczego w moim przypadku muzyka zawsze natarczywie wtrąca się jak nieoficjalna ścieżka dźwiękowa mojego życia: „To ja, tu Włoch, czy jest tu może kto, czy jest tu może kto?... Otwórz no! No już, otwórz no...” – co podkreśla patos tej sceny albo jej burleskowość, co kto woli. Wciąż wychodzi na to, że żyję w nieustannej

komedii muzycznej, co pozwala mi się oderwać. Każdy ma swoje metody na przetrwanie rozmów o pracę.

Winda staje na trzecim piętrze, korytarz, potem następny, trzecie drzwi po lewej, pukam. Nowa sekretarka prosi mnie o kilka minut cierpliwości, sprawia wrażenie, jakby ledwo dostrzegła moją mękę, podobną do tej, którą przeżywa Bill Murray w *Dniu Świstaka*. Kiedy idę usiąść naprzeciwko niej, coś upada na ziemię: zapomniałam o łyżeczce! Sekretarka rzuca zaciekawione spojrzenie, po czym gwałtownie się odwraca: rozpoznała we mnie heroinistkę na głodzie, która chowa sprzęt do skarpetek (te akurat nie są dziurawe, ale skąd miałyby to wiedzieć?). Ostrożnie podnoszę przedmiot, desperacko szukając wytłumaczenia na jego obecność, możliwego zastosowania poza tym charakterystycznym dla narkomanki – specjalistki od literatury młodzieżowej. Ale naprawdę nie znajduję. Poza przepracowaniem, przez które zapominam o prawidłowym zastosowaniu przedmiotów – praca, dzieci, zmęczenie, rozstanie i przede wszystkim doradca bankowy, to wystarczające wytłumaczenie. W ostatecznym napadzie świadomości przypominam sobie poprzedni hałas i powstrzymuję się w ostatniej chwili. Nadrabiam to, oferując jej łyżeczkę – jej, która parzy kawy częściej niż rzadziej – podkreślając, że jest nieużywana.

Otwierają się drzwi.

Choć uważam, że słowa mają wpływ na rzeczywistość, to trzeba przyznać, że moja konfabulacja o „sobowtórze George’a Clooneya” nie wywarła żadnego wrażenia na twarzy Émile’a Berthot. Mój zawód jest podszyty zaciekawieniem, bo Émile Berthot ma to, co nazywa się g ę b ą. Nie ładną, nie, a zresztą to by mi przeszkadzało, nie lubię ładnych mężczyzn. No to mam. Wielki nos, zbyt duże usta, oczy szare, ale przenikliwe, które zdają się bawić – najpewniej mną, bo jako jedyna stoję naprzeciwko niego, w kostiumie nastolatki, z szyją pokrytą czerwoną wysypką i czerwonymi plamami na twarzy, które świecą się jak znaki alarmowe podczas nocy na morzu. Zdejmuję płaszcz, który wciąż miałam na sobie w przedpokoju, tak bardzo byłam zajęta swoją łyżeczką. Zastanawiam się, gdzie go powiesić, a w tej samej chwili on podchodzi uścisnąć mi dłoń, co przez chwilę jest niezręczne, jako że moja ręka wciąż tkwi uwięziona w rękawie, a ja potrzebuję co najmniej minuty, żeby ją uwolnić. Tym razem już nie tylko jego oczy się śmieją, ale i usta – a przynajmniej się uśmiechają, co wywołuje we mnie jeszcze większe

zmieszanie. Ostatecznie odpowiadam uściskiem jego dłoni, z ramieniem w rękawie, wilgotną dłonią, ale nic na to nie poradzę, po czym upuszczam na podłogę krępujące mnie odzienie, wpychając je pod biurko stopami, udając, że go nie dotykam. Zaprasza mnie gestem, żebym usiadła. Nie mam szczęścia, są tylko dwa krzesła. Mój los rozgrywa się według wyboru, przed którym stoję i który jednocześnie mnie ogranicza. Powtarzam sobie w głowie szybkie *ene due rabe*, które wypada na krzesło po prawej, mniej wygodne, po czym wybieram to drugie, nie mając żadnego przekonania co do decyzji, którą przypadek lub podświadomość, jak zwał, tak zwał, podejmuje za mnie.

Émile Berthot czeka, przyglądając się mojej gestykulacji, wciąż z uśmiechem (ironicznym?) na ustach. Ale zanim wzbierze we mnie złość, on przerywa ten wstęp, w którym akcja wyprzedza dialog – moja strata – żeby zaproponować mi kawę. W tej samej chwili zaczynają krążyć przede mną obrazy łyżeczek, które podstępnie tańczą farandolę. Zapominam odpowiedzieć, ale moja głowa musiała skinąć, jeżeli oceniać po tym, że wykonuje telefon do swojej sekretarki i zamawia dwie kawy. Pomimo wstydu, modłę się, żeby się pospieszyła, wtedy będę miała czym zająć ręce. Ale sekretarka wcale się nie spieszy, to jedyna władza, jaką dysponuje, ten podstępny sadyzm, który rozpoznaję w jej spojrzeniu rzuconym mi przy wyjściu. Nie zauważyłam rozmiaru strat: minispódniczka, szpilki, twarz anioła, rozmyte niebieskie oczy utkwione w swoim nowym szefie z lubieżnym błyskiem i fałszywą niewinnością, która niby to pozostawia go obojętnym – bowiem taki z niego dobry aktor. Oczywiście to nie moja liga. W obliczu tej upokarzającej reżyserii gubię myśli, które i tak nie kłębiły się już w mojej głowie. Zaczynam grzebać w torbie, przypominając sobie nagle, że nie włączyłam w mojej komórce trybu wibracji, co od razu naprawiam. Nie żebym zakładała, że zostanę zalana wiadomościami przez te pół godziny, które Émile Berthot bardzo chciałby mi poświęcić, ale nigdy nie zaszkodzi sprawiać takiego wrażenia. Kiedy już zasiadam na fotelu, jakieś swędzenie opanowuje owłosioną skórę na mojej lewej ręce. Wnioskuje z tego z przenikliwością, na którą nie stawiałabym zbyt w tej akurat chwili wielkiego napięcia, że mam wszy, czemu nie brak logiki: wczesnym rankiem znalazłam obydwu synów w moim łóżku, leżących z głowami tuż przy mojej głowie. Już widzę, jak spędzimy ten wieczór: wspólne mycie włosów, pranie prześcieradeł, kołder i poszewek na poduszki, seans czesania moich nieufnych synów i mnie samej – odnajduję

w tym pewną przyjemność, do tego stopnia, że korzystam z grzebienia na wszy co rano – grzebień ten najwidoczniej nie działa prewencyjnie.

Émile Berthot wytrąca mnie z tego zamyślenia, pytając, co nowego z moim rękopisem. Przez sekundę nie wiem już, gdzie jestem i o czym do mnie mówi, ale odnajduję wątek. „Mój rękopis?” „Tak, w końcu jest pani na jakimś etapie?” To zdanie wydaje mi się dziwne. Czy nie ma tu znów seksualnego podtekstu, kierującego naszą rozmowę na teren, którego chciałam unikać od czasu mojego nieszczęsnego SMS-a? Jestem na etapie dołka, siedzę po rozstaniu w ciemności, w moim pustym mieszkaniu, z kieliszkiem wina o siódmej wieczorem, samotna aż po szyję. Tak, rzeczywiście, jestem na jakimś etapie. Czy właśnie o to mnie pyta, z tymi psimi oczami opadającymi na boki i czułą presją swoich wilgotnych ust, uroczą, pewnie, ale niebezpieczną? Nie tracę czujności. „Jestem na etapie?” – odpowiadam niewinnie, żeby potwierdził mi otwartość swojego zdania. Albo je dookreślił. No niechże się w końcu zdecyduje. „Pisanie nowej książki? Tak to sobie pozwoliłem zrozumieć”.

Ten człowiek zdecydowanie dziwnie się wysławia, pozwala sobie zrozumieć, to znaczy że rozmawia sam ze sobą? Żeby uprzedzić jakąkolwiek zbyt niepokojącą dziwaczność, odskakuję. „Kto panu tak powiedział?”, oczekuję jak ostrza gilotyny odpowiedzi: „No przecież oczywiście Mister Hyde”, żeby zobaczyć, jak w końcu wychodzi z niego coś diabolicznego, ciemna i złowroga część walcząca na moich oczach z Jekylllem. Ale on odchodzi od tematu: „Marguerite szepnęła mi o tym kilka słów, być może się zapędziła...”. Marguerite, zdrajczyni, dałam jej do przeczytania kilka stron, które obiecała zachować dla siebie. „To fantastyczne!” – powiedziała (ale jaki mam na to dowód?). – „Nie wyrzucaj tego, pisz dalej”. Bo Marguerite akurat mnie znała, ale myliła się co do jednego: ja nie wyrzucam, ja porzucam. Zapominam, zmieniam kierunek, ale zachowuję, mogłabym ułożyć powieść na tysiąc stron z początków moich historii, powieść, która opisywałaby moją niemoc, mój strach przed zakończeniem, mój strach przed podsumowaniem, mój strach przed rozstaniem. Odchodzę wcześniej, ale zachowuję. Zakładam nową teczkę. Zaczynam nowe zdanie, otwieram nową opowieść. Tak, moje początki są fantastyczne, ale co ze środkiem, co z zakończeniem? Nie mogę tego odkładać. Potrzebuję tej umowy.

„Tak, oczywiście, jestem z pracą na jakimś etapie” – podchwytuję jego słowa, w gruncie rzeczy jest dokładnie tak, jak mówię, jestem na

początkowym etapie, nie wiem jeszcze czego, po czym rzucam się prosto w ogień – „Może z tego wyjść interesująca książka, tylko jeszcze musiałby ją pan przeczytać” (co mogłoby zabrzmieć jak wyrzut, ale wzywa tylko do odwagi). „Na nic innego nie czekam”.

Przyglądam się Émile’owi Berthot, żeby dopatrzeć się ironii, ale jej tam nie ma. „Mogłabym pokazać panu kilka pierwszych stron...”, zapędzam się (nic więcej na razie nie napisałam). „Z przyjemnością, nawet więcej”. (Nic innego nie mam). „Przyszedłem do tego wydawnictwa wyłącznie dla pani tekstów, uwielbiam je od samego początku. Mamy tu grupkę pisarzy dokładnie odpowiadających mojej własnej definicji literatury młodzieżowej. Dzięki pani nie opuszczam dzieciństwa. Dzięki pani odkrywam inny wymiar dzieciństwa, które trwa aż do dorosłości”.

Tutaj opada mi szczęka. Czyżby właśnie prawił mi komplementy? Dlaczego? Od razu robię się nieufna. Taki efekt wywierają na mnie komplementy, robię się oschła i nieuprzejma. „Świetnie. Proszę przekazać mi szybko swoje wrażenia i wyznaczyć terminy, lubię mieć jakieś ramy. Gdybyśmy mogli podpisać umowę, oczywiście nie dla pieniędzy, tylko żeby mieć ramy...” Słabnę pod koniec tego zdania, bo negocjowanie zaliczki jest ponad moje siły, pomimo żywej potrzeby jej uzyskania. Mam wrażenie, że jestem złodziejką, uzurpatorką, wrywając temu dopiero co poznanemu mężczyźnie wypłatę, przez co skończy na bruku. Wiem doskonale, że nie straci na tym ani grosza, ale tak to jest, sprawy finansowe zawsze powodowały u mnie zmieszanie. Dlaczego więc wypuszczam się tak obcesowo na ten teren, jeżeli nie po to, żeby go odsunąć, sprawić nieprzyjemne wrażenie i zmusić go, żeby zapłacił, dosłownie, za komplement, który rzucił mi w twarz i który odebrałam jako policzek? „Ależ oczywiście. Chciałem z panią o tym porozmawiać, moglibyśmy pomyśleć o drobnym podniesieniu pani zwyczajowych zaliczek, wynegocjowałem to już z dyrektorem finansowym. Po dziesięciu latach współpracy wydaje mi się to zasadne”.

Czego on próbuje? Chce mnie przekupić? Kupić? Pomniejszyć mnie? Nie wiem, jak zareagować na tę nagłą i nieoczekiwaną ofertę, ja, która przyszedłam błagać, żeby pozwolili mi zostać w tej serii za wszelką cenę – i lepiej by tego nie można ująć, bo byłam gotowa nawet za to zapłacić. Wzięta z zaskoczenia, marszczę brwi, wiercę się na krześle: „Jestem gotów pani wysłuchać, proszę tylko zaproponować kwotę”, mówi do mnie, odczytując moje gesty straszego zmieszania jako rozgrzewkę przed

negocjacjami. Zaraz wybuchnę, korci mnie, żeby zrezygnować z takiego przywileju, i poczuć się nieco lepiej, odnaleźć grunt w tej dyskusji bez ładu i składu. „Jest mi to obojętne”, rzucam, z nadzieją na usłyszenie kwoty adekwatnej do mojego poziomu. „Proszę samemu zdecydować, ile jestem warta”. Mam świadomość tego, jak strasznie brzmi to zdanie. Ale on wydaje się dobrze bawić. „Doskonale, podeślę pani pisemną propozycję, ale w zamian za to chciałbym rękopis w przeciągu sześciu miesięcy, czy to możliwe?” Na tym etapie rozmowy wszystko wydaje mi się możliwe albo niemożliwe, obydwie opcje się neutralizują. „Postaram się”, próbuję przeczekać, z resztką rozsądku, który przychodzi mi na ratunek. „Doskonale – mówi odrobinę zmieszany. – Gdyby mogła pani informować mnie na bieżąco o postępach i gdybym mógł czytać regularnie to, nad czym pani pracuje, byłoby mi bardzo miło”. „Dlaczego?” Tym razem poczuł się zaatakowany: „Bo mnie to interesuje, ale jeśli nie ma pani w zwyczaju zaczytywania wszystkiego przed zakończeniem pracy, zrozumiem. Z zasady nie molestuję autorów”.

Gdyby wypowiedział to zdanie na początku naszej rozmowy, ulżyłoby mi. Strach przed molestowaniem, tutaj w biurze i pomimo hojnie obdarzonej przez naturę sekretarki, wzbudził moją ostrożność. Teraz, kiedy on je odrzuca, jestem gotowa oddać mu wszystko. „Dobrze, mogłabym dawać panu coś do poczytania stopniowo, chociaż nie mam takiego zwyczaju, muszę najpierw komuś zaufać”. Przychodzą mi wtedy na myśl moje „buziaki” i mam ochotę posypać głowę popiołem (to z pewnością skuteczny środek na pozbycie się wszy). „Rozumiem. Nie znamy się. Wydawała mi się pani mniej zamknięta w naszej wymianie SMS-ów, ale ten rodzaj korespondencji jest zawsze mylący”. Nikczemnik, wyciąga mi moją gafę, mój wstyd, moją plamę nie do zmycia, ale jednocześnie oferuje okazję do usprawiedliwienia się. „Przykro mi z powodu tego SMS-a, to nie ja go napisałam”. Unosi brew, zapraszając mnie do rozwinięcia. Czego nie mogę zrobić, wolę być oschłą, niż kłamać dalej. „Szkoda”.

Teraz naprawdę mu się przyglądam i opada ze mnie napięcie, które ignorowałam, choć ono oplatało wszystkie moje mięśnie, odbierało mi głos. W filmie wstałabym i pocałowała go prosto w usta, on wziąłby mnie w ramiona i pożarł moje ciało. Ale ja jestem tu, nieruchoma, skamieniała, skrepowana w swoich ruchach, zdaniach, przykuta do siedzenia po lewej (to po prawej wystrzeliłoby mnie do akcji, wyzwoloną, z pewnością to dlatego wybrałam to po lewej), sparaliżowana. Przestraszona nawet gwałtownością

własnego ciała, które zaczyna się trząść. Muszę szybko uciekać. Ale jestem przykręcona do fotela. Cisza opada na nas, jak przykrywka na deskę od serów. On to wytrzymuje, podtrzymuje, nie boi się. W moim głosie zaczyna pobrzmiwać zwątpienie. „To ja... ja już pójdę... muszę odebrać dzieci ze szkoły...”, ostatnia zagrywka, żeby wrócić do konkretów, wcisnąć między jego i mnie rzeczywistość pod postacią moich dzieci, ich obowiązków, ich wszy, ich koszmarów, ich grzanek na śniadanie, solonego masła kupowanego w dyskoncie, stołówki do opłacenia, pralki pełnej brudów, dziurawych skarpetek do zacerowania, kompotów do wypicia, schowanych w głębi spiżarki, szczoteczek do zębów potrzebujących wymiany, zbliżającej się wizyty u pediatry, dzienniczka do podpisania, *Harry’ego Pottera* do przeczytania, buziaków na dobranoc, na które czekają ich czoła... Czy on widzi, tak jak ja, jak defilują te obrazy oczywistości, ta materia radości, miłości, zmęczenia, daru, absolutu, poczucia winy, realności, jedynej realności uczuciowej, która czyni ze mnie rzeczywistą osobę?

Wstaje i znów wyciąga do mnie rękę. Waham się, czy podać mu swoją, bardziej wilgotną niż zwykle, ale niemożliwe jest odmówić mu tego. Oddaję mu ją, przypominając sobie w ostatniej chwili, że nie ma nic gorszego niż mokra ręka, i ściskam jego dłoń po męsku, niemniej jednak poluźniając uścisk w środku, po czym zabieram ją z powrotem. Jego pot miesza się z moim – bo owszem, jego również jest wilgotna, co wcale nie jest dla mnie odpychające – i ku własnemu zaskoczeniu przykładam sobie rękę do policzka zaraz po przekroczeniu progu. On nie zamyka za mną drzwi, a ja czuję, jak stoi niezdecydowany na progu, uważny i spięty zarazem, być może szuka wzrokiem swojej asystentki, ale tylko być może.

Sama nie wiem, jak wróciłam. Zdaje mi się, że piechotą. Droga powrotna wymyka mi się z biegiem dnia. Błąkam się po nabrzeżach Sekwany, po chaotycznych ulicach, które prowadzą mnie na chybił trafił. Na taką przypadkowość nie mam co liczyć w mojej dzielnicy, w parku Montsouris, do którego zbaczam, zanim dotrze do mnie, że jest dokładnie pora na odebranie dzieci ze szkoły. Nie myślę. Odmawiam myślenia. Kiedy zacznę o tym myśleć, wszystko to przestanie istnieć, znam się. Być opanowaną przez swoje ciało. Zapomniałam już, co to takiego. Wkrótce to będzie tylko idea, fantazja przygotowywana od chwili pierwszego SMS-a, czysta konstrukcja mojego umysłu. Wkrótce zacznę podawać w wątpliwość nie tylko styl, w jakim przebiegło spotkanie, lecz także samo spotkanie jako

takie. Wkrótce odzyskam swój życiowy kompas, jedyne, który pociesza mnie, moich więźniów z naprzeciwka i mój matczyne kierat.

O osiemnastej jestem przed szkołą. Widzę, jak jeden za drugim wychodzą moi synowie, i wyciągam do nich ręce. Wtulają się we mnie, trochę zaniepokojeni taką dawką uczuciowości, ale bynajmniej niezrażeni uściskiem – chodzi tylko o to, że nie może on trwać za długo. Mam wrażenie, jakbym spotykała ich po długiej rozłące. To przecież moje maluchy, te, które nosiłam w brzuchu, potem karmiłam, przebierałam, usypiałam, wyściskiwiałam, budziłam co rano, zanim nie rozstałam się z ich ojcem. Ich miękkie ciała, ich zapach – nagle jestem tym porażona. Tymczasem Adrien wydostaje się z mojego uścisku, mówiąc do mnie z wyrzutem: „Mamo!”. Pozwalam, żeby dołączył do swoich kolegów, zmieszany, ale odprowadzam go zakochanym wzrokiem, pozostawiając w mojej sieci drugiego małego, bardziej uczuciowego, który pozwala mi się zaduszać oparty o mnie. Zabieram ich do domu, zatrzymując się w piekarni, żeby kupić im ptysie i rogaliki z czekoladą. Nie mają odwagi za bardzo mnie wypytywać, ze strachu, że odwołam ten nietypowy podwieczorek na rzecz bananów dojrzewających na stole i zwyczajowej grzanki z masłem. Proponuję im, żebyśmy zrobili razem zakupy i żeby sami wybrali, co zjemy na kolację, po czym z radością wrzucam do koszyka keczup i mrożone frytki, pałeczki surimi i białą czekoladę Crunch. Koszyk wstydlivej rozkoszy, koszyk transgresyjnej radości – przy kasie dorzucam nawet żelki truskawkowe i proponuję im po jednym opakowaniu dla każdego. „Dziś wieczorem oglądamy film pod kołdrą. Pojutrze nie idziecie do szkoły!”, argument średnio akceptowalny, przyznaję, ale moi chłopcy skaczą z radości, nie mogąc uwierzyć w tyle uciech. Wbiegamy na górę i zabieramy się do szykowania posiłku, wszyscy razem, z „Osez, osez, Joséphine” w tle, które puścili z płyty i które znają na pamięć. Obyłabym się bez tego, zwłaszcza że zmienili słowa na „José José Joséphine”. Zasłaniam okna, odcinając moich więźniów od tego spektaklu radości, który ma pozostać intymny, nie zapominając jednak o pomachaniu do nich. Jemy, oglądając *Opowieści z Narnii*, ciała moich synów stopniowo osuwają się na mnie i leżymy jak winogrono aż do końca filmu. Zanoszę ich do łóżka, przykrywam kołdrą, daję ostatnie buziaki w czoła, wydaję płytę z wieży hi-fi, chowam ją za półki i sprzątam w salonie ze spokojem, którego smaku już zapomniałam.

Dopiero kiedy już się położę, nagle staję się ofiarą swędzenia na czaszce. Wszy! Zapomniałam o wszach... Za późno. Trzymam kciuki za to, żeby José się nie zorientował – mając w perspektywie kolejny skandal, tym razem z kluczowym dowodem pod ręką. Ta myśl (w połączeniu z nocną aktywnością moich pasożytów) wystarcza, bym nie zasnęła aż do świtu.

DZIEŃ 5

Jak SMS może zmieniać znaczenia w zależności od tego, czy jedzie się po autostradzie, czy nie

„Droga Joséphine, czy mogłabyś dziś wieczorem przysłać dzieci w dobrej formie? Jak dobrze wiesz, zgodnie z twoim życzeniem (zauważ, jak rozbrajam każdy zbliżający się konflikt – ale dlaczego jestem osamotniony w podejmowaniu wysiłków?), rzadko je widuję. Jeżeli mają przyjść tylko po to, żeby spać, to szkoda fatygi. Czy mogłabyś poza tym sprawdzić u agenta, czy na pewno przepisałaś polisę ubezpieczeniową samochodu na moje nazwisko, jak już cię o to prosiłem kilkanaście razy? Dziękuję. José”.

Dzień zaczyna się więc od nie najlepszej wróżby, przynajmniej nie stawia mnie to przed niczym nowym. Prawdę mówiąc, nie mam czasu się tym przejmować, trzeba dać dzieciom jeść, dopilnować ubierania, włożyć im do toreb drugie śniadanie, sprawdzić piórniki i tornistry, dorzucić czyste majtki, żeby uprzedzić niedbałość ich ojca, uczesać się, w dwie minuty wziąć prysznic – wszystko jest mierzone co do sekundy – zejść schodami, bo winda zablokowała się na czwartym, i biec razem z chłopcami, żeby zdążyli na czas. Po zakończeniu takiego dziesięcioboju, wracam padnięta do domu, gdzie czeka mnie kupa pracy – nie wiem, do czego się najpierw zabrać.

Problem z pracą w domu polega na podjęciu decyzji, żeby zasiąść za stołem; potem decyzji, żeby otworzyć komputer; potem na wybraniu napoczętego dokumentu spośród dziesięciu, które czekają i błagają mnie, bym je dokończyła, jak mali żebracy wyciągający rękę, ze wzdętym brzuchem i twarzą pokrytą świerzbem. Potem na napisaniu pierwszego wersu; potem na napisaniu kolejnego. Poszło, nie ma już wyboru, weszłaś w to, praca rozpoczęta. Ale nikt cię nie napomina, nikt nie patrzy na zegarek, żeby przywrócić cię do porządku, nikt ci nie sprawdza obecności, nikt nie weryfikuje twojej produktywności, nikt ci też nie składa gratulacji, krótko mówiąc, wszystkim to wisi, poza tobą, która sama sobie jesteś

szefem i sama sobie niewolnikiem. Twoja samotność jest twoją przestrzenią do pracy, ale też miejscem bolesnej dobrowolności, a potem nagle doznajesz olśnienia: trzeba za wszelką cenę dokończyć tę bajkę. Czujesz wenę, a kto wie, czy jutro będzie tak samo. Tak więc zapominasz o jedzeniu, odbieraniu telefonów, spoglądaniu na zegarek. Na dziś jesteś uratowana, co nie gwarantuje niczego w perspektywie kolejnych dni. Czepiasz się tej chwilowej chęci, nie wiedząc za bardzo, jak ją podsycać. A ona nadchodzi... albo nie. Wtedy wypalasz papierosa za papierosem, otwierasz okna, żeby nie zostawić po tej zbrodni żadnego śladu, co pozwala ci oderwać się od pracy.

Siedzę przed komputerem, gotowa na wszelką ewentualność, czatuję na początek zdania, które pociągnęłoby za sobą kolejne, etc., aż do wypełnienia całej strony. Tymczasem mijają minuty i nic się nie dzieje. Minuty przypominające godziny. I kiedy ktoś dzwoni, żeby poinformować mnie o jutrzejszej dostawie zmywarki, jest to jak jasny punkt na niebie mojego dnia, ręka wyciągnięta przez Boga. Rzeczywistość odnajduje swoje formy, ruszam z miejsca, orientując się nagle, że pogryzłam końcówkę pilota do TV – otóż gnębi mnie jedno pytanie, podskórne, coraz bardziej obsesyjne: kiedy znów zobaczę Émile’a Berthot? Wystarczyłoby do niego zadzwonić. W tym tygodniu? Za wcześnie. Za miesiąc? Za późno. Jaki znaleźć pretekst do ponownego nawiązania dwuznacznego kontaktu, o którym nie wiem już, co myśleć? Zajrzeć do wydawnictwa przez przypadek? Wyjść na lunch z rzecznikiem prasowym i jednocześnie moją przyjaciółką, odprowadzić ją do biura i wejść na kawę? Przyspieszyć wizytę u fryzjera, który znajduje się dwa kroki dalej, i kręcić się po okolicy w nadziei, że Émile dostrzeże moją nową fryzurę? Żadne z tych rozwiązań nie wydaje mi się realne. Muszę się wycofać. I pracować. To wciąż najlepszy sposób, żeby go znów zobaczyć. I nie zawieść. Ale jak miałabym go nie zawieść w obliczu entuzjazmu, z pewnością przesadnego, który mi wczoraj okazał?

Przypominam sobie wczorajszą rozmowę krok po kroku: uśmiech Émile’a Berthot, jego uścisk dłoni – mokry na koniec, podczas gdy był suchy na początku. Jego słowa, które nie przywoływały żadnej dwuznaczności, jego zachowanie i spojrzenie, które mogłyby równie dobrze wyrażać obojętność, co gorące pożądanie mojego ciała. Odtwarzam sobie każde słowo. „Jest pani na jakimś etapie”, „Z przyjemnością, a nawet więcej”... – te zdania kręcą się zapętłone, szczepiają ze sobą, tworzą nowy akapit. Co jest większego od przyjemności, jeżeli nie miłość? Jasne, mówił

mi o liczbie stron. Chciałbym przeczytać więcej, oczywiście, więcej stron. Dlaczego wszystkie słowa miałyby być wieloznaczne, dlaczego miałyby koniecznie skrywać sekretne intencje? Ale jednak powiedział wyraźnie: „Przyszedłem do tego wydawnictwa wyłącznie dla pani tekstów, uwielbiam je od samego początku... dzięki pani nie opuszczam dzieciństwa. Dzięki pani odkrywam inny wymiar dzieciństwa, które trwa aż do dorosłości”. No dobrze, to minimum ze strony nowego redaktora serii. To się nazywa uwodzenie autorów i kiedy mówię „autorów”, nie jestem wystarczająco szalona, żeby nie robić żadnej różnicy między osobą a autorem: z jednej strony kobieta, z drugiej – autor. Émile Berthot kłania się autorowi, czy nawet korumpuje go odrobiną pochlebstwa, i tym samym lekceważy kobietę. Albo zwyczajnie ją ignoruje. Byle jaki egzegeta zrozumiałby to od pierwszej chwili! Rzeczywiście, przeszedł prosto do kwestii podwyższenia moich zaliczek – kupiec! Oto kim jest, kupcem. W jego oczach nie jestem nawet autorem, tylko produktem, pisarzem, który może mu przenieść forszę i chwałę! Cóż za cynizm, mój Boże, cóż za cynizm, a ja jestem wystarczająco głupia, żeby go słuchać, a może nawet mu wierzyć. Jasne, w konfrontacji z nim ja też muszę chronić swoje interesy: jest redaktorem serii, nie pierwszym lepszym nieznanym z portalu randkowego. Ale ja zawsze zapominam o ekonomicznej rzeczywistości stosunków pracy, które normalnie powinny tworzyć dystans. „Buziaki”, to może ma być dystans? Bezwiednie chwyciłam znów za pilota i zaczęłam go obgryzać z drugiej strony, jest miękki i twardy zarazem, doskonały dla zębów. „Bo mnie to interesuje”, powiedział, „interesuje mnie czytanie pani tekstów”. A ja po cichu dziękowałam mu za okazanie odrobiny zainteresowania moim opowiadaniem, obezwładniona z wdzięczności za zainteresowanie, które jest ścisłą podstawą jego pracy! „Z zasady nie molestuję autorów, to jasne i proste: nie wezmę pani na biurku tu i teraz ani później, bo pani nie widzę, czytam panią, ale pani nie widzę, nie potrzebuję pani widzieć, żeby panią czytać, dla oczu i rąk mam wszystko, czego mi potrzeba, proszę się nie martwić... A poza tym, nie potrafię zainteresować się kobietą gotową się oddać od pierwszego SMS-a...”

Ups! Połknęłam przycisk od pilota. Lecę prosto do toalety, żeby spróbować zmusić się do wymiotów, z nadzieją że usłyszę, jak „jedynka” robi plum, że zobaczę, jak wydostaje się z moich wnętrzności, że wydalę z siebie tę cyfrę niezbędną do wybierania wszystkich dwucyfrowych numerów, czego wymaga kablówka, ale krew napływa mi do głowy, zaraz

się uduszę. „Wydawała mi się pani mniej zamknięta w naszej wymianie SMS-ów”: mniej zamknięta... „Kobietą łatwą i, w ramach wielkiego wyjątku, mógłbym przewrócić panią na moje biurko, trochę pomolestować, co za różnica, tego pani właśnie chciała!” Nie jestem w stanie zwrócić niczego poza śliną, więc rozpuszczam w ustach twardą piętę z wczorajszej bagietki – której nawet mysz już nie chciała – tak jak się to robi w przypadku ości, które utkwily w gardle.

Znów ogarnia mnie wstyd: wstyd za tego SMS-a, który pozwala temu nieznanemu traktować mnie z takim lekceważeniem, wstyd za sposób, w jaki się do mnie zwracał, wstyd za to, że nie umiałam się obronić, nie umiałam mu powiedzieć, co myślę o jego mdlącym maczymie, o jego arogancji zwisającej mu w slipach. Mogłabym wytoczyć mu proces, proces za to „szkoda”, którym podsumował moje kłamstwo. „Szkoda” czego, ty palancie? Że nie jestem byle kurwą?

Osiągam niebezpieczny poziom napięcia. Muszę zjechać z powrotem, i to szybko. Otwieram sobie piwo i odpalam Wii, które tak przeklinałam (a potem mimo wszystko kupiłam je dzieciom). Ale udaje mi się kliknąć tylko na bieg przez płotki Mario i Sonika na Igrzyskach Olimpijskich, bo nie mam już dostępu do menu (zgranego z klawiszem numer jeden), nie przestaję podrygiwać kciukiem, żeby nie potrącić płotków. I przepraszam Wii, przepraszam pilota, przepraszam, przepraszam, serdecznie je przepraszam za to, że byłam tak niesprawiedliwa, podczas gdy dziś pozwalają mi one częściowo uwolnić napięcie, nadać rozpęd mojej kreatywności – jednocześnie uprawiam sport w domu i godzę się z moim życiem trzydziestoosmioletniej kobiety, ze zmarszczkami pod oczami, z jedenastoma siwymi włosami, dwoma fantastycznymi synami, którym jednak wbiłam nóż w serce (stąd zakup Wii), z rodzicami, którzy czekają na mnie w niedzielę wieczorem z kolacją, i niewyraźnym podobieństwem do aktorki, którą mój ojciec zawsze lubił.

Bardzo niewyraźnym. Czy Charlotte Gainsbourg grałaby sama u siebie, z padem w dłoni, przyciskiem „menu” skrytym głęboko w żołądku, przed ekranem, na którym podskakuje mały wirtualny człowieczek z wąsem, będący jej awatarem? Lepiej byłoby wyjść na powietrze, zająć się jakimś sportem. Czymś, co oczyszczałoby mi umysł i odżywiało go „zdrowo”, jeżeli wierzyć mojemu bratu, swego czasu maratończykowi, i wciąż neoficie, jeżeli chodzi o liczne aktywności. Jest taki nie z uwagi na hojność i chęć do dzielenia się, ale żeby usprawiedliwić czas i cierpienie, które

towarzyszą treningom. A jednak korzystanie z wolności do wychodzenia z domu, podczas gdy powinnam pracować – nawet jeżeli mi ta praca nie idzie – nie należy do rzeczy, na które sobie pozwalam.

Owszem, było kiedyś pewne zajęcie, które mogło mnie uspokoić, i zastosowanie tutaj czasu przeszłego łamie mi serce: brałam samochód i jechałam na pełnym gazie autostradą, z otwartymi oknami, muzyką na cały regulator. Ale dwa lata temu nabawiłam się „fobii szpaleru” – inaczej mówiąc, z tajemniczego powodu nie mogę już jeździć autostradą, gdzie samochody i białe linie przemykają z psychotyczną regularnością. Chociaż może nie tak znów tajemniczego. Pewnego dnia, kiedy byłam z dziećmi na A13 (znajomi zaprosili nas do Normandii), miałam zapaść: zimne poty, osłabienie w członkach, poczucie spadania. Jechałam wtedy sto trzydzieści na godzinę, z Jimem Crocem puszczonym na całego, podczas gdy moi synowie prosili mnie po raz dwudziesty, żeby włączyć *La Danse des couleurs* Anny Vanderlove albo w drodze wyjątku *Trzy małe świnki*. Autostrada była zapchana, José nie było na miejscu (ale kiedy właściwie był?), starczyło mi tylko czasu, żeby wbić się na pas awaryjnego postoju pośrodku. Wszyscy troje siedzieliśmy nieruchomo. Cyfra siedem – jak siedem minut, o które podobno skraca życie każdy papieros, kręciła się w mojej głowie, chociaż nie mogłam przypomnieć sobie, gdzie się o tym dowiedziałam, i nie miałam jakiegokolwiek chęci zweryfikowania, czy chodzi tylko o miejską legendę. Nie byłam już w stanie chwycić z powrotem za kierownicę, inne samochody ocierały się o nas, przy każdym minięciu potrząsając naszym. Jim Croce wciąż śpiewał, ale ja go już nie słyszałam. Nie słyszałam już także swoich dzieci, odwróciłam się odruchowo. Kiedy zobaczyłam, jak strach przygwoździł Adriana i Gabriela do ich siedzeń, wysiadłam, wyciągnęłam ich przez drzwi i przeniosłam na osłonięty betonowymi zaporami pas ziemi, który oddzielał dwa kierunki ruchu. Następnie pobawiliśmy się w rymowanki, w oczekiwaniu, aż odzyskam równowagę i znajdę jakieś rozwiązanie. Opowiedziałam dzieciakom historię, tę o dziobatym dziobaku, znają ją na pamięć, ale ja wymyśliłam ciąg dalszy. Pomimo rozkręconej wyobraźni, z której mogłabym zrobić użytek – na przykład nagrywając się na iPhone’a, który bezlitośnie zarejestrowałby ruch drogowy, donośniejszy niż mój głos – oddaliłam się od nich, żeby zadzwonić do José: „Miałam zapaść, stoimy na pasie awaryjnym, nie wiem, co robić”. José się zdenerwował: „Mówiłem ci, żebyś nie brała samochodu! Położyliśmy się spać o trzeciej nad ranem,

Joséphine! Tak bardzo boisz się swoich znajomych, że nie jesteś w stanie tego odwołać? Nie wnikiem w twoje poczucie winy... wpieniasz mnie, wpienia mnie to, że zawsze mam rację...”. Wtedy wzięłam wszystko na siebie – bo miałam nadzieję, że jest już w trakcie wciągania dżinsów i wiązania adidasów. – „Wiem, José, to moja wina, ale dzieci tu są... proszę cię, co mam robić? Boję się!” „Dzieci! Bierzesz dzieci za zakładników, a teraz trzeba, żebym cię wyciągał z gówna, w które sama je wciągnęłaś! Wiesz co, nauczysz się teraz, jak być dorosłym człowiekiem: radź sobie sama i daj mi spać”.

„Radź sobie sama”. „Daj mi spać”. Dzień wcześniej obchodziliśmy urodziny jednego z jego przyjaciół – Mattéo – i wypiliśmy sporo alkoholu (co notabene u José nie było okazjonalne), w związku z tym wcześniej rano, mrużąc oczy, zrezygnował z wyjazdu. Przynajmniej tyle mogłam wydedukować z jego burczenia, zanim nie wsunął głowy pod poduszkę, żeby nie słyszeć już żadnego namawiania. Walczyłam z nim mimo wszystko, szarpiąc go, na co odpowiedział czymś na kształt kopnięcia skrępowanego kołdrą, po czym podnosząc poduszkę z twarzy, tym razem wyraźnie wyartykułował: „Do kurwy nędzy, jest sobota! Moglibyśmy choć raz jeden spróbować OD-PO-CZAĆ! Zadzwoń i odwołaj”. Ale ja obiecałam dzieciom tę małą przejażdżkę i pomimo zmęczenia postanowiłam działać d l a nich, w b r e w José, w b r e w osłabieniu mojego ciała, w imię m o j e j decyzji, w imię m o j e j obietnicy. Rozłączyłam się, nie mając już więcej ochoty go słuchać, porażona tym, jak bardzo sytuacja ta była symptomatyczna dla stanu naszej rodziny: ja z dziećmiakami na środku autostrady i José, który śpi. I weź się tu uwolnij od takiego obrazu.

Tamtego dnia kazałam chłopcom usiąść na trawie i nie ruszać się ani na centymetr, a sama poszłam aż do żółtobiałej budki przy słupku SOS i naciskałam bez przerwy. Wreszcie odpowiedział mi jakiś głos. „Miałam awarię – powiedziałam spokojnie, żeby się nie rozgadywać i zachować wszystkie atuty po swojej stronie. – Proszę się pospieszyć, mam dwójkę dzieci”. Ale jakaś część mnie tam pozostała, sama, dokładnie na środku tej autostrady, porzucona przez męża, chroniąca dzieci jak tylko mogłam, niezdolna do chwycenia z powrotem za kierownicę.

Po jakichś trzech kwadransach nadszedła pomoc drogowa. Podebatowałam z drogowcem, wytłumaczyłam mu, stojąc przy samochodzie w ostentacyjnie doskonałym stanie, że miałam zapaść. Popatrzył na mnie podejrzliwie. „Na pewno zatankowała pani do pełna?”

Przyrzekłam mu na własną głowę: „Ja mam dzieci, proszę pana, nie bawi mnie stawanie z pustym bakiem na poboczu najbardziej śmiertelnej autostrady we Francji”. Wydawał się zakłopotany: „Ja to się zajmuję tylko zepsutymi samochodami, nie pracuję dla pogotowia ratunkowego”, ostatecznie zaczął działać, nie komentując już, podniósł samochód, umiejscowił go na tyle swojej ciężarówce. Przyglądaliśmy się zafascynowani. Moi synowie byli całkiem dumni z przeżycia takiej przygody, a ja im sekundowałam, podniecając się każdym detalem, szczególnie wysokością ciężarówce, do której wsiedliśmy – górowaliśmy wzrokiem nad innymi samochodami, w tym nad naszym, śmiesznie przystrojonym i samotnym, jadącym bez kierowcy. Tuliłam dzieci do siebie, nie miałam jeszcze pomysłu, jak wydostać się z biura pomocy drogowej. Biuro znajdowało się przy wyjeździe z opustoszałej wioski o nieznanym nazwie, przypominającej raczej ciąg magazynów niż zamieszkaną miejscowość. „Jest tu jakaś kawiarnia?” „Tak, ale trzeba by jechać samochodem”. Drogowiec po tym, jak został naszym zbawcą, załatwił też sprawę z ubezpieczycielem. Niemniej jednak utknęliśmy, nie mogłam się zdecydować na wybór ofiary, która uratuje nas z tej strefy przemysłowej – i muszę tu podkreślić, że strefa przemysłowa jest bardziej porażająca niż wzburzony ocean. Poprosiłam naszego mechanika-bohatera, od którego wzięłam namiary – nigdy nic nie wiadomo – o mapę Francji i przestudiowałam, jak dojechać do naszych znajomych drogami regionalnymi. Mam w sobie dumę kobiet wojowniczek, które lubią same rozwiązywać swoje problemy, gotowe do wystawienia na niebezpieczeństwo życia całej rodziny – poza ojcem! Jeżeli rodzina zostanie zdziesiątkowana, to tylko jeden poniesie karę...

Po szczegółowym przestudiowaniu mapy zapadła decyzja: wracam za kierownicę, pojedziemy nakreśloną trasą, którą entuzjastycznie przedstawiam moim dzieciom jako polną i turystyczną: dwieście kilometrów dróg regionalnych, ostre zakręty i żołądek podchodzący do gardła zapewnione, ale zdecydowanie trzeba było wreszcie opuścić to miejsce. Wy tłumaczyłam mechanikowi, że jadąc trzydzieści na godzinę, powinnam poradzić sobie z prowadzeniem, pod warunkiem że moje koło nie postanie na autostradzie. Pozwolił nam jechać, lekko zbity z tropu. Wsunęłam CD z Anną Vanderlove do radia i wróciliśmy na drogę, śpiewając na całe gardło. Osiem godzin później, i z pomocą pełnej dyskografii Doorsów, dojechaliliśmy do Dieppe – w sam raz na deser. Dzieci

spały już od trzech godzin na tylnym siedzeniu. José nagrał mi trzy wiadomości, na które nie odpowiedziałam. Jeden prosty SMS: „Dojechaliśmy na miejsce”, bez określania godziny. Opowiedziałam przyjaciółom o mojej zapaści. Zastanawiali się ze mną, czy to problem z błędnikiem? Skok ciśnienia? Omdlenie wazowagalne? Podobnie jak oni miałam nadzieję, że chodziło tylko o organiczne rozregulowanie, które naprostuje jakieś zwykłe lekarstwo. Ale wewnątrz wiedziałam, że moim schorzeniem jest autostrada: żadnej drogi ucieczki, szpaler samochodów, niewola prostej linii, zamknięcie i przymus jechania dalej, zakaz zatrzymywania się, zjeżdżania na bok, wystawienia stopy na ziemię, sprawdzenia prawdziwości ciała, pejzażu. Schorzenie na punkcie konkretności i zamknięcia, które mój lekarz nazwie później fobią szpaleru. I muszę przyznać, że ta nagła fobia niespecjalnie mnie urządza, kiedy jestem skazana na samodzielne zawieszenie dzieci na wakacje. Byłam dobrą kierowcą, lubiłam prędkość, lubiłam samochód, lubiłam wielkie spędy, lubiłam niezależność. Los jest okrutny. Moje ciało stanęło po stronie José, to znaczy porażki, nie mam żadnego sposobu, żeby przywołać je do porządku.

Oto dlaczego zostawiłam m ó j samochód m o j e m u byłym mężowi. Cały czas sprawdzając za niego poziom płynów, ciśnienie w oponach i terminy przeglądów technicznych. A teraz muszę zająć się telefonem do ubezpieczyciela, żeby przepisać m ó j samochód na j e g o nazwisko. Nie przestając za niego płacić, to się rozumie samo przez się. Korci mnie, żeby wysłać mu wiadomość z krótkim opisem jego osobowości. Ale się powstrzymuję, stałam się ostrożniejsza w kwestii moich impulsów.

Jak na nieszczęście to właśnie on do mnie dzwoni. Odebranie w tym stanie jest niebezpieczne, nie odpowiadam już za siebie. Postanawiam się nie ruszać: postanawiam go zignorować. Zerwać. Ale czy nie zdecydowałam już o tym? Wygląda na to, że on tego nie zrozumiał. Być może czuje się samotny. Odmawia. Cierpliwie, bezgłośnie. Odmawia. I ciągnie mnie za sobą w swoją odmowę. Co robić w obliczu mężczyzny, który odmawia ci prawa odejścia od niego, całkowicie godząc się na to w obliczu świata; żyje sam lub z przelotnymi laleczkami, imprezuje ze swoimi przyjaciółmi, zmienia adres? Ale dzwoni do ciebie codziennie, wysyła maile *à propos* dzieci, w których jednak te dzieci nie istnieją. Mówi ci, że o tobie nie zapomina, kiedy akurat ci nie dowala. Że wybacza ci twoje kaprysy, że jest szczęśliwy, uwaga, z separacji, z bycia daleko, że mu to

pasuje, że tego właśnie chciał. Powtarza ci to z takim uporem, że w końcu zaczniesz w to wątpić.

Odsłuchuję jego wiadomość: „Tak, to ja (to ja?), twój były przyszły mąż (ironicznym tonem, ale to pośępna ironia), nie rozumiem, dlaczego jesteś taka nieprzyjemna. Mogłabyś przynajmniej zdobyć się na wysiłek przy dzieciach i udawać wesołą. Nie jesteśmy wrogami. Wysłałem ci maila na temat ubezpieczenia, mogłabyś mi odpowiedzieć. Jeszcze nie tak dawno temu byliśmy rodziną... Przez czternaście lat częściej widywałem twoich rodziców niż własną matkę (to normalne, skoro jego matka mieszka na samym końcu Portugalii, a on był z nią pokłócony, co nasze «rozstanie» szybko naprawiło). Dzwonię już trzeci raz, ale ty jak zwykle nie odbierasz (rzeczywiście zdarza mi się czasem robić coś innego, niż czekanie na telefon od niego). W dniu, kiedy Gabriel złamie sobie nogę (dlaczego Gabriel, i czy on naprawdę jest pewien, że kiedyś do tego dojdzie?), znów dowiesz się jako ostatnia (no jasne, że jak złamie sobie nogę, to właśnie z nim, bo gdyby doszło do tego w szkole, to tam mają tylko mój numer telefonu). Ale dobra, najwyraźniej masz w nosie własne dzieci (Gabriel nie ma złamanej nogi, tak? Natomiast kiedy trafił na pogotowie z bólami brzucha, potem z powodu ostrego zapalenia oskrzelików, nie przypominam sobie, żeby udało mi się dodzwonić do José, podczas gdy wciąż podobno byliśmy r a z e m), biorąc pod uwagę godzinę, o której kładziesz je spać. Zresztą nie krytykuję cię, wiem, że jesteś dobrą matką, nawet mimo tego, że kiedy siedzisz w swoich zwierzętach, to nic innego dla ciebie nie istnieje (najpierw coś miłego, potem świństwo). Mam nadzieję, że odstawiłaś palenie i picie (tylko świństwo), bo ja niczego już nie tykam (tu mi kaktus wyrośnie – i nie mówimy tu już ani o papierosie, ani o alkoholu). Generalnie czuję się super (ach tak, to czemu w takim razie dzwonicz trzy razy dziennie?). Zdzwoniłem się z twoją matką, żeby dowiedzieć się, co słytać (to zdecydowanie pierwszy raz, ale kto do kogo zadzwonił?), i naprawdę, ona się niepokoi (to też pierwszy raz, ale jeżeli niepokoi się o mnie w rozmowie z moim byłym mężem, to znaczy, że wcale się nie niepokoi)...”. Poczta głosowa ucięła mu w pół słowa, jego wiadomości zawsze są za długie, dlatego też nagrywa drugą, trzecią, potem czwartą, żeby podsumować wszystkie wypowiedzi i tym samym je wydłużyć.

Dociera do mnie, że nie powiedział nic o godzinie, o której odbierze jutro dzieci. Tymczasem to jedyna informacja, która się liczy. Irina i Anna przychodzą na kolację, obiecałam im przyrządzić risotto. Jeżeli José

zabierze dzieci o szóstej, nie zdążę zrobić zakupów. Jutrzejszy poranek mam zablokowany przez dostawę zmywarki, a popołudnie zajęte przez zajęcia na uczelni. Obracam sprawy we wszystkich kierunkach. Najłatwiej byłoby zadzwonić, ale on właśnie tego oczekuje. Zachowywanie się jakby nic się nie stało oznacza oczekiwanie przez cały dzień w niepewności, żeby skończyć o ósmej wieczorem z pustą lodówką. Wciąż mam jeszcze chwilę na podjęcie decyzji, jest bardzo prawdopodobne, że będzie do mnie dzwonić kilkanaście razy tego wieczoru i w takim przypadku w końcu odbiorę. Ale jest też bardzo prawdopodobne, że nic nie zrobi. Jedna rzecz jest pewna: jeżeli zapytam go, o której godzinie zamierza odebrać dzieci, żebym mogła przygotować risotto z grzybami dla Iriny i Anny, postawi sobie za punkt honoru, żeby przyjechać najpóźniej jak to możliwe. Więc? Odwołać kolację z przyjaciółkami, żeby nie musieć go o nic prosić? Anne mi na to nie pozwoli: „Chyba nie zamierzasz się po raz kolejny poświęcać! Idź do sądu, uporządkuj to, przestań negocjować z nim każdą godzinę”, a z drugiej strony: „Aleś ty agresywna, widziałas się dziś z Anne, tak? Namieszała ci w głowie. Wolisz ją niż rodzinny spokój? To ona namówiła cię, żebyśmy się rozstali? Stałaś się jej pudłem? Czy ona nie jest czasem trochę lesbijką? W każdym razie nie lubi Portugalczyków. Nic ci to nie robi, że jedna z twoich przyjaciółek nie lubi Portugalczyków? Przypominam ci, że twoje dzieci są nimi w połowie. Nie jestem dla niej wystarczająco mądraliński? Śmierdę dorszem? Niech się wypcha. Ten twój pieprzony pies obronny, jeżeli weźmiesz ją sobie jako doradcę małżeńskiego, to uprzedzam, że będzie wojna”.

Oto dlaczego nie składam sprawy do sądu. Czy sprawiedliwość może zgarnąć mojego byłego męża i moją matkę, obydwójce do jednej celi, jeśli tego sobie życzą, i zamknąć ich na klucz aż do dnia, w którym poznam mężczyznę, który uwalniając mnie, uwolni też ich, spoliczkuje cztery razy moją matkę, kiedy tylko ta zacznie artykułować początek skargi, i przyłoży z główki w – i tak już zakrzywiony – nos ojca moich dzieci, łamiąc mu trzy zęby i ucinając język, w razie gdyby naszła go znów ochota na wydzwanianie do mnie? Nie.

Za to ja mogę. Muszę jechać dalej z książką. Muszę spotkać się ponownie z Émile'em Berthot.

Piszę piętnaście stron jednym ciągiem. Mam już postaci, ton, historię, pozostaje mi tylko dać jej się potoczyć. Za dwa tygodnie mogę oddać pierwszą wersję, pod warunkiem, że co wieczór będę tak nawiedzana przez

wenę. Tymczasem nie mogę dopuścić, żeby zapanował pokój. Walka na łonie rodziny zastępuje mi pożądanie, piszę p r z e c i w k o, ale co z tego, dopóki piszę.

Jest pierwsza w nocy, wypaliłam siedem papierosów, okna pootwierane, stopy mi zlodowaciały, a palce mam zgrabiałe. Wiem, że to ryzykowna pora na wysyłanie SMS-ów, ale mimo wszystko porywam się na napisanie do José kilku oschłych i bezpośrednich słów: „O której jutro dzieci?”. Zapominam o składni, bo ona tworzy pewną więź. Tyle tylko, że jeżeli przeczyta to jutro po przebudzeniu, może dojść do nieporozumienia. Kasuję „jutro”. „O której dzieci?”. Z kolei jeśli ta wiadomość go obudzi i przeczyta ją teraz, to co sobie pomyśli? Że jestem tak pijana, że zapominam o czasownikach? Że cierpię na bezsenność, bo brak mi jego ciała? I jestem gotowa na dialog korespondencyjny, którego finału nikt nie jest w stanie przewidzieć, no może poza mną, gdybym wyłączyła komórkę. Czy będę w stanie wyłączyć telefon, skoro oczekuję na jego odpowiedź, bo wiem, że może przyjść w każdej chwili? Z jednej strony to by mnie urządziło, a z drugiej... może jednak nie.

Żeby nie utracić radości pisarskiej weny, powstrzymuję się i postanawiam, że wyjątkowo poproszę Aïchę (normalnie przyprawdza dzieci ze szkoły w czwartki), żeby przyszła i poczekała na nie w domu, w razie gdyby miały dotrzeć przede mną.

Kiedy już załatwiam tę sprawę, biorę komputer do łóżka, wyciągam się na brzuchu, z alka-seltzerem na nocnym stoliku, papierosem w gębie i znów piszę piętnaście stron longiem, w stanie półświadomości. Nie wiem dokładnie, o której godzinie kończę – dosłownie zapadam w sen, z głową na klawiaturze komputera. Moim umiarkowanie przyjemnym snom towarzyszy lekki niepokój: mój psychoanalityk nazywa mnie w nich biedną dziewczynką, rzucam się na niego, żeby wyrwać mu ucho, ale ostatecznie tylko ciągnę go za włosy, a on nie może przestać się śmiać.

Jeszcze jeden sen, którego nie będę mogła mu opowiedzieć.

DZIEŃ 6

Czy śnieg w marcu i zmywarka bez drzwi to znaki? A jeśli tak, to co symbolizują?

Piąta czterdzieści pięć. Trudna pobudka: klawisze laptopa odcisnęły się na moim policzku, nos mam w popielniczce. Ale zanim jeszcze w ogóle włączę światło, odpalam komputer i czytam ponownie, jednym ciągiem, moje trzydzieści stron. Skracam, piszę na nowo i czuję się całkiem zadowolona z rezultatu – a przynajmniej oceniam tekst jako potencjalnie wart przeczytania przez Émile’a Berthot, jeśli tylko uwzględni on moje skumulowane zastrzeżenia na wstępie: „To coś spisanego na szybko, absolutnie nieszczytany początek, pomysł, ale można wszystko zmienić, pierwszy rzut, naprawdę nic rewelacyjnego, w sumie to tylko po to, żeby pokazać panu kierunek”. Tymczasem, przygnieciona zmęczeniem, które wcześniej trzymałam z daleka od mojej *élan vital*, uznaję wysyłanie za przedwczesne i odkładam je na później.

Nie wezmę się o tej porze do sprawdzania prac, nie ma takiej opcji. Za dużo mam w głowie. Dzwonię do rodziców: o siódmej rano moja matka zazwyczaj śpi, więc jestem prawie pewna, że trafię na ojca. „Tato, jak się czujesz?” Po tonie jego głosu poznaję, że jest sam, odprężony, zabawny i szczery. „Czułbym się lepiej, gdybym miał dziesięć lat mniej”. „Przygotowujesz urodziny?” „Och! Tym zajmuje się twoja matka”. „Nie mów mi, że zamierza zrobić swojego kurczaka w estragonie...” „Poważnie obawiam się, że tak...” „Dlaczego nie powiesz jej, że go nie lubisz?” „Powinienem był jej to powiedzieć od razu, teraz już za późno, pokrzyżowałbym jej plany”. „I wolisz zmuszać się do jedzenia czegoś, czego nigdy nie lubiłeś, zamiast pokrzyżować jej plany?” (Mówiąc to do niego, zwracam się również do samej siebie, mamy z ojcem wspólny rodzaj wstydlivości, który niektórzy nazwaliby tchórzostwem). „Wiesz, nie ma co zatruwać atmosfery. Tak czy inaczej, obojętne mi to, kurczak czy wołowina”. (Nie wierzę w ani jedno jego słowo, mój ojciec był swego

czasu smakoszem, zanim podporządkował się wydajnym przepisom i popisom mojej matki, którym poświęca ona więcej czasu niż samemu gotowaniu, więcej komentuje, niż przyrządza). „Nie potrzebujesz jakichś pieniędzy, kochanie?” „...” „Jeżeli potrzebujesz, to mi powiedz, mam pod materacem kilka zwitków, które umknęły czujności twojej matki. Antoine ich nie potrzebuje, są dla ciebie”. „Nie, tato. Zatrzymaj te zaskórniaki na własne przyjemności”. „Och, wiesz, podarowanie ich tobie sprawi mi przyjemność, zrobisz z nich lepszy użytek”. Śmiejemy się oboje, świadomi absurdalności tego zdania. Ojciec zna moje wyciągi bankowe, podrzucam mu czasem kilka egzemplarzy, kiedy pyta mnie, na czym stoję. A ja mu ufam, że nie będzie drążył szczegółów – nawet jeżeli nie ryzykuję zbyt wiele, bo on z pewnością bierze marki moich butów za twórcze warsztaty dla dzieci. Zawsze pomagał mi w tajemnicy, to taki nasz pakt, nasz bierny opór, i w gruncie rzeczy ojciec woli, żebym wydawała moje pieniądze na wszystko, co nie jest artykułem pierwszej potrzeby, a potrzeby opłacała z debetu. On sam został pozbawiony swojego pociągu do nadmiaru. „No więc jak, podpisałaś tę umowę?” „Prawie. Nowy redaktor mojej serii lubi to, co robię, przynajmniej tak mi powiedział, a jak dotąd nie mam powodu, żeby mu nie wierzyć. Co innego będzie, jak wyślę mu mój nowy rękopis”. „No to wyślij mu go szybko, jestem pewien, że mu się spodoba. A ja dzięki temu pojedę do Limoges na targi książki”. Przyjaciel mojego ojca mieszka w Limoges ze swoją żoną, która była też pierwszą dziewczyną Régisa – dlatego też moja matka odmawia jeżdżenia tam. Nasze małe wypadki we dwoje na targi książki są dla niego jak szczęśliwa ucieczka i za każdym razem odkrywam na nowo człowieka, którym jest mój ojciec z dala od rodzinnego mikrokosmosu. Ale Limoges jest za pół roku. Niemożliwe, żebym była gotowa do tego czasu. Wyprodukowanie książki trwa trzy miesiące, a jej napisanie... to zależy ode mnie. „Postaram się, tato, ale będzie trudno”. „Szkoda, nieważne. Następnym razem”. Ale jego błyskawiczne poddanie się mnie buntuje. „Właśnie że ważne, „następny raz” to zbyt odległy termin. Obiecuję ci, że pojedziemy tam w tym roku”. Sam pomysł, żeby doprowadzić do furii moją matkę, która nie będzie umiała odmówić mi zajęcia się dziećmi – to ważne dla mojej kariery – i oglądanie ojca, jak zamawia najbardziej tłuste i najdroższe dania w wytwornej restauracji, wypełnia mnie radością. Zaraz po rozłączeniu cofam decyzję o przesunięciu wysyłki tekstu na nieokreślony czas. Zaczynam pisać wstęp, podsumowując jednak z pewną stanowczością:

„Chciałabym wydać książkę za dwa miesiące, żeby móc ją zawieźć do Limoges. Obiecałam to swoim czytelnikom. Wiem, że to dużo pracy, ale jestem gotowa całkowicie się jej poświęcić. Proszę o odpowiedź jak najprędzej”, daruję sobie jakąkolwiek formułę grzecznościową, żeby nie ryzykować zakwestionowania naszej wyprawy do Limoges. Wysyłam.

Wtedy zaczyna się oczekiwanie – okrutne i uparte – na odpowiedź. Moje popołudnie poświęcone na zajęcia na uczelni będzie nim naznaczone, biorąc pod uwagę atak paniki, którego pierwsze objawy już rozpoznaję. Zaczyna się od chęci zanurkowania pod kołdrę i zaśnięcia na zawsze. Co robię, na pięć minut. Gdyby tylko ten dzień mógł się nie zacząć. Gdybym tylko mogła zachorować. Gdybym tylko mogła nie iść na zajęcia.

Kiedy w końcu wstaję i odsłaniam okno, okazuje się, że widać tumany śniegu. A przecież mamy marzec. Moja pierwsza myśl biegnie ku radości naszych synów, którzy z nosami przyklejonymi do szyby gdzieś tam u swojego ojca obserwują spowolniony ruch na ulicy, samochody przejeżdżające z rzadka i spacerowym tempem, okutanych przechodniów, kolorowe plamy na białym tle i kilkoro dzieci, które już rzucają się śnieżkami z okazji powrotu zimy. Moja druga myśl krąży wokół tematu zmywarki, która z pewnością przyjedzie z opóźnieniem. Trzecia biegnie ku zajęciom dziś po południu i trasie, jaką muszę w związku z nimi pokonać. Linia numer 13, zwyczajowo w fatalnym stanie, w przypadku tak traumatycznego zdarzenia mogła tylko i wyłącznie polec: płatek śniegu jest dla torów linii Châtillon-Saint-Denis-Université tym samym, czym była bomba dla Londynu w 1940, czyli atakiem z zaskoczenia. Budzi się we mnie mglista nadzieja: czy w ogóle dojadę kiedykolwiek do celu? A jeśli tak, to z jakim opóźnieniem? A jeśli nie, to po co w ogóle próbować? Odpalam radio, żeby wyrobić sobie ostateczne zdanie. Na France Info lubią relacjonować wypadki meteorologiczne, odsuwając na dalszy plan wojnę, która wciąż trwa w Syrii i o której nie wiedzą już, co powiedzieć, biedaki – trzeba przyznać, że wojna, która nie kończy się po trzech dniach, nie jest zbyt nowoczesna. Tymczasem France Info nie skąpi praktycznych porad, co błyskawicznie ucisza moje lewackie drwiny (jak to ujmuje moja matka), bo owszem, w tej chwili wolę wiedzieć, czy mogę lub nie pojechać metrem, zamiast zgłębiać dokładną sytuację rebeliantów w Homs. Proszę Kanta, żeby mi to wybaczył, i koncentruję uwagę. Ale informacja nadchodzi zniekształcona i pozostawia pole do interpretacji: wiele autobusów nie jeździ, autostrady A13 i A7 zamknięto dla ruchu, co mi akurat totalnie wisi

(jeszcze raz przepraszam wszystkich, którym oś Rouen–Paris jest niezbędna do życia), duża część Normandii nie ma już prądu (dobrze się składa, że nie miałam akurat w planach na ten weekend wypadu do Trouville na owoce morza), sparaliżowany jest transport publiczny w dużej części północnej Francji (więcej precyzji! Saint-Denis to już północ czy jeszcze nie?), linie numer 6 i 2 są praktycznie nieczynne (o tym nie pomyślałam, pochłonięta przez numer 13, ale z szóstki również korzystam! Otóż ona przez większość trasy jedzie nad ziemią, więc sprawa się komplikuje), na linii numer 13 przejściowe trudności: bez żartów! No przecież to żadna informacja! To codzienna rzeczywistość, już dawno to maglują. Jak mam ocenić wagę sytuacji między przejściowymi trudnościami a wyjątkowymi trudnościami? Dlaczego wystawia się mnie na taką próbę, mnie, która znów wahała się dziś rano: zjeść chleb czy grzanki? (niektórzy nie mają takiego wyboru – to zabawne, jak głos mojej matki regularnie zastępuje głos Kanta). Co przypomina mi o moich zajęciach i ostatnich, niesprawdzonych jeszcze pracach.

Dobrze się składa. Czyż sprawdzanie prac nie jest idealnym zajęciem, kiedy czeka się na dostawę mającą nadejść między siódmą trzydzieści a trzynastą trzydzieści? Bo rozumie się samo przez się, że ludzie nie pracują w tym przedziale czasowym – który zresztą nie powinien już nazywać się przedziałem czasowym, tylko po prostu połową dnia. Spędzanie godzin regulaminowo wolnych od pracy na przyjmowaniu dostawy przecenionej zmywarki czyni koncepcję czasu wolnego dość smutną, co wyraziłam na stronie C-Discount w miejscu przeznaczonym dla rozgniewanych klientów. Nie dodałam nic o tym, że ja akurat nie musiałam brać żadnych wolnych godzin ani niczego odwoływać w ten środowy poranek, jedyne co odwołałam, to zmywanie brudnych szklanek – odnoszę je tylko do zlewu, po co zmywać, skoro zbawienie wkrótce nadejdzie? Nikt mi nie odpowiedział, ale mam cały poranek, żeby nawiedzać tę anonimową stronę, za którą kryje się banda tchórzy. „Dzień dobry, jestem akurat w trakcie leczenia, w wyniku moich czterech nieudanych prób samobójczych zabroniono mi absolutnie zostawać samej w domu. A jednak właśnie tu jestem, czekam już od godziny na zmywarkę – nikt nie może mnie zapewnić, że rzeczywiście dziś przyjedzie. Uważacie, że to słuszne zostawiać tak ludzi samym sobie, w bezużytecznym oczekiwaniu, bowiem zapewniam Państwa, że nie mogą oni robić nic innego tylko czekać?”, „Jeżeli cokolwiek mi się stanie, całą odpowiedzialnością obarczam was”,

„Czy ktoś może mi powiedzieć, czy moja zmywarka wyjechała?”, „Czy moglibyście Państwo sprecyzować mi godzinę dostawy?”, „Chyba anuluję transakcję”, „Wczoraj korki, dzisiaj śnieg, a co wymyślicie jutro?”, „Wydaje się Państwu, że mój szef patrzy przychylnym okiem na to, że zawalam międzynarodowe spotkanie dziś rano, bo czekam na zmywarkę?” Wciąż żadnego odzewu. Co było zabawą, zaczyna przeradzać się w obsesję: teraz chcę, żeby mi odpowiedzieli. „Mam chore dziecko, które wymaga opieki, proszę sobie wyobrazić, że nie mogę nawet zejść do apteki ze strachu przed minieniem się z dostawą. Bo oczywiście jej koszt nie zostałyby mi zwrócony. Czy moje dziecko musi wpaść w konwulsje, żeby wykrzesać z was chociaż krztynę człowieczeństwa?”, „Dzień dobry, jestem przewodniczącą stowarzyszenia konsumentów i mam już pewną pozycję polityczną. Proszę sobie wyobrazić, że...”

Tymczasem na schodach słychać ciężkie kroki. Krótkie westchnięcie, kilka urwanych zdań. Słychać mięśnie i wysiłek. Kończę pisać wiadomość, ale już bez serca „...Państwa stronie?” Biegnę do drzwi z łomoczącym sercem, otwieram: są na pierwszym, jeszcze daleko od drzwi. Przyznaję, że klatka schodowa jest wąska, a winda za mała na zmywarkę, chyba że miałyby jechać całkiem sama. Krzyczę, żeby wyjść na miłą: „Może panom pomóc?”. Odpowiada mi przytłumione: „Nie”. Jak przeprosić za to, że mieszkam na trzecim piętrze? Szykuję kawę, wyciągam ciasteczka, aby ta chwila była przyjemna dla nas wszystkich.

Wreszcie docierają, spływając potem: dwóch Pakistańczyków, do których wyciągam tacę. „Kawy?” Patrzą po sobie, wycierając się: „Trochę nam się spieszy, proszę pani. Czy mogłaby pani odpakować, żeby sprawdzić, czy towar jest w dobrym stanie, i podpisać na tym rachunku?” „Tak, oczywiście”, mówię jak najmilszym głosem, „Ale napijcie się kawy tak czy inaczej”. Stosują się do tego, spięci, ze szklistymi oczami. Poszukam jakiegoś noża, żeby przeciąć plastikowe opaski i rozpruć karton. „Nie trzeba było, proszę pani, w razie gdyby był jakiś problem, nie możemy jej od pani zabrać, opakowanie musi być nienaruszone”. Zatrzymuję się i przyglądam się im: „Jak opakowanie może być nienaruszone, skoro otwieram paczkę?” Nie wygląda na to, żeby zastanawiali się nad tą kwestią, z pewnością uraził ich mój brutalny sposób rozprucia kartonu, uwalniający złość i zniecierpliwienie. Wyższy wzrusza ramionami. Zabieram się z powrotem do działania, tym razem już delikatniej, i odkrywam nagi przedmiot. Kiedy to mówię, nie chodzi mi o nagość w znaczeniu

przenośnym: zmywarka nie ma drzwi. Wypytyuję ich z oskarżycielskim spojrzeniem. „Możecie mi to panowie wyjaśnić?” „Co takiego, proszę pani?” „Drzwi. Gdzie są drzwi?” Przyglądają się zmywarce: „Nie wiemy, proszę pani. Takie było zamówienie”. „Uważacie, że zamówiłam zmywarkę bez drzwi? Możecie mi powiedzieć, po co miałabym to robić?” „My tam nic nie wiemy, proszę pani, jesteśmy od dostawy i tyle. Musi się pani z tym zwrócić do biura obsługi klienta. Czy mógłbym panią poprosić o podpis?” Rozpala mnie żądza powrotu do komputera, żeby wystrzelić kolejną, jeszcze bardziej perfidną salwę pod adresem C-Discount. Dlatego też, żeby zwinęli się stąd jak najszybciej, podpisuję wszystko, czego chcą: doskonale zdaję sobie sprawę, że to trochę pospieszne, ale czy naprawdę mam ochotę ryzykować, że zabiorą moją własność, która być może jest bez drzwi, ale mimo wszystko wydaje się działać? Czy naprawdę mam ochotę zmarnować cały poranek spędzony na czekaniu w imię niepewnego rezultatu?

Zawsze znajdzie się jakieś rozwiązanie: zamówienie drzwi na wymiar albo znalezienie jakichś na serwisie z ogłoszeniami nie powinno być czarną magią. To z pewnością dlatego zmywarka była niedroga. Powinnam przeczytać opis do samego końca. Ale prawdę mówiąc, kto czyta do końca specyfikację techniczną? Wolę mimo wszystko wierzyć w błąd ze strony firmy, więc wybieram numer na 08 podany na fakturze. Wtedy nagle dociera do mnie, że dwaj panowie poszli sobie, nie zabierając mojej starej zmywarki! Wybiegam na schody. „Hej ho, panowie, wy tam!”, w nosie mając przyzwoitość zadomowioną w pewnej pisarce, której się powodzi. Ich kroki ustają, odpowiadają mi z parteru: „Tak?” „Stara zmywarka, zapomnieliście o starej zmywarce!” „Wcale nie, proszę pani, my nie zabieramy starych urządzeń”. Chwila przerwy, boję się, że wypadnę za barierkę. „Ale, ale co ja teraz zrobię?” „Co tylko pani chce”.

Trzaskają drzwi. Zniknęli. Zostawiając mnie z jednym wypatroszonym urządzeniem, które zajmuje całą kuchnię, i drugim zepsutym, którego nie jestem w stanie nawet ruszyć. Siadam na podłodze, z twarzą w dłoniach, wyzywam wszystkie kobiety obdarzone zmysłem praktycznym, głowy rodzin, które przychodzą po swoje dzieci do szkoły moich synów, którym mówię niechętnie dzień dobry, które umawiają się na kawę po wyjściu ze szkoły, wynajmują wróżki na urodziny swoich córek, zawsze na czas podpisują zeszyty, zamawiają zestawy bio produktów, te matki, które miksują ziemniaki, żeby zrobić purée, które nigdy nie zapominają włożyć

drugiego śniadania do tornistra ani wytłumaczyć się, kiedy ich dziecko ma trzydzieści siedem stopni gorączki, które pamiętają o chusteczkach higienicznych z papieru po recyklingu, matki, które oprawiają książki i przyklejają etykiety, które chodzą na każde zebranie, krytykują wytyczne ciała pedagogicznego i menu na stołówce uznane za zbyt tłuste, które porównują marki AGD i które potrafią zamawiać zmywarkę przez Internet. Niemniej jednak, żeby trochę się do nich zbliżyć, próbuję ćwiczenia jogi, a przynajmniej tego, co wydaje mi się jogą – wykonałam je tylko raz, na zajęciach Iriny, po czym uciekłam przed grupkami tworzącymi się od początku roku szkolnego wśród tych encyklopedycznych mamusiek, dla których różnica między hatha jogą, jogą bikram, pilatesem, metodą B.K.S. Iyengara nie stanowi żadnej tajemnicy. Powolny i głęboki oddech, „Om”, spowodowały moją błyskawiczną ucieczkę, bo trzeba prawdziwej wiary, żeby wydawać z siebie prymitywny okrzyk wśród historycznych mężczyzn i kobiet, zdolnych wygłaszać „Om” z przekonaniem. To nie dla mnie.

Wstaję i wypalam trzy papierosy, jeden po drugim. Co mnie uspokaja. Jeszcze raz wybieram numer i ostatecznie słyszę ludzki głos albo przynajmniej tak brzmiący: „Dzień dobry, chodzi o dostawę 56789CIZUN (nie porywam się na nauczenie tego kodu na pamięć, chociaż przyda mi się to podczas tej wojny nerwów, kiedy będę musiała go powtarzać ze dwadzieścia razy), chciałabym dowiedzieć się, GDZIE SĄ DRZWI?” „Proszę poczekać dwie minuty”, po czym głos puszcza mi durną muzyczkę, no iluż ludobójstw musiałam się dopuścić w poprzednim życiu? „Pani Fayolle?” „Tak, tak, tak, to ja!” Odżywa we mnie nadzieja, jestem gotowa na honorową kapitulację, puszcze w niepamięć oczekiwanie, afront, cynizm, brak człowieczeństwa. „Zamówiła pani zmywarkę do zabudowy”. To zdanie nie jest pytaniem, ale definitywnym stwierdzeniem. „Tak, i co z tego?” „No i to z tego, że nie ma drzwi”. „Chwileczkę, nie widzę związku”. Głos się niecierpliwi, chyba trzeba być głupim, żeby nie wiedzieć, co to takiego zmywarka do z a b u d o w y!? Z całą swoją odrobiną lekceważącą cierpliwością emerytowanej katolickiej katechетки, która uczy alfabetu czterdziestoletniego Malijczyka, żyjącego od dwudziestu lat w państwowym schronisku, ale który nie potrafi powiedzieć ani słowa po francusku albo mówi z topornym akcentem oznajmia: „Zmywarka do za-bu-do-wy jest za-sa-dni-czo za-ma-wia-na kiedy u-rzą-dza się kuchnię na wymiar z fron-tem z tradycyjnego drewna, naturalnego

drewna, sklejki lub innej okleiny, w har-mo-nii z całością pani kuchni: z szafkami, innymi sprzętami AGD, blatem. Rozumie pani?” I rzeczywiście, w moim umyśle zaczyna coś świtać: obrazy reklamowych kuchni paradują mi przed oczami, kręci mi się w głowie, „Ale w takim razie co mam robić?” (Pomijam wyjaśnianie jej, że mówię poprawnym francuskim i że może mówić szybciej, przynajmniej ze mną). „Proszę zadzwonić do stolarza, który robił pani kuchnię”. Po konfrontacji z ironią tego zdania, rozumiem, że przygoda ze zmywarką, o której myślałam, że się skończyła, dopiero się zaczyna. „Stolarza? Ale to mnie będzie kosztować drożej niż sama zmywarka!” „Z pewnością, pani Fayolle, z przyjemnością zapraszamy panią do nas”. I rozłącza się pizda. Ja, która często żałuję swojego zachowania, jestem zadowolona z zalania mailami ich działu obsługi klienta. Ale to nikłe pocieszenie. Byłam taka szczęśliwa ze zrobienia niespodzianki moim synom, powstrzymałam się przed ogłoszeniem im nowiny, żeby napawać się ich radością. Zamiast jednej nowej zmywarki, na której przyklejalibyśmy nasze słowa miłości, mamy dwie, złom i szkielec. Nie poddaję się panice i szukam w sieci „drzwi do zmywarki”. Ale Internet chyba nie rozumie tej koncepcji, w Google’u nie ma żadnej informacji. Ostatecznie wpadam na stronę, która sprzedaje fronty do własnoręcznego przymocowania: nie myliłam się, kosztują tyle, co sama zmywarka.

Zbita z tropu, rzucam okiem na telefon: nie czeka na mnie żadna wiadomość od Émile’a Berthot. Za to godzina wyświetla się bezlitośnie. Będę zmuszona rzucić wszystko w pół drogi, z bólem serca myśląc o wieczornej kolacji, którą przyrządzę wcisnięta między piekarnik a Rzecz. Może Anne wpadnie na jakieś rozwiązanie. Ta myśl dodaje mi trochę energii i zabieram się do przygotowywania swoich spraw, rozmyślając o tym, że dzięki temu wypadkowi przynajmniej uniknęłam dzwonienia do José. Chociaż myślę o tym: José oczywiście rozwiązałby problem cztery razy szybciej, to on zmontował komodę i wezłowie łóżka. Waham się. Muszę być silna. Oprzeć się pokusie. Mogę żyć – ile? tydzień? miesiąc? – z dwiema zmywarkami, z których jedna jest wybebeszona. Z odrobiną dobrej woli albo dużą dozą autosugestii, tak. Ale potem?

Idę w stronę stacji Glacière, ściągając ramiona i walcząc z wiatrem, z mokrymi włosami, czerwonym nosem, zamrzniętymi palcami: nie dają rady nawet wejść na peron, wyprzedził mnie zwarty tłum stojący przede mną. Cierpliwie godzę się z porażką, patrzę tylko, że praktycznie o tej

godzinie miałam rozpocząć zajęcia. Żeby czymś się zająć i zapomnieć o moim ciele, które źle znosi stanie beczynnie, wysyłam SMS-a do Anne, którą informuję na bieżąco o każdym postępie w bitwie, notuję rozmowy, które słyszę dookoła siebie, początki buntu, rodzące się zamieszki. Jakaś kobieta histerycznie woła o powietrze, ale nikt nie może go jej dać. Anne pyta mnie, jak poszło spotkanie z wydawcą. Nie wiem szczerze, co jej odpowiedzieć, robię unik. W tym czasie tłum porusza się, niedostrzegalnie. Z głośników ktoś panicznie na zmianę potwierdza opóźnienia i wyjaśnia powody awarii, prosi, żeby odsunąć się od krawędzi peronu, przepuścić tych, którzy wysiadają, żeby przestać się przepychać. Nerwówka rośnie, niedługo zaczniemy się obrażać, wyzywać od bezmyślnych baranów, bydła, zdegenerowanych, niepożądanych zwierząt: „Zajmujcie swoje miejsca, podludzie”, „Wciśnijcie się do wagonu, zaraz zabite zostaną drzwi i okna”, „Nie będziecie mogli się uratować”, „Zamknąć kraty do metra”, „Opryskajcie ich gazem łzawiącym”, „Pomyślcie o katastrofie w Furiani^[2]”, „Mori momento!” W tym momencie jakaś kobieta odwraca się do mnie: „Mówi pani po łacinie?” Kiwam głową, chociaż znam raptem trzy wyrażenia (co przeczy mojemu CV, w którym łacina figuruje jasno i wyraźnie wśród języków, którymi posługuję się płynnie), ale to akurat jest jednym z nich, obok cunnilingus. „Pamiętaj, że umrzesz!” Zamiast pograć się w przerażeniu, które ten drobny zastrzyk przypomnienia mógłby całkiem prawidłowo wywołać, kobieta odwraca się i dziwi: „Nie wiedziałam, że personel na kolei mówi po łacinie!”, a jej sąsiedzi wybuchają śmiechem. „Dziś to trzeba mieć doktorat, żeby dostać robotę”, „Wydaje się pani, że niby dlaczego jesteśmy tutaj, a nie tam na górze, w głośnikach?” Odpowiadam zgodnie z logiką: „Bo nie mówicie państwo po łacinie, q.e.d.”. Tyle tylko, że ta uwaga wywołuje u nich podejrzliwość: a ta za kogo się właściwie uważa, jakim prawem nas ocenia? Jakiś mężczyzna kilka kroków ode mnie, najbardziej wzburzony ze wszystkich, pokazuje na mnie palcem: „Mori memento!”. Spuszczam głowę i zapadam się. Tak, zawsze będę pamiętać.

Jestem skazana na spędzenie godziny w tym towarzystwie, ściśnięta między tymi, co mną pogardzają, nienawidzą albo tylko się dystansują, jak kozioł ofiarny wśród tłumu w furii, ale mimo wszystko członek tego tłumu. Za późno na wrzucenie wstecznego. Nazbierało się już tyle samo ludzi z tyłu, co z przodu. Jakaś kobieta za mną słusznie zauważa: „Nie ma co wpadać w klaustrofobię!”, przypominając mi nagle o tym schorzeniu, które

skutecznie trzymałam na dystans przez wysyłanie SMS-ów i obronę przed agresorami. Tymczasem, z powrotem sama, wyłączona z dialogu, czuję, że się duszę. Potrzebny mi punkt zaczepienia, kwadrat nieba do oglądania, świetlik, cokolwiek. Odpalam telefon komórkowy, żeby poszukać zdjęć z wakacji, ale twarz José z okularami słonecznymi na nosie, włosami udekorowanymi solą i algami, sączącego kieliszek różowego wina, niepatrzącego w obiektyw – czyli na mnie za obiektywem – odsyła mnie momentalnie do perspektywy nieuchronnego zgniecenia. Nic nie może już tego odgonić, oblewa mnie zimny pot, moje ciało zaczyna się chybotać, oddycham z trudem, nogi mi miękną, serce się wyrywa, podnoszę twarz do nieba, żeby dopatrzyć się jakiegoś znaku, ale tam wykafelkowana ściana metra odpowiada mi: „nagrzana suka”, co na chwilę odwraca moją uwagę skupioną na mojej śmierci na miejscu – „Jakim cudem wdrapali się tak wysoko, żeby tagować?”. Wyobrażam ich sobie, ludzka piramida i ostatni akrobata, najlżejszy i najbardziej zwinny, z obiema stopami na ramionach poprzednika, skoncentrowany jednocześnie na literach i trzymaniu równowagi, przykładający się do ostatnich liter S-U-K, zanim musiał uciekać biegiem, nie dokańczając A. To musiała być część chińskiej trupy cyrkowej, ci to są najlepsi technicznie – widziałam z moimi synami plenerowy występ gimnastyków i akrobatów przed Bożym Narodzeniem, byliśmy oszołomieni. Ale w takim razie czemu mieliby pisać po francusku? Czy brak A miałby wynikać z wahań fleksyjnych, zamiast z nalotu policji? Kim jest więc nagrzana suka posadzona na suficie metra, jeżeli nie tą, co to czyta? Tajemnica pozostaje niezgłębiona. Usilnie staram się znaleźć rozwiązanie, żeby uniknąć myślenia o swoim położeniu: porażka jest blisko, a duszność może w każdej chwili powrócić. A jednak posunęliśmy się do przodu, oczywiście nie zdając sobie z tego sprawy, zbliżamy się do krawędzi peronu, wagon jest na wyciągnięcie ręki, wagon przywożący rzekę ludzi, której prawa fizyki nie są w stanie pojąć. Jak pojemnik może zawierać w sobie zawartość większą niż on sam? Czyżby korzystający z metra wszyscy byli ludźmi-gumami? To inna wizja chińskiej ekspansji, ale po zastanowieniu wydaje mi się mało realistyczna. Zostaję popchnięta, porwana, pociągnięta w stronę drzwi, które zamykają mi się przed oczami. Tak bardzo chciałabym w tym momencie stracić przytomność, a jednocześnie trzymam się ze wszystkich sił, żeby nie upaść. Strach przed pustką zaciska się wokół mnie. Jeszcze bardziej przeraża mnie myślenie o pustce, chociaż nie ma jej tu wcale, ani kawałka. „Podtrzymajcie mnie!” –

proszę anonimowy tłum. Czuję ręce, które chwytają mnie albo wpijają się we mnie, odruchowo sprawdzam telefon w kieszeni: wciąż tam jest, to tylko ktoś próbował mi pomóc. Zmieszana pozwalam sobie upaść, ale nawet to nie jest możliwe. Moje ciało jest wciśnięte w ciała innych ludzi do tego stopnia, że jest podtrzymywane, niewywracalne, w dziwnej pozycji: coś w rodzaju kubistycznej rzeźby – w tej chwili dociera do mnie realizm tego nurtu artystycznego, podczas gdy zawsze uważałam go za konstrukcję trochę intelektualną i abstrakcyjną. Mój los jest więc nieubłagalnie powiązany z losem innych, moja indywidualność się ulatnia, porzucam moją chęć i złudzenie autonomii. Ustępuję, tracę grunt, potrzeba specjalisty od wypadków drogowych, który przyszedłby nas porodziłać, z wyrzynarką, jeżeli trzeba. Mam przeczucie, co to oznacza: to jest ciało społeczne, to zbite monstrum, w którym zawierają się pokrzykiwania złości, ale gdzie nadrzędna jest organiczność, która zrównuje nas jednych z drugimi w inicjacyjnym rytuale dezindywidualizacji. Dokładnie to się właśnie dzieje, przeżywam mistyczne doświadczenie.

Wtedy metro rusza, zanim w ogóle zdążyłam zorientować się, że wreszcie znalazłam się w środku. Trzeba przyznać, że wciąż jestem wypatroszona. Jakaś kobieta prosi, żeby otworzyć okna. Może to ja. Ale w tym samym czasie słyhać głos maszynisty: „Prosimy o nieotwieranie okien, istnieje ryzyko zalania przez wyciek z kanalizacji między stacjami Glacière a Edgar-Quintet”. Słyhać śmiechy, to taki humor pozbawionych nadziei. Szczury są w pułapce, woda wypełnia podziemne tunele, zostaniemy utopieni i pogrzebani żywcem, dwie najbardziej przerażające śmierci na mojej liście.

Łzy znów płyną mi bezwolnie po policzkach. Myślę o swoich synach, których więcej nie zobaczę, pozostawionych na łaskę swojego ojca, bez przeciwwagi. O zajęciach z piłki nożnej, na które już nie pójdą, bo ojciec zapomni ich zaprowadzić, o biurze dyrektora, dokąd będą chodzić co rano, żeby wytłumaczyć spóźnienie, o za długich, ale cudownie pokręconych włosach, które nie spotkają się już więcej z nożyczkami i będą gościć całe pokolenia zmutowanych wszy, o pieszczotach, których już nie zaznają, bo potrzeba do nich matki, o zadaniach domowych z francuskiego, których nikt już nie będzie im sprawdzał, o ich bólu, stracie, samotności. Myślę o dzieciach bez matki, z kręconymi włosami, nieodżałowaną czułością, myślę o Syrii. I to działa jak impuls. Budzę się z tego złego snu, żeby

przyjrzeć się mężczyznom i kobietom dookoła, tym samym, co pięć minut temu. I wreszcie zaczynam oddychać, pełna współczucia dla ludzkości na wszystkich końcach Ziemi, ludzkości uśpionej i tragicznej, od której odłączam się poprzez dołączanie do niej z powrotem. Wtedy zapowiadają stację Montparnasse. Wsiadam, porzucam moją formę, wchodzę w nowe ciało, ta sama ceremonia odbywa się w okolicach linii numer 13, ale przyglądam się jej niemalże z radością, mój umysł oddzielił się już od ciała, docierając prawie do punktu widzenia Boga, w każdym razie o poziom wyżej niż głośniki.

Na zajęcia docieram w stanie lewitacji. Większość studentów już sobie poszła albo w ogóle nie dotarła. Rzecz w tym, że oni też muszą dojeżdżać tu metrem. Mamy wrażenie bycia na statku uwięzionym przez krę. W lewym skrzydle nie ma prądu. Przemykają technicy jak zjawy, potem wracają, ale nie ma możliwości, żeby zatrzymać ich i zapytać o wieści, albo chociaż o przewidywania – „Czy ja mam na czole napisane *Météo France?*”, racja, nie zwróciłam na to uwagi. „Po ciemku trudno powiedzieć”, odpowiadam. Na co jeden z techników też coś odburkuje, jakbym go uraziła. Zdecydowanie nie jest to mój dzień. Przyciągam wrogie spojrzenia, podsyłam złe humory, ale w obecnym stanie euforii godzę się z byciem błagalną ofiarą francuskiej pogody. W takim stanie wracam do domu, po popołudniu bezowocnym, ale bogatym w doświadczenia, którymi z pewnością trudno będzie mi się podzielić, czy nawet je opowiedzieć. Tylko moi synowi by zrozumieli. I może jeszcze Émile Berthot, kto wie? Jeżeli któregoś dnia odezwie się do mnie...

Robię zakupy i docieram do domu około osiemnastej trzydzieści. Dzieci jeszcze nie ma, Aïcha czeka sama. Wydaje się skonsternowana przedstawieniem zaprezentowanym w kuchni. „Wiem, mamy problem, ale znajdziemy jakieś rozwiązanie. Aïcha, ty jesteś dobra w surfowaniu po Internecie (dziewczyna ma szesnaście lat), może pomogłabyś mi znaleźć stronę, na której sprzedają drzwi do zmywarek?” Aïcha zabiera się do pracy, podczas gdy ja zaczynam kroić cebulę i przygotowywać bulion na risotto. Aïcha raz, dwa kończy poszukiwania i robi mi zestawienie: „Jest takie coś, ale kosztuje sto pięćdziesiąt euro, inaczej Ikea”. No jasne, czemu na to nie wpadłam? Nie trzeba mieć szesnastu lat, żeby pomyśleć o Ikei jako lekarstwie na wszystkie zmartwienia. Jestem wniebowzięta. „Ale jak to zrobić przez Internet?” „Masz centymetr?” – pyta mnie Aïcha. Tak, gdzieś mam. Każdy ma gdzieś centymetr. Pozostaje tylko dojść do tego

gdzie. Wreszcie znajduję. Aïcha mierzy wysokość i szerokość zmywarki, wraca przed ekran komputera i w dwie minuty znajduje front z inoxu, dokładnie taki, jakiego szukałam: jestem oszołomiona jej skutecznością. „Klikaj!” – rozkazuję jej w gorączce, z odrobiną autorytarności, którą staram się złagodzić, gratulując jej slangowym gadaniem o „starej”, próbującej zgrywać „młodziaka”, co wywołuje jej uśmiech, całkiem życzliwy. „Ale to właściwie nic nie kosztuje!” – podrywam się, bo kwota trzydziestu euro wydaje mi się iluzoryczna w porównaniu ze stu pięćdziesięcioma euro na początku. Przed potwierdzeniem zamówienia orientuję się, że dostawa nie była wliczona w cenę i teraz koszt moich drzwi dosłownie się potroił. „To jednak idiotyzm! – zwracam się do Aïchy. – Jestem pewna, że brakuje mi paru rzeczy w domu. Wystarczy tylko skorzystać z okazji i zamówić”. Aïcha przytakuje, bardzo przejęta naszą małą inicjatywą. „A ty czegoś nie potrzebujesz?” Dziewczyna przegląda stronę, coraz bardziej zainteresowana, przyklejamy się obydwie do ekranu: ten puf jest niezły... Pasowałby do salonu... A ta ramka, na obrazki moich synów... Półka do kuchni, żeby zrobić porządek w słoikach? Może wymieniałabym łóżko? Nie, jednak nie. Ale zasłony, śliczne są te zasłony. Klik, klik, klik! W koszyku widnieje dziesięć artykułów, co czyni koszt dostawy opłacalnym. Pozbawiłam się ciężaru dwustu euro, ciężaru, który absolutnie jest wart tej ceny.

Wtedy właśnie José z dziećmi wchodzi do salonu. Nawet nie usłyszałyśmy, jak przyszli. Aïcha zmyka, obecność mojego byłego męża zawsze wywołuje w niej zmieszanie, do tego stopnia, że rodzą się we mnie podejrzenia. Ale nie zatrzymuję się na tym, nie ma już czasu na podsumowywanie zdrad, nawet jeżeli wiedza o nich wzmacnia moją stanowczość wobec niego, czasami gotową do ustępstw. Ale jednak szesnaście lat... José jak zwykle rozsiada się na naszej starej kanapie, podczas gdy ja ewakuuję się do kuchni z naiwną nadzieją, że on nie pójdzie za mną. Niemniej jednak jestem pocieszona, bo nie wygląda na to, żeby dotarła do niego wieść o wszach. Natomiast chłopcy kroczą tuż za mną: „Och, mamó, robisz nam risotto!”. Przykro mi, muszę wymamrotać: „Nie, to dla moich przyjaciółek. Nie zdążę z nim na czas. Wy zjecie sobie frytki i pójdziecie wcześniej spać”. Pokazuję im palcem „cicho”, wskazując na zmywarkę. Solidarni, idą zanieść rzeczy do swojego pokoju. José pyta mnie: „No więc, Charlotte, jak się masz?”. Pytanie, na które mam mało odpowiedzi do udzielenia, poza jakimś niezbyt przekonującym „dobrze”,

ale ostatecznie on też wcale nie pyta mnie tak naprawdę o szczegóły na temat mojego samopoczucia, nawet jeżeli pali się, wiem o tym, żeby je poznać, z tajoną nadzieją, że nie jest ono najlepsze. „Przeszkadzam ci?” „Nie, nie, tylko że mam parę rzeczy do zrobienia”. „Ach tak, masz parę rzeczy do zrobienia?” „No widzisz mam, dziwi cię to?” „Nie, nie. Ale ty zawsze masz parę rzeczy do zrobienia, kiedy tu jestem”. „Kiedy tu jesteś, kiedy cię tu nie ma, jakkolwiek dziwnie by ci to brzmiało, mam swoje życie”. „I nie możesz zrobić sobie przerwy na dwie minuty?” „Nie”. To definitywne „nie” budzi w nim podejrzliwość. „Masz gości dziś wieczorem?” „To nie twoja sprawa”. „Ale mogę cię o to spytać, prawda? To tajemnica? Masz coś do ukrycia?” „Nic do ukrycia, ale też nic, co by ciebie dotyczyło”. „Jak masz faceta, to możesz mi powiedzieć, nic mi to już nie robi”. No i znów ruszamy ze starą dobrą dyskusją, której wszystkie warianty znam na pamięć. Wolę od razu ją uciąć, patrząc na zegarek, zaniepokojona. „Robisz risotto?” „Tak”. „Więc ktoś przychodzi na kolację”. „Dobra, nie chciałbyś sobie pójść? Mam poślizg, a dzieci nie powinny się za późno kłaść”. „To dlatego chcesz, żebym sobie poszedł? Z uwagi na dzieci? Ale co niby mają do rzeczy dzieci? Kiedy tu są, ty wyprawiasz kolacje, zamiast się nimi zajmować, i kiedy tylko odwracają się plecami, wykorzystujesz okazję”. „Okazję do czego, bo nie rozumiem?” „Nie potrafisz być sama, tak? Masz potrzebę stałej dawki swoich dwórek?” „Posłuchaj, José, naprawdę nie mam ochoty z tobą dyskutować, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jaki obrót przybiera ta rozmowa. Tak więc gdybyś mógł sobie pójść, to byłoby wspaniale”. „Ależ oczywiście! Bywałem już spławiany, jestem przyzwyczajony! No już, chłopcy, idę sobie, waszej matce najwyraźniej spieszy się, żebym poszedł”.

Nie odpowiadam, znów skrępowana obecnością moich synów. José wstaje i – tu nadzwyczajny akt uprzejmości – odstawia swoją szklankę do zlewu. Wygląda na to, że ma szósty zmysł. „Co to za maszyna?” „Nic, to moja zmywarka”. „Ale po co ci dwie?” „Bo potrzebuję starej na części”. „Która to ta stara? Brzydula czy szkielet?” „Tak bardzo cię to interesuje?” „Nie, niespecjalnie, ale widzę, że stać cię na szastanie kasą”. „Jak mi się zepsuje zmywarka, to kupuję nową, to jakiś problem?” „Ani trochę. Ale mogłaś mnie zapytać, wiesz, że mam niedrogi superpakiet, a przy dostawie zabierają starą – to jest podstawowa zasada. Nie wiem, jak żeś to załatwiała, trzeba być tobą, żeby tak zostać z dwiema zmywarkami”, kończy, śmiejąc się. Oglądanie go w tak dobrym humorze motywuje mnie,

żeby wyprosić go za drzwi. Nie przyjdzie mu do głowy zaproponowanie pomocy w pozbyciu się zużytej maszyny, ale przynajmniej wychodzi ubawiony, tak bardzo cieszy go asystowanie mojej porażce. Gdyby był na miejscu, sprawa zostałaby załatwiona gładko. Pozostawiam go z tym przekonaniem, pomijając przypomnienie, że nigdy nie było go na miejscu i że z tego powodu już ładny kawał czasu sprawy nie były w ogóle załatwiane. Już prawie zamknęłam za nim drzwi, kiedy słyszę, jak z dołu rusza winda. „Nie chcesz zejść schodami dla odrobiny ćwiczeń? Będiesz długo czekał”. „Nie, nie spieszy mi się, w każdym razie nie tak jak tobie”. No i jestem świadkiem nieuniknionego spotkania między Anne wychodzącą z windy i José, który odwraca się do mnie, zanim jeszcze w ogóle się pożegna, z wymownym spojrzeniem, mrużąc przez półprzymknięte usta: „Teraz rozumiem”.

Chłopcy rzucają się na ręce Anne, to matka chrzestna Adriena – wybór z czasów serdecznego porozumienia. José rzuca nonszalanckim tonem: „Co to, zebranie klubu feministek? Coś czuję, że dziś wieczór będą mnie piec uszy”. „Nie martw się o swoje uszy – odpowiada Anne – mamy inne, o wiele bardziej palące kwestie do obgadania”. Trzymam moich synów za ramiona, jakbym chciała ich odgrodzić od starcia, które z pewnością rozegra się na ich oczach. José z powrotem obraca się w moją stronę i gwizdże. Jakiś sąsiad z dołu tłucze w obudowę windy, zniecierpliwiony oczekiwaniem na nią. „Dobra, idź już wreszcie, wszystkich blokujesz”. José jest wbrew sobie zmuszony wsiąść do windy. „Smacznego risotto!” – krzyczy z windy. – „Nie pijcie za dużo! Powodzenia przy zmywaniu!” Wpuszczam Anne i oddycham z ulgą, w końcu wolna w działaniu, ale z nastrojem zepsutym przez to, czego się domyślałam: te kolizje między dwoma żywotami, dwiema przestrzeniami, dwoma terytoriami, po których kroczą moje dzieci w poszukiwaniu kładek, nie znajdując ich. Ich ojciec zajmuje się budowaniem murów. Ale co zawodzi z mojej strony? Wtedy pojawia się wizja moich dwóch zmywarek, jednej wybebeszonej, drugiej – zepsutej. Jedna obok drugiej na sześciu metrach kwadratowych kuchni. Moje pole walki zawiera się w tej intymnej przestrzeni. Tak więc zapraszam Irinę i Anne do kontemplowania porażki mojego przejściowego życia. Rozśmiesza je ta metafora, razem dochodzimy do wniosku, że trzeba skończyć z tą sytuacją.

Godzinę później, po uspieniu dzieci siłą obietnic, rozmyślałyśmy sobie, sącząc wino. Irina popycha mnie w kierunku przygody miłosnej i podoba

mi się to niemodne sformułowanie w jej ustach. Przygoda, na to tylko czekałam, zamknięta w moich trzech pokojach przy ulicy La Santé, porozumiewająca się na migi z długoletnimi więźniami, których twarze wyobrażam sobie w wolnym czasie spędzonym samotnie. Anne przyznaje jej rację: „Z byle kim! Musisz się zabawić, zapomnieć się trochę”. „Ale jak niby, chciałybyście, żebym zaprosiła kogoś do siebie?”, odpowiadam z przykrością, pokazując im po kolei kuchnię, pokój dzieci i komodę zmontowaną przez José. „Prawda, nie ma tu miejsca. Załatwimy jedną rzecz, która będzie pierwszym etapem twojego nowego życia”, proponuje tajemniczo Anne. Razem z Iriną przyglądamy się jej zaintrygowane. „We trójkę możemy wynieść twoją starą zmywarkę i znieść ją na chodnik. Jutro zgłosisz śmieciarzom gabaryt do wywiezienia”. Moja twarz się rozjaśnia, potem znowu zachmurza. „Gdybyś widziała tych dwóch Pakistańczyków, byłych mistrzów bokserskich w swoim kraju, sapiących i pocących się podczas dźwigania Rzeczy, to ten pomysł nawet nie przeszedłby ci przez myśl”. „Może i mistrzowie bokserscy, ale nie mistrzowie szachowi. My wymyślimy strategię. A poza tym znosić zawsze jest łatwiej, niż wnosić!” Patrząc pytająco na Irinę. Wydaje się zgadzać, a jej uśmiech jest bliski śmiechu, który napada ją od początku wieczoru. „Świetnie. Dam wam jakieś robocze ciuchy i po kieliszku do wypicia, żeby nabrać sił”.

Od słowa do słowa. Każda z nas wciąga stare polo, żeby nie porwać sobie jedwabnych koszul (których sensu nie widzę, biorąc pod uwagę, że moje dwie stare kumpelki miały tylko przyjść do mnie na kolację, co nie pociąga za sobą spotkania kogokolwiek innego, ale podziwiam tę bezinteresowność, z której powinnam brać przykład). Kończymy drugą butelkę wina i, wystarczająco wcięte, zabieramy się do pracy. Anne stara się wydostać bestię z jej niszy, gdzie wydawała się tak dobrze zdomowiona, ale do tego potrzeba, żeby Irina wyciągnęła drugą bestię, która drzemie w pobliżu, blokując tej pierwszej wyjście. Pomagam jej w miarę możliwości i po dwudziestu minutach pierwsza operacja przygotowawcza zostaje doprowadzona do końca: wytyczyłyśmy trasę. Żeby uprzyjemnić przedsięwzięcie, wrzucam ostatni album Franza Ferdinanda na mojego iPod'a i podkreślam głośność do oporu. Śpiewamy razem, regularnie objając się o urządzenia, i improwizujemy choreografię wokół naszych nowych totemów, przytulając się do nich z uczuciem, potem wchodząc na nie jak na zaimprovizowane podium, co pozwala nam odkryć nieznaną potencjał sprzętu AGD. We trójkę udaje nam się przeciągnąć zepsutą maszynę aż do

drzwi wyjściowych, a tam nadziewamy się na lawendową komodę, która wychyla się na widok zmywarki, jakby chciała jej dowieść: tędy nie przejdiesz. Tymczasem ja jestem w stanie, w którym nie należy mnie prowokować: strzelam jej porządnego kopniaka w szuflady, ta buja się, ale cudem odnajduje równowagę, pomimo nierównych boków. Irina i Anne patrzą po sobie, i wnioskuje po ich zmartwionych twarzach, że tak samo jak ja zastanawiają się, co tu jeszcze robi ten obrzydliwy i bezużyteczny obiekt. Nie da się powstrzymać szaleńczego śmiechu, podczas gdy ciągniemy ją, żeby zwolnić przejście, rozrzucając przy okazji listy jak płatki róży na drodze młodej pary.

Nakazuję im, żeby robiły mniej hałasu. O ile moja sąsiadka z naprzeciwka jest po mojej stronie, to ci z góry są mi wrody. „Co teraz zrobimy?”, pytam Anne przed schodami. „Oczywiście wstawimy ją do windy!” „Ale ona się nie mieści”. Pomięłam ten szczegół, kiedy inicjatywa była przegłosowywana przez akłamację. Anne patrzy na mnie skonsternowana, ale z powrotem bierze sprawy w swoje ręce. „OK, są dwa wyjścia: albo zostanie i będzie tak stać przy wejściu, wtedy okaże się, że tylko przesunęliśmy problem. Albo zdobywamy się na odwagę... („i na zarwaną noc...”, dodaje Irina) ...i jutro rano budzisz się w nowym życiu”. Działanie po raz kolejny jest przegłosowane przez akłamację. Jeżeli będzie trzeba, spędzimy na tym całą noc. „Przynajmniej zmusimy się do jakiegoś ruchu”, podsumowuję, żeby ukoronować to charytatywne przedsięwzięcie ostatecznym usprawiedliwieniem. Nie wspominam o paczce papierosów, którą kończymy we trójkę, i trzeciej butelce, którą otwieramy, żeby uśmierzyć fizyczne cierpienie, co prawdopodobnie zniweluje dobrodziejstwo ćwiczeń, ale jesteśmy tak uradowane, że naszą decyzję mógłby zakłócić tylko ciężar i trudność w chwyceniu Rzeczy. Zatrzymujemy się wszystkie co trzeci schodek, krzycząc: „Uwaga leci! Nie daję już rady!” i blokując maszynę o ścianę. Potem znów znosimy ją aż do półpiętra, żeby zmienić pozycję. Lamya, matka Aïchy, wystawia zaspaną twarz przez drzwi: „Co robicie?”. „Znosimy moją zepsutą zmywarę. Przepraszam za hałasy, ale to cholerstwo jest megaciężkie!” Lamya woła Aïchę, żeby nam pomogła. Jest po północy, ale nastolatka gra na komputerze: niech lepiej trochę poćwiczy mięśnie i zaczerpnie świeżego powietrza, zamiast dziczeć przed monitorem. W piątkę idzie nam o wiele szybciej. Nasze starania znów przerywane są wybuchami szalonego śmiechu i historiami o wykastrowanych mężczyznach. Klub feministek,

o którym mówił José, zawiązał się na nowo na klatce schodowej, wokół upadłego symbolu, który ma swoją wagę! Wreszcie docieramy na chodnik, siadamy wszystkie razem oparte plecami o zmywarkę i przekazujemy sobie jointa, którego Anne zachowała w rezerwie – nie jako fajkę pokoju, ale zwycięstwa. Wtedy jesteśmy już naprawdę ubawione. Przygląda nam się kilku przechodniów, zarazem uśmiechniętych i przestraszonych. Zapraszam wszystkie dziewczyny z powrotem do domu. Kończymy ten fantastyczny wieczór wokół Aïchy śpiącej na kanapie, opowiadając sobie na zmianę nasze najpiękniejsze historie miłosne. Kiedy nadchodzi moja kolej, waham się, ale czuję się zobowiązana stwierdzić: „Myślę, że moja dopiero się wydarzy”.

DZIEŃ 7

Wiara we włosy

Nowa maszyna króluje teraz samotnie w kuchni – jej poprzedniczka cierpliwie czeka na ulicy na wywóz gabarytów, żeby ruszyć w ostatnią podróż. Nowa zmywarka jest samotna i naga, koszmarnie naga, co pozwoli José wybuchnąć śmiechem przy okazji każdej wizyty, dopóki nie przybędzie dostawa z Ikei. Dlatego myślę o tym, że będę musiała znaleźć jakieś rozwiązanie, żebyśmy na siebie nie wpadali. W chwili kiedy nachodzi mnie ta refleksja, wyświetla się wiadomość od niego: „Wiesz, że jutro w szkole jest strajk?”. Dziwi mnie, że on to wie: „Tak, zaplanowałam wyjście z chłopcami do kina”. „To się fatalnie składa, bo ja właśnie też zaplanowałam, że ich tam zabiorę, na ten sam film” (którego tytułu nie wymieniłam, nawiasem mówiąc). Tym razem jestem pewna, że mnie prowokuje. Ale mu się to nie uda. W moim mózgu nagle błyska iskierka „OK. Ja zabieram ich dziś po południu do restauracji, obiecałam im. Przyjdź jutro w południe i zabierz ich do kina”. „Wiedz, że postanowiłem nie poddawać się już więcej twoim rozkazom i nie spotykać się z synami tylko wtedy, kiedy tobie pasuje. Przyjdę po nich po szkole dziś po południu i zabiorę ich do restauracji, prawdziwej restauracji, gdzie można zjeść prawdziwe mięso, nie do jakiejś knajpy z sushi”. Jego odpowiedź mnie nie zaskakuje, dał się złapać we własne sidła, tego właśnie chciałam: nie wpadniemy na siebie. Wreszcie zastosowałam w praktyce lekcje manipulacji pobierane od José przez piętnaście lat. Ale mam nieprzyjemne uczucie, że poświęciłam swoje dzieci dla sprawy, która jest im obca, dla wojny między ich rodzicami, przed którą aż do tej pory starałam się ich chronić. Moja strategia jest podła, a zwycięstwo gorzkie. Będzie trzeba znaleźć jakieś inne wyjście.

Trudno zerwać z rutyną, która rozgościła się trochę niezależnie od nas. Żeby do tego doszło, musiałabym uderzyć pięścią w stół, rozpętać nową bitwę, zerwać trochę bardziej, przesunąć się stopień wyżej na skali separacji, która zawiera jeszcze tych stopni pokaźną liczbę. Najwyraźniej jako jedyna wprawiam się w rozstawaniu. José jest co najmniej mało

współpracujący, potwierdza w ten sposób swój status ofiary przedłużany bez końca. Niestety, od momentu naszego rozstania moja waleczność nie jest u szczytu formy i rozmywa się w tym okresie przejściowym, który trwa, gotowy stać się sytuacją ostateczną. Jeżeli mój brak inicjatywy jest równie intensywny co u mojego byłego męża, to nie z powodu braku chęci z mojej strony (u niego to pozycja zajęta na wojennej szachownicy), ale właśnie dlatego, że staję się niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Jestem rozdarta między chęcią dania kopniaka (najchętniej moimi skórzanymi kowbojkami Les Prairies de Paris) w ten bajzel, którym stało się nasze życie – i owszem, jestem tu zmuszona do użycia tego nieszczęsnego zaimka dzierzawczego – i strachem, lenistwem, wątpliwością, poczuciem winy, czyli tym, co mnie zasadniczo definiuje.

Rozmyślając nad tym wszystkim, udaję się do fryzjera, powłócząc nogami. Tydzień temu nowa fryzura otwierała przede mną perspektywę nowego życia – tak to jest, posiadam nieskończoną wiarę we włosy. Ale teraz ten akt kobiecej rewindykacji wydaje mi się próżny. Zmieniać fryzurę, dla kogo? dla czego? Ja, która nie jestem zdolna zażądać od mojego byłego męża, żeby jego stopa więcej nie stawała w moim domu, bo to zbyt brutalne – biedaczek – a on w dodatku zawsze zakręci się tak, żeby pięć minut spędzonych razem stało się trzydziestoma minutami, i to trzydziestoma minutami koszmaru? Dla Émile’a Berthot, który zapewne nie pamięta mojej poprzedniej fryzury, bo widział mnie tylko raz w życiu, a który zwleka jak najdłużej z odpowiedzią, podczas gdy ja wyznaczyłam mu proroczą datę targów w Limoges?

Kant mnie pospiesza – nie ma mowy, żebym drugi raz zawaliła wizytę! A jest on tak dobrym lalkarzem, że porusza za pomocą niewidzialnych nici moimi kolanami i stopami, żeby poniosły mnie w kierunku stacji Havre-Caumartin, w której pobliżu rezyduje mój fryzjer. Oto, do czego służy prawo moralne, do prowadzenia mnie w przestrzeń zalaną muzyką techno, gdzie pojedynek toczą *Grazia* i *Marie Claire*, równo pozdzierane, co wciąż mu powtarzam. „Jeżeli zdaje ci się, że będziemy zgłębiać *Krytykę czystego rozumu* między dwiema szczotkami i trzema parami nożyczek”, ale on się nabija, jasne jest, że żaden motyw egoistyczny nie ma prawa wstępu do prawa moralnego. Ani dziewięćdziesiąt euro, od których Antoine uwolni mnie w zamian za balejaż, ani żyjątko, które łaskoczą mnie w czaszkę i którymi nie miałam czasu się zająć. To ostatnie zagadnienie wyjątkowo mnie męczy przez całą drogę; czy fryzjer w i d z i wszy podczas

szczotkowania? Pytanie, którego słusznie nie mogę mu zadać, ryzykując zdradzenie się.

Po stanowczej decyzji, żeby nie ulegać ani trochę swojej naturalnej ciekawości, zbliżam się drżąca do kolejnego potencjalnego upokorzenia. Antoine przyjmuje mnie z manifestacyjną afektacją, natychmiast wylicza mi zanedbane kwestie i oznajmia potrzebę „nadaniu temu wszystkiemu z powrotem trochę życia”. Na razie jednak każe mi poczekać trzy kwadransy, w towarzystwie, och, niespodzianka, wyboru magazynów zredukowanego do dwóch opcji: *Grazia* lub *Marie Claire*.

Rozumie się samo przez się, że przezornie wrzuciłam do torby na tę okazję kilka dzieł filozoficznych, w tym *Całość i nieskończoność* – komentarz Lévinasa do Wittgensteina – oraz pewną świeżo wydaną książkę młodzieżową, napisaną przez jednego z moich towarzyszy wyludnionych salonów literackich (niektóre odizolowane miłośnicy dysponują specjalistą ds. kultury czynnej, którego entuzjazm i dobre chęci niestety nie wystarczają, żeby zagonić tłumy na spotkanie autorskie. Siedzenie przez pięć godzin obok innych autorów, równie mało przekonanych co wy, nakłania do rozmów i jeżeli nie wchodzi tu w grę przyjaźń, to chociaż solidarność wspólnie zranionego narcyzmu). Ten więc autor, którego talentu nie mierzy się liczbą autografów, był moim towarzyszem niedoli wiele razy i z tej okazji stał się prawie przyjacielem, nawet jeżeli nasze spotkania ograniczają się do imprez poświęconych literaturze młodzieżowej. Razem, nie mając nic innego do roboty, gramy w wyszukiwanie sobowtórów i oceniamy wygląd fizyczny dzieci w dwudziestopunktowej skali, przepowiadając im przyszłość na podstawie ubioru ich matek, sposobu, w jaki matka trzyma ich lub nie za rękę, nieobecności lub obecności ojca, kielkującej otyłości, tików nerwowych, sposobu chodzenia i innych danych naukowych. Po wysnuciu różnorodnych teorii: „Boże, jakże on przypomina swojego ojca, a przecież matkę ma taką ładną”, „Patrz, jest tam Nicolas Sarkozy i idzie do nas” (a taki dziesięcioletni Nicolas Sarkozy potrafi rozśmieszyć), przechodzimy do podobieństw zwierzęcych, mojego ulubionego sposobu na zabicie czasu – czyż nie jestem specjalistką od zwierząt? To takie zaskakujące, kiedy widzi się, jak bardzo niektóre dzieci różnią się od rzędu zwierząt tylko w kilku kwestiach: małpy – czarne owłosienie, które u niektórych małych dziewczynek niebezpiecznie schodzi aż do brwi, psy – wilgotne opadające oczy, czasem króliki – wystające zęby, jeszcze przed aparatem ortodontycznym, także wilki – spiczasty pysk

i ostre kły... A kiedy nadchodzi pora na podpisywanie książek (bo czasem się tak zdarza), załatwiamy to zawsze tak, żeby przemyścić do dedykacji aluzję do popularnych zwierząt albo nawet mały rysunek. Czuję się więc moralnie zobowiązana, żeby przeczytać jego książkę i uprzyjemnić tym samym nasze przyszłe spotkania.

Tymczasem rzucam pobieżnie okiem na okładkę *Marie Claire*, ale nie rozpoznaję żadnej z gwiazdek. Mimo że cztery książki w mojej torbie wyciągają do mnie ręce, każda z innego powodu, ale wszystkie równie niezbędne, poddaję się straszliwej pokusie zagłębienia się w *Grazii*. Nie tylko oglądam zdjęcia, ale w dodatku czytam też teksty – nikt mnie nie nauczył przeglądania. Kant przebiera nogami, kłuje mnie dziobem w ramię, a za chwilę, rozwścieczony przez moją słabość, będzie celował w oczy, wypróżni mi się na szyję, będzie mi się darł do uszu. Wolę cierpieć pod ostrzałem (jak święty Jan Chrzciciel przebity strzałami, który mimo wszystko nie wyrzekł się wiary) i czytam *in extenso* wywiad z Natalią Vodianową, która zaprojektowała swoją piątą kolekcję dla Etam, potem z Alexą Chung, której „najgorszym wrogiem są cycki” (*dixit*). Wreszcie wpadam na test. Uwielbiam testy. Zanim jeszcze w ogóle wezmę się do czytania zadań (zawsze wydaje mi się, że biorę udział w konkursie), wyciągam ołówek z torby, żeby zdobyć pierwszą nagrodę w kategorii „Ile lat ma twoje ciało?”.

Trudność pytań bardzo szybko gasi moją neoficką radość: „podziel swój obwód w biodrach przez swój obwód w talii”. Czy trzeba być absolwentem elitarnej uczelni, żeby wyliczyć wiek swojego ciała? Moje wydaje mi się mieć tyle samo lat co ja, ale nie przeczytałam jeszcze testu do końca, z pewnością wykaże on wyraźnie przyziemność mojego kierunku myślenia. Nie mam absolutnie zielonego pojęcia, jaki mam obwód w biodrach ani jaki w pasie, nie mam też w zwyczaju spacerować z centymetrem przy sobie (nawet jeżeli jeden posiadam, ten sam, który posłużył do zmierzenia mojej zmywarki, a jej wymiary dla odmiany znam), nie mogę wykonać tego polecenia na miejscu – i już tracę punkty. Nieważne, przechodzę do następnego: „Na stojąco, bez rozgrzewki, z wyprostowanymi nogami, pochyl się do przodu, żeby sięgnąć ziemi. Udaje ci się: dotknąć kolan, dodaj trzy lata; dotknąć połowy goleni, dodaj dwa lata; dotknąć palców u stóp, dodaj rok; położyć dłonie płasko na ziemi, odejmij dwa lata”. Rzucam okiem na prawo i lewo, żeby upewnić się, że wszyscy są zajęci swoimi sprawami, i dyskretnie wstaję. Pochylam się do przodu i udaje mi

się dotknąć kolan. Jeszcze trochę wysiłku, pcham, ciągnę, kiedy ktoś za mną pyta, czy wszystko w porządku. „Tak, tak, drobny ból pleców, tylko tak mogę go zażegnać”. Z powrotem na siedzeniu, notuję wynik. I następane: „Ile czasu wytrzymasz z plecami opartymi o ścianę, w pozycji siedzącej (ale bez krzesła)?”. Zadania zaczynają się robić coraz bardziej finezyjne. Mimo to, trochę oszukując, podnoszę się z siedzenia, przywieram do niego tylko plecami, tak żeby jak najdłużej wytrzymać, polegając na samej tylko sile nóg. Jestem całkiem zadowolona, widząc, że wytrzymuję prawie dwie minuty i mogę z tej okazji odjąć mojemu ciału dwa lata. Inne pytania dotyczą mojej higieny żywieniowej. Uświadomiona, odhaczam co trzeba. Przy papierosach idę prosto na plus trzy. Następnie trzeba wyczuć bicie serca. Wsuwam rękę pod koszulę, żeby móc lepiej mierzyć, i staram się liczyć, kiedy młoda kobieta przychodzi zabrać mnie na mycie włosów. „Mogę zatrzymać magazyn?” „Oczywiście”, odpowiada mi uprzejmie, po czym sadza mnie na siłę na odchylonym krześle i polewa głowę wodą, najpierw lodowatą, potem parzącą. Cokolwiek by się działo, nie odejmuję ręki od serca, raz, dwa, trzy, cztery. Nie ma najmniejszych wątpliwości: żyję. Nie mogę jednocześnie liczyć i spoglądać na zegarek, moja twarz jest skierowana do sufitu, więc odkładam werdykt na później i skupiam się z całych sił, żeby myjąca mnie dziewczyna nie zwracała zbyt uwagi na mrowisko, które zadomowiło się na mojej głowie.

Bogu dzięki, dziewczyna rozmawia z koleżanką, wykonując mechaniczne ruchy, zupełnie bez zainteresowania moją kolonią. Potem wraca do mnie: „Ma pani siwe włosy. Może to pora na farbowanie?”. Zmrożona ze strachu, tak samo z uwagi na siwe włosy, co na ostrość jej spojrzenia – w końcu sama je policzyłam, jest ich raptem dziesięć (ostatnio jeden wyrwałam) – naprawdę, dziesięć wśród tysięcy innych, odpycham ją moim trochę przesadnie gwałtownym: „nie”. Potem łagodniej: „Jak pani myśli, o ile lat odmłodnieje moje ciało, jeżeli się pofarbuję?”. Urażona moim „nie”, odpowiada mi ponuro: „Ja tam nie wiem, odjęłoby pani z dziesięć lat”. Co po wykonaniu obliczeń wyrównałoby wiek mojego ciała i duszy. Muszę koniecznie skończyć test, żeby podjąć jakąś decyzję, ale w tej pozycji może to być skomplikowane. „Nałożyć pani kremu?”, pyta mnie dziewczyna (której, nawiasem mówiąc, ciało wydaje się ewidentnie starsze niż umysł, który zatrzymał się w rozwoju). Wiem, że nakładanie kremu oznacza piętnaście euro i pół godziny więcej, nie zależy mi już: „Nie ma pani raczej czegoś przeciwko wszom?”. Spogląda na mnie przerażona

i idzie umyć sobie ręce jakby chodziło o operację na otwartym sercu, po czym zdaje relację Antoine'owi.

Przyznaję, że mnie rozdrażniła. Antoine stara się przywołać ją do porządku, podczas gdy ja korzystam z chwili, żeby policzyć uderzenia mojego serca, z okiem przykutym do stopera w telefonie. Bingo, między dwudziestoma a dwudziestoma dwoma uderzeniami na dwadzieścia sekund, co pomnożone przez trzy daje sześćdziesiąt i pozwala mi odjąć dwa lata od wieku mojego ciała – wiedziałam, że mam dobre serce, to kwestia owerniackich genów. Farbowanie odłożymy na kiedy indziej. Tymczasem ten spryciarz Antoine powraca z nowym argumentem: „A czy pani Fayolle wie, że wszy nigdy nie zadomawiają się na farbowanych włosach?”. „Ach tak? Nie, nie wiedziałam. Ale mam dopiero trzydzieści osiem lat i farbowanie wydaje mi się przedwcześnie. Za to moje dzieci mają wszy, to fakt; co by mi pan poradził, żeby się ich pozbyć, zanim sama ich nie złapię?” To lekkie odklejenie się od rzeczywistości (które kosztuje mnie Kantowskie piski, słyszalne tylko przeze mnie) rozbiera sytuację. Antoine z ulgą każe mi usiąść w fotelu i zaczyna swoją choreografię. „Tniemy na krótko? Jaka długość panią interesuje?” Przyszłam tu zmienić fryzurę, ale tuż przed przejściem do czynu, cofam się: „Och, przytnijmy tylko trochę końcówki, a potem cieniowanie”. Antoine, zawiedziony, zabiera się do pracy, mimo wszystko regularnie proponując inwencje swojego autorstwa, które ja od razu oschle ucinam. Na koniec strzyżenia, które zajęło mu dziesięć minut, zmieniam zdanie: „A tak w zasadzie, co mógłby pan zrobić, żeby wszystko zmienić, za bardzo nie przycinając?” „Pasemka?” „Nie, dziękuję!” „Grzywkę?” „Nie mam głowy do grzywki”. „Loki?” „Kręca mi się naturalnie”. „Brazylijskie prostowanie?” „W żadnym wypadku”, nawet jeżeli prostownica być może podziałałaby na moje wszy, „No to nie wiem co”. „A gdyby pan przyciął jeszcze krócej? Trochę jak Charlotte Gainsbourg w *Złośnicy*, no wie pan?” Antoine chyba się pogubił – a przecież podśpiewywał kiedyś Patricka Bruela, którego hitowy okres nie powinien być zbyt oddalony od premiery filmu. Jasne, prośba o cięcie (z pominięciem grzywki) na dziewczynkę, która dwadzieścia lat temu miała czternaście lat, kiedy samemu ma się trzydzieści osiem, mogłaby urazić jego wiarę w postęp fryzjerski. Ale dzięki *vintage* młodzieżowa obsesja zawsze może uchodzić za nową modę, więc Antoine zabiera się do dzieła. Nie wkłada w to już ani trochę dobrej woli, co mnie osobiście pociesza, entuzjizm fryzjerów jest rzeczą przerażającą. Wychodzę z tego z włosami

o średniej długości, „idealnej, żeby oddychały”, mówi mi Antoine, żeby usprawiedliwić półtorej godziny spędzonej n a d e mną. I nagle dziwi się: „Rzeczywiście ją pani przypomina!”, prawie tak samo szczęśliwy, jak gdyby to właśnie ją strzygł, w dodatku ma poczucie, że odtworzył Charlotte Gainsbourg cięciem swoich nożyczek. Fryzura jest raczej udana, muszę przyznać, więc odgrzebuję z zapomnienia to nieznaczne podobieństwo, niezamierzony prezent, który rezerwuję dla mojej matki na urodzinową kolację. Wychodzę lekka i pełna nowej nadziei. No proszę, jak mało mi trzeba.

I magia włosów działa. Kiedy wracam do domu, czeka na mnie mail. „Droga Joséphine, to wspaniałe jak na „pierwszy rzut”. Niewiele widzę do dodania, poza zakończeniem historii – tylko niech Pani nie przekracza zbyt liczby znaków, bo bylibyśmy zmuszeni do zmiany formatu, co wydaje mi się niepotrzebne. Będziemy gotowi na targi w Limoges, bardzo na to liczę. Możemy przedyskutować szczegóły tekstu w moim biurze w tym tygodniu, kiedy Pani pasuje. Serdecznie pozdrawiam, Émile Berthot”. Yesyesyes! Więźniowie z naprzeciwka mogą przyglądać się mojemu tańcowi radości, ale na pewno nie usłyszą ścieżki dźwiękowej. Wrzeszczę w moim salonie: „Oh no not I, I will survive, oh as long as I know how to love I know I'll stay alive, I've got all my life to live, I've got all my love to give, and I'll survive, I will survive!!!!!!”. Dalej puszczam: „And I said darling, tell me your name, she told me her name, she whispered to me, she told me her name, and her name is, and her name is, and her name is, and her name is G-L-O-R-I-A, G-L-O-R-I-A Gloria G-L-O-R-I-A Gloria, G-L-O-R-I-A Gloria G-L-O-R-I-A Gloria”, w wersji Patty Smith, potem w wersji Vana Morrisona (co w moich ustach niewiele zmienia). Raduję się, pocę, kiedy dzwoni telefon – pozwalam, żeby dzwonił – włącza się sekretarka. „Dzień dobry, tu mama!”, więc śpiewam dalej do *Sarà perché ti amo*, jakby w ramach skojarzenia z moją matką kurewką *Złošnicq-Riccie et Poveri*, podczas gdy ona nagrywa swoją wiadomość, która trwa tyle, co cała piosenka. Dumna z siebie, czuję, że wolność jest o dwa kroki, wibruje w moim ciele podczas tego szamańskiego rytuału. Wiem dobrze, że mi to opadnie, tutaj, za kwadrans, może za pół godziny, ale nie myślę o tym, napięcie zredukuje się samo i pozostawi mnie lekko otumanioną, gotową do powrotu do mojego zablokowania jak do dobrze już poskładanej zbroi, doskonale pasującej do mojego wzrostu, której wytrzymałość zaczęłam już nawet intensywnie testować.

Muszę jednak odpowiedzieć. I biorę totalnie na klatę powrót do rzeczywistości: to znaczy do mojej ułomnej zdolności do rozmowy z inną istotą ludzką. Niestosowność wybuchów radości przed moimi więźniami mnie dołuje. Zasłaniam okna, nie zapominając, żeby posłać im spojrzenie w ramach pocieszenia, i podłączam mojego iPoda, żeby posłuchać oryginalnych wersji. Ukołyszana muzyką, uwalniam się od uzdy: „Jestem wolna jutro”. Mniejsza o kalkulacje pożądania, retoryki rzadkości, strategii kota i myszy: jestem wolna jutro, więc dlaczego mam tego nie powiedzieć? Niech sobie myśli, co chce: że nie mam nic innego do roboty, tylko być dostępną na zawołanie, że byłam cały czas przykręcona do komputera w oczekiwaniu na jego werdykt, że mam ochotę ponownie go zobaczyć, i to jak najszybciej – będzie miał rację. Koniec z oszukiwaniem. Odpowiada mi natychmiast – też nie wydaje się mieć zbyt dużo do roboty, poza wczytywaniem się w maile. – „Jutro, doskonale, czekam na Panią w moim biurze późnym rankiem. Jeżeli ma Pani ochotę, możemy zjeść razem lunch, mam tylko jedno spotkanie, które mogę odwołać”. Jeszcze szybciej od niego: „Pasuje jutro dwunasta, lunch też”, idę na całość, będzie jeszcze jutro czas, żeby drzeć. Nawet nie dodaję: „Ja też mogę coś odwołać”, bo nie mam nic do odwoływania, poza tête-à-tête z moją zmywarką w mojej za małej kuchni, w której niesie się jeszcze echo śmiechu José.

DZIEŃ 8

Olśnienie i burrata

Minęła jedna noc, a ja jestem inną osobą. Inną niż zwycięska-ja-z-wczoraj, to znaczy stałam się z powrotem starą sobą. Tą, która waha się nad swoim ubiorem, która spogląda na zegarek, żeby przyspieszyć czas, jakby obserwacja cyferblatu miała jakąkolwiek moc przyspieszania (w tym przypadku ma to raczej przeciwny efekt), która nie czuje się na siłach zasiąść do pracy, bo coś innego siedzi jej w głowie, która uważa, że po porządnie przespanej nocy jej nowa fryzura przypomina babeczkę z kremem i która nie daje rady przywrócić jej do porządku, bowiem zagięcie włosów z przodu, modelowane przez poduszkę przez bite siedem godzin, jest niezniszczalne, jakby wykute w skale. Tą, którą drapie się po głowie, bo niszczycielskie szcietkowanie fryzjera na granicy cierpliwości jest dla wszy niczym ciepłe bicze wodne, okłady z błota i masaż gorącymi kamieniami dla samotnej czterdziestoletniej kobiety-pracoholiczki. Tą, która nagle uznaje swoje trzydzieści stron napisanych w jeden wieczór za denne, marne, wręcz zawstydzające. Tą, która wzdryga się na myśl o błyskawicznym zaakceptowaniu lunchu ze swoim nowym redaktorem, którego w swojej słabości uważa za pociągającego. Tą, która dostaje SMS-a od swojego byłego męża z zapytaniem, czy nie mogłaby odebrać dzieci wczesnym popołudniem, bo on musi pójść na tomografię.

Wczesne popołudnie? To znaczy czternasta? Czternasta trzydzieści? To znaczy koniec drugiego dania, początek deseru? To znaczy lunch pełen niepokoju, podminowany przez obsesyjną myśl o odebraniu maluchów na czas? Tyle tomografii naznaczyło nasze wspólne życie, tyle odroczeń: na trzy miesiące, sześć miesięcy, popychały nas one do korzystania z życia, przy jednoczesnym wypracowywaniu odpowiednich słów przeznaczonych dla naszych przyszłych półsierot. Potem wreszcie nadchodziła cudowna wiadomość: odroczenie przedłużało się o kilka lat, od dziesięciu do pięćdziesięciu. Po czym nagle powracało, niosąc strach przed nieuchronną, pewną śmiercią, za każdym razem planowaną na inny termin, z przyczyn zawodowych, a teraz „rozstaniowych” – nie, taki przymiotnik nie istnieje.

Powiedzmy po prostu, że śmierć po raz kolejny wybrała sobie dobry moment: sam środek obiecującego lunchu.

Ostatni SMS przywraca mi siłę do walki: śmierć śmierci! Postanawiam dzisiaj nie brać jej pod uwagę, poradzi sobie z czekaniem – chociażby do końca dnia. Oczywiście José uzna za stosowne zapaść w głęboką śpiączkę w chwili, kiedy Émile Berthot zaleje się łzami nad oryginalnością mojej ekscesywnej wyobraźni, urodą mojego pisarstwa i moich piersi. Oczywiście poczucie winy zastąpi mi na starość laskę. Oczywiście José jest zdolny do rzucenia się pod metro, żeby tylko przykrócić moje próby wyzwolenia się. Ale możliwe też, że nic takiego się nie stanie. José ma szósty zmysł do wykrywania spotkań – może nie miłosnych, to byłoby z mojej strony zarozumiałstwo, ale przynajmniej damsko-męskich: ja i jakiś mężczyzna, tyle wystarczy, żeby uruchomić alarm.

„Nie mogę, umów się na inny termin albo zorganizuj się w kwestii kogoś do opieki nad dziećmi, mam służbowy lunch niemożliwy do przełożenia”. Od razu za dużo mu mówię. „Niemożliwy do przełożenia? Jeżeli myślisz, że łatwiej jest przełożyć tomografię, na którą mój lekarz skierował mnie w trybie pilnym i którą udało mi się wybłagać, to świetnie, w żadnym wypadku nie przesuwaj swojego s ł u ż b o w e g o lunchu. Rozumiem, że jeżeli umówiłaś się z garbatą wiewiórką, to ona nie może poczekać”. Dziwię się na widok postępów José w kwestii interpunkcji. To mój zbawienny wpływ. Korci mnie, żeby mu pogratulować, ale wybieram efektywność: „Zadzwoń do Aïchy, jeżeli nie możesz poczekać” „Aïcha być może ma inne rzeczy do roboty niż zastępowanie ciebie”. „Zapewne tak, dowiesz się o nich, kiedy już sam wybłagasz u niej takie zastępstwo”. Ta aluzja jest ciosem znienacka. José wystarczająco korzystał ze swojego statusu szefa i żonatego mężczyzny, żeby mogło kusić go prawo pierwszej nocy. Podrzucam mu dyskretnie moich kilka domysłów na ten temat – niech sobie podryfują, wystarczy. „Świetnie. Jeżeli nie chcesz brać pod uwagę mojego stanu zdrowia, porozmawiamy o tym przed sądem”. José nie boi się niczego poza wymiarem sprawiedliwości. Z tego też powodu nigdy nie myślał na poważnie o zwróceniu się do sądu: i nie bez powodu, miałby za dużo do stracenia. Korzystam z okazji: „Sąd, doskonale. Czekałam tylko na sygnał od ciebie”. „Więc będzie wojna, brudna wojna, obrzydliwa wojna, możesz mi wierzyć”. „To fakt, właśnie z tego powodu sąd”. „Wystarczy, że sędzia przeczyta twoje książki, żeby cofnąć ci prawa do opieki”. „Przy okazji i ty poznałbyś ich treść”. „Znam je wystarczająco dobrze, żeby być

spokojnym”. „No więc doskonale, zrobmy tak, przynajmniej twoje zapiski go nie przerażą, bo co mu takiego dostarczysz, swój osobisty dziennik?”

Chwył poniżej pasa, mam tego świadomość. José zresztą tym razem nic nie odpowiada. Pójść na ten lunch, ignorując stopień trzęsienia ziemi? Podejrzewam, że on odpowie mi, kiedy będę w drodze. Nie potrafi się powstrzymać. Musi mieć ostatnie słowo. Czekam, wciąż nie wiem, czy dzieci nie zostaną pozostawione same sobie. Czuję się zmuszona do wysłania SMS-a: „Poradzisz sobie z dziećmi?”. Bez odzewu. Czy będę musiała się wymówić, żeby mieć gwarancję, że są w dobrych rękach? Albo skrócić moje spotkanie, gdyby José rzeczywiście przyprowadził je do mnie, co leży w granicach prawdopodobieństwa?

Docieram do wydawnictwa pełna niepokoju i zalekniona. Nagrywam Aïchy wiadomość: „Czy byłabyś ewentualnie dostępna koło trzynastej trzydzieści? Możliwe, że José podrzuci dzieci...”. Ale Aïcha rzeczywiście zdaje się mieć inne rzeczy do roboty. Przedstawiam się na recepcji, z telefonem w ręce. Kaza mi poczekać pięć minut, zanim dostanę zielone światło. Wchodzę po schodach, które prowadzą do królewskiego biura. Telefon wibruje akurat wtedy, gdy Émile Berthot otwiera drzwi, żeby uścisnąć mi dłoń. Zapominam o priorytetach i spoglądam na SMS-a, który wyświetla się, zanim jeszcze podam moją prawą lodowatą dłoń na przywitanie. „Nie ma problemu, wracam do domu, mogę popilnować dzieci”. Bicie mojego serca się uspokaja, to Aïcha, czuła, odważna, cudowna. Przepraszam na chwilę Émile’a Berthot i piszę do José: „Możesz przywieźć je, kiedy chcesz. Zadzwoń do Aïchy, ona je przejmie”. Wiem jednak, że niczego takiego nie zrobi. (Wiem też, że jego matka przyjechała na miesiąc do Paryża, że jego wizyta u lekarza była blefem i że przez pewien czas pewnie będzie mi wyrzucać, że musiał ją odwołać – aż do kolejnego szantażu). Tak czy inaczej, w pewnym sensie mam pewność, że moje dzieci nie trafią do miejskiej dżungli czy tego, co nazywamy naturą. Wracam do Émile’a Berthot, odrobinę zaskoczonego moją postawą. „Przepraszam, mam do załatwienia pewien problem z dziećmi, to znaczy z ich ojcem”. Niezłe jak na wprowadzenie w temat, ja, która chciałam wystąpić pod postacią prostej-zwykłej-normalnej-bez problemów, w celu wymazania podtekstu mojego pierwszego SMS-a. „Jeżeli to coś ważnego, to nic nie szkodzi, proszę sobie poświęcić pięć minut”. „Nie nie, wszystko załatwione, nagła sytuacja w ostatniej chwili”. „No to zapraszam, płaszcz może pani powiesić tutaj”. Wskazuje mi wieszak, podczas gdy ja byłam

o dwa kroki od rzucenia go na kanapę (czyżby Émile Berthot był pedantem?). „Proszę usiąść, zrobiłem kilka notatek”. Moja koncentracja oscyluje w granicach zera, lepsze to niż minus trzy (jestem zdolna do osiągnięcia szczytów w skali ujemnej). Zasiadamy nad pokreślonym tekstem, popodkreślanym, rozpracowanym za pomocą małego, zwartego i wyraźnego pisma. Émile Berthot naprawdę przeczytał mój tekst, no, chyba że naniósł na niego kilka krzaczków, żebym tylko tak myślała. Ale po pierwszym szczytaniu dociera do mnie, że nie ma tu żadnego oszustwa: Émile Berthot potrafi czytać, i potrafi pracować, i zabrał się do mojego tekstu na całego, i przeredagował go. Podnoszę na niego oczy, prawie zdziwiona, że może mnie czegoś nauczyć. Wprawia go to w niepokój: „Jeżeli się pani nie zgadza, to pani jest autorem, ma pani ostatnie słowo!”. „Nie, tylko... Nie, ależ ja się całkowicie zgadzam! Ma pan tu rację, to nie ulega wątpliwości”. Ponosi mnie, jestem gotowa zdradzić własną prozę – w rzeczywistości wcale jej nie zdradzam: on RZECZYWIŚCIE ma rację.

Nikommu nie potrafiłabym wytłumaczyć, dlaczego to raczej „ten mały koala złośliwy” niż „ten złośliwy koala” wzburza mnie do głębi, ale Émile Bertoht i ja rozumiemy się bez słów. Rozumiemy się tak dobrze, że nasz wspólny lunch wydaje się doskonale niepotrzebny, tyle tylko, że mój brzuch zaczyna burczeć, co on, chociaż udaje, że tego nie zauważa, najwyraźniej słyszy, bo pyta mnie, czy jestem głodna. „Mam stolik u dobrego Włocha dwieście metrów stąd”. Skąd wiedział, że antipasti w towarzystwie burraty to moje ulubione przystawki? Jaki jest związek między jakimś Włochem i kolejnością słów? Związek, który jemu wydaje się jasny, związek między nami, który wydaje nam się jasny. Wychodzimy z kokonu, żeby zmierzyć się z szerokim światem, zimnem, deszczem, błyskawicą jeśli będzie trzeba, co nas to obchodzi. Zanurzamy się w przegrzanej restauracji, w której czuć czosnkiem i oliwą. Émile Berthot zamawia dla nas obojga zestaw antipasti i serów oraz małe białe domowe wino musujące. Milkniemy. Nie mam odwagi podnieść na niego wzroku, tymczasem on pomyśli sobie, że wciąż jeszcze spoglądam na mój telefon, podczas gdy ja o nim zapomniałam, chyba że robię tak tylko po to, żeby Émile sobie pomyślał, że nie zapomniałam o telefonie, co rzeczywiście jest pewnym sposobem, żeby o tym telefonie nie zapomnieć. „Wszystko w porządku? Chodzi o problem z pani dziećmi?” „Problemem moich dzieci jest ich ojciec”. Émile Berthot czeka. Nie korzystam z otwarcia, on nie jest moim psychoanalitykiem ani najlepszą przyjaciółką, tylko nowym redaktorem serii. „Ich ojciec jest

skomplikowany, wszechobecny, hipochondryczny i kiepski w roli ojca”, moje dobre postanowienia rozsypują się w drobny mak – również w kwestii alkoholu, którego obiecałam sobie nie pić w południe. Wypijam pierwszy kieliszek do dna. I wracam do formy. „Ale to niezbyt interesujące. Moje życie nie jest zbyt interesujące”. „Zależy dla kogo” – ucina krótko. Patrząc na niego z pytaniem w oczach, do kogo nawiązuje: dla kogo właściwie miałyby to być interesujące? Nikogo takiego nie widzę. Po chwili jakieś światło zaczyna rozjaśniać mój umysł, wygląda na to, że jego właśnie interesuje moje życie, jego – Émile’a Berthot, nowego redaktora mojej serii. Wtedy zdaję sobie sprawę, że nic o nim nie wiem, że nawet nie przyszło mi do głowy, by o coś go zapytać, że jestem tak zajęta samą sobą i moimi mankamentami, że zapominam o d r u g i m człowieku. „A pan? Pana życie? Nic o nim nie wiem...” „Och, nic specjalnego”. „???” „Rozwód dwa lata temu, nie mam dzieci, mam śliczne mieszkanie, do którego przychodzą depresyjni autorzy po przejściach, nie uprawiam sportu”. Jedną z tych informacji się liczy: „Depresyjni autorzy? Tylko oni cieszą się takim przywilejem?”. „Nie” – podchwytuje z uśmiechem, „Ale ostatecznie to właśnie oni tam trafiają”. „Robi pan jakąś selekcję? Jakiś rodzaj testu wielokrotnego wyboru na depresję? Bo na takiej podstawie, to mógłby pan zameldować masę ludzi”. „Mimo wszystko mam kilka kryteriów”. „Kilka prób samobójczych? Liczba leków antylekowych?” „Stopień sympatii. Nie wpuszczam do siebie byle kogo. Oraz stopień talentu”. „Rozumiem. To taki rodzaj kliniki dla geniuszy? Trochę to chyba elitarystyczne?” „Powiedzmy, że tak to u mnie jest. I że pasuje mi otaczanie się depresyjnymi ludźmi, jeżeli tylko ich cenię”. „Innymi słowy, jeśli przyjdę pewnego dnia pod drzwi wejściowe, mogłabym się oceniać jako wystarczająco zdeprymowaną i być może również trochę utalentowaną, żeby mieć prawo do noclegu?” „Pani to co innego. W depresji czy nie, nie byłoby to kryterium selekcji, obiecuję”. „Więc co by nim było? Moja proza?” – pytam powątpiewającym głosem. „Też nie, mimo że ją doceniam, już pani o tym mówiłam”. Nie śmiem kontynuować, bo szczerze mówiąc, nie rozumiem. Powiedzmy sobie raczej, że tracę pomysły na prowadzenie tej rozmowy. „To, że jest pani u mnie mile widziana, wynika z powodu całkiem niezwykłego, wręcz anormalnego, który mnie samego niepokoi”. „Jakieś nowe schorzenie?” „Jeżeli uzna pani, że pożądanie nim jest, to tak”. Słowo padło. Nagle wszyscy wyzwalają się z zahamowań. Chciałabym chwycić za widelec i nóż, żeby rozszarpać sobie skórę na głowie na kawałki. Wszystko mnie swędzi,

biodra, kostki, palce u stóp i plecy. Ale niemożliwe, żebym tam sięgnęła. Tak więc naśladuję krowy, ocierając się o siedzenie, żeby uspokoić to nagłe swędzenie. Émile Berthot się uśmiecha. Powinnam coś odpowiedzieć. „Rzeczywiście, to rodzaj schorzenia”. „Które może się przerodzić w poważną chorobę?” „A jeżeli się okaże, że to nie ten przypadek, zawsze może mnie pan oddelegować do depresyjnych, mój lekarz wystawi panu zaświadczenie”. „Nie potrzebuję gwarancji, nie widzę, jak mógłbym wątpić w swoje własne pożądanie”. „Ach tak, nie widzi pan? Ja mogłabym podsunąć panu kilka powodów”. „Gdyby mogła pani nie podawać ich tym razem”. „Ale ja nie potrafię inaczej działać”. „W takim razie proszę mi zaufać”. A kiedy wygłasza z pewnością siebie te ostatnie słowa, widzę, jak jego twarz ustępuje tej należącej do Kaa, węża z *Księgi dżungli*, i słyszę, jak powtarza w kółko: „Zaufać”, co od razu sprawia, że postanawiam mu ulec, porzucając moje opory – wężowi Kaa nie sposób się oprzeć. Mniejsza o ciąg dalszy tej historii, o ile Mowgli woli wrócić do istot ludzkich, o tyle ja stawiam na węże.

Émile Berthot płaci rachunek, podaje mi płaszcz i bierze pod ramię. Drzę, jest mi zimno, ciepło, moje ciało buntuje się przeciwko mojej nieśmiałości, ale nie daję rady wymówić ani słowa. Moja komórka tkwi zapomniana w kieszeni, nawet nie rozumiem już siły, z jaką przyciąga uwagę. Po kilku krokach, w mało uczęszczanej uliczce, Émile Berthot staje, odwraca się do mnie i patrzy na mnie z czułością w oczach, co rozmiękcza wszystkie moje mięśnie. Zbliża swoją twarz do mojej i to ja go całuję. Jestem już tylko ustami, wargami, językiem, pożeramy się, jak wygłodniali po zbyt długiej abstynencji – z mojej strony prawdziwej, o jego stronie nie wiem nic, ale pocałunku nie da się oszukać. Łapiemy oddech, ale tylko po to, żeby ponownie zacząć się pochłaniać, wzajemna penetracja, którą mój profesor z uniwerku nazwałby metonimią. Całe moje ciało jest teraz w moich ustach, rozpuszczam się, pożądanie przegania wszystkie strachy, wątpliwości, wstydlive epizody, nie ma już między nami nic więcej poza chęcią połączenia się i posiadania. Tymczasem stoimy na ulicy, miejscy rozbitkowie, bezdomni kochankowie. Szczęśliwi ludzie. Émile Berthot patrzy na zegarek: „Za pół godziny mam spotkanie w biurze. Mogę się chwilę spóźnić, chodź”. I zabiera mnie do najbliższego hotelu, bierze pokój, prowadzi mnie na górę. W windzie patrzymy po sobie, milcząco, nagle spoważniali, spięci w obliczu cudownie uwolnionej mocy. Kiedy otwiera drzwi od pokoju, ja mimo wszystko się waham. Strach przeważa nad

pożądaniem, patrzę na siebie w tym anonimowym miejscu, siebie z mężczyzną, którego ledwo znam, któremu oddam ciało, nie podpisawszy umowy, wpływowym mężczyzną, który jest być może stałym bywalcem tego hoteliku i koneserem przelotnych przygód, seryjnym mordercą, sadystą, seksoholikiem. Tak, ale ten seksoholik mi się podoba: jego głos, zapach, te oczy labradora. Nie jest ładny, ale to kwestia cielesnego pożądania.

„Wejdz” – mówi do mnie spokojnie Émile Berthot. Poddaję się. Ale wkradają się nieświadomości, znów jestem niezdarna, moim ruchom brakuje ogłady, którą miały jeszcze przed chwilą. On chwyta mnie za rękę, siadamy na łóżku: „Boisz się?”. Émile Berthot zna się na rzeczy. Kiwam głową. Głaszczę mnie po włosach, potem po twarzy, którą bierze w dłonie, i tym razem całuje mnie o wiele delikatniej. „Nie musimy nic robić”, ale kiedy to mówi, moje opory znów znikają. Nie musimy nic robić, ale dlaczego by nie, co mam do stracenia, po co sprzeciwiać się oczywistości chwili? Po co przywoływać w tej właśnie chwili José, Aïchę, dzisiejszą kolację i zmywarkę? Zbieram się w sobie, żeby odgonić tych intruzów, teraz to ja z kolei kładę dłoń na jego zarośniętym torsie. Patrzy, jak to robię, nieruchomy. Rozpinam jeden po drugim guziki jego koszuli, postanowiłam stać się znów panią swojego życia. Pozwala mi przejąć kontrolę, opieram głowę o jego klatkę piersiową, potem o brzuch, wdycham go. Teraz to on rozbiera mnie powoli i kładzie się obok, niesamowicie delikatnie. Nie mogło mu umknąć moje drżenie; a jednak, kiedy jesteśmy już oboje nadzy, jedno obok drugiego, gwałtowne pożądanie z powrotem przejmuje kontrolę. Pożeramy się, przyklejamy do siebie, penetrujemy. Padają słowa o miłości, te, których nie wymawiałam od okresu dojrzewania, słowa towarzyszące miłości, te, które pozostają tłem, kiedy nieobecne jest pożądanie, zastępowane przez miłosną przyjaźń, inne uczucie, to, które czułam do José, i które nigdy nie mogło dojść do głosu, zakorzeniając frustrację, ożywiając kastrację. Na naszą więź składało się poczucie winy, bólu i ustaleń, sadyzm, masochizm, wszystko to, co wiąże, nasza więź była zależnością, w której na pożądanie nie było miejsca. Ale tym razem pożądanie jest na miejscu, potężne i zabójcze, w tym hotelowym pokoju, z mężczyzną, o którym nie wiem jeszcze, czy cenię jego wnętrze, którego jednak uznało moje ciało. Jest tutaj i przypomina mi, że żyję. Jest tutaj i budzi mnie ze zbyt długiego letargu, w którym zmywarka nabiera rozmiaru tragedii na równi z SMS-em, płaszczem BA&SH, terminem

wakacji, debetem, wizytą u fryzjera. Jest tutaj i wyciąga mnie z pustki mimo wszystko zalanej szczegółami i lękami, jest tutaj i przywraca mi moją kobiecą formę, już nie matki ani dziewczyny, ale k o b i e t y. Jest tutaj i uwalnia mnie ode mnie samej. Po moich policzkach płyną łzy, Émile Berthot zlizuje je jak kotek, całuje moje oczy, nos, wargi na górze i na dole, nasze ciała zwilża płyn, na który składa się pot, ślina, sperma, płyn życia.

Trzeba jednak wstać, rozdzielić się, wracać każde do siebie, z powrotem do swoich mebli, komputerów, rachunków, harmonogramów i samotnych poduszek. Czekać. Aż to drugie zadzwoni. Aż to drugie da znak życia. Aż to drugie się uwolni. I drażnić przestrzeń poza ściśle rozplanowanym czasem, poza przyzwyczajeniami, poza już ustanowionym życiem, zajęтым przez innych. Mam czas nad tym rozmyślać, podczas gdy on bierze prysznic. Dopóki jestem w tym pokoju, czuję się chroniona, ale potem? Nie ufam w moją samotność. Émile bierze mnie za rękę na progu drzwi. Całuje ją. Zostawi mnie teraz, obiecując, że kiedyś zadzwoni? Porzuci, pozostawi samą, ustępując swojej centralnej pozycji na rzecz mojego telefonu? Tymczasem prowadzi mnie do wyjścia: „Nie mieliśmy czasu, żeby popracować. Znajdź w tygodniu chwilę, żeby zajrzeć znów do biura, jutro albo pojutrze. Nawet wieczorem”. Potwierdzam skinieniem głowy, niezdolna do wypowiedzenia choćby słowa, ogarnięta lękiem przed stratą. Znow bierze moją twarz w dłonie: „Dziękuję, choć zostawienie ciebie wydaje się niemożliwe”. Jego słowa, jego kojące słowa, uśmiecham się nieśmiało i wracam do metra, przemieniona, przekonana, że inni to widzą, że seks jest obecny w każdym rozpromienionym rysie mojej twarzy. Faktem jest, że przyglądają mi się, jakbym była piękna.

Wracam do domu poruszona. Rozpakowuję moje rzeczy. Idę zapukać do Aïchy, żeby zobaczyć, czy dzieci już wróciły. Ale ona mówi, że nie miała żadnych wiadomości. Zapewne José przełożył swoją tomografię i odebrał je o umówionej porze. Kręcę się w kółko po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć swojego miejsca, szczęśliwa, potem zdesperowana, stęskniona, tak szybko. Moja komórka wibruje, to SMS. „Cudownie było spędzić z tobą popołudnie, zjedźmy razem kolację jutro wieczorem”. Serce mi się rwie, ale... nie mogę jutro wieczorem! Mam dzieci. „Jutro wieczorem nie dam rady, mogę w następnym tygodniu, daj znać”. „Wszystkie wieczory mam zajęte, ale przed i po, w środku nocy albo dnia”. Wysyłamy sobie salwę SMS-ów w nieustannym dialogu, bez treści, ale z tą swobodną radością

frazy, które jest przedłużeniem ciała, dopóki kroki na schodach nie zapowiedzą nadejścia José z moimi synami.

Z niejaką obawą – wiem, że będę musiała uśpić moje rozpalenie, powrócić do przyzwyczajzeń, gestów wykonywanych codziennie – otwieram drzwi. José ma rozgniewaną minę. Popycha dzieci do mieszkania i zbiera się do wyjścia bez słowa, ale patrzy na mnie i widzi. Widzi, że coś się zmieniło, że czyha jakieś niebezpieczeństwo, że naostrzony nóż właśnie przeciął nić. Dociera to do niego, jego rysy się ściągają, oczy wypełniają się nową nienawiścią. „Rozmówiłem się z twoją matką w kwestii letnich wakacji. Zgodziła się towarzyszyć dzieciom w drodze do Porto i zostać tam kilka dni, dzięki temu spędzą tam cały miesiąc”. José przekracza swoje prawa. Wie o tym, że dzieci są zaproszone przez swoich najlepszych przyjaciół na tydzień nad Atlantykiem i cieszą się na to. „To nie z moją matką powinieneś to uzgadniać, tylko ze mną. Wszystko jest już zorganizowane, nie ma powodu nic zmieniać”. „Och, ależ oczywiście, że są powody. Powód jest taki, że chcę je widywać dokładnie tyle samo dni co ty i w nosie mam ich kolegów. Jak chcesz to zorganizować podczas swojej opieki, to twój problem! Ja się zajmuję swoimi dziećmi, dla nich ważniejsze jest przebywanie z własnym ojcem niż z kolegami”. Gabriel próbuje: „Ale tata! Obiecaliśmy już Gaspardowi i Félixowi...”. „Nic a nic nie obiecaliśmy, to ja o tym decyduję”. „Czemu o tym mówisz, tu i teraz? To twoja nowa obsesja? Myślałam, że do tego czasu miałeś już umrzeć?”. „Bawi cię ironizowanie na ten temat? Mam ci pokazać wyniki?” „Nie, dziękuję. Ale jeżeli rzeczywiście są alarmujące, to być może nie jest zasadne, żebyś zajmował się dziećmi przez miesiąc, ani nawet w weekendy”. „Ach, to dopiero łatwe, podwójna wina! Nie tylko jestem chory, ale w dodatku nie mam prawa widywać swoich dzieci!” „Nikt ci tego nie zabrania, ale nie próbuj rozpieprzać im planów wakacyjnych”. „Rozpieprzać? Bo z ich ojcem to są rozpieprzone? Nie no, może spójrz na swój salon! Na kuchnię! To jest dopiero rozpieprzone! Twoje życie, jeden wielki pieprznik!” „O wakacjach możemy porozmawiać kiedy indziej, prawda? Nie mam specjalnie ochoty dyskutować z tobą w tej chwili”. „Nie, nie kiedy indziej. Trzeba załatwić bilety, z dnia na dzień są coraz droższe. Chyba że ty je opłacisz...” „Posłuchaj, wkurzasz mnie. Nic nie zmieniamy. A z moją matką sama porozmawiam”. „Och, oczywiście, opowiedz o tym swojej matce! Sama zobaczysz, co myśli o twoim superzorganizowaniu i o tym, jak wychowujesz dzieciaki”. „Tak się składa, że w nosie mam to, co ona myśli,

a teraz wychodź z mojego domu”. Zdecydowanie, z jakim wymawiam ostatnie słowa, jest nowe. José wydaje się tym zdziwiony, stawia się jeszcze trochę dla zasady, ale wykonuje dziwny manewr i ostatecznie zastosowuje się do mojej komendy.

Podczas gdy zapewniam dzieci o niezmiennianiu planów na nadchodzące wakacje, moja komórka nie przestaje wibrować: rozgniewane wiadomości od José przychodzą na zmianę z wiadomościami od Émile’a. Dzięki tym drugim pierwsze do mnie nie docierają, nawet jeżeli wywołują u mnie napięcie, które przeszkadza mi spać. Ale ta bezsenność chociaż raz nie jest nieprzyjemna. Odtwarzam sobie w kółko popołudnie spędzone z Émile’em Berthot. Moje ciało jest szczęśliwe, podczas gdy mój umysł się dusi, szarpany różnymi wiatrami. Wstaję, żeby popatrzeć na śpiące dzieci. Siadam po turecku między dwoma łózkami. Biorę *Harry’ego Pottera* leżącego obok łóżka Adriena i zaczynam czytać. Ale nie daję rady się skoncentrować. Gdyby dzieci wyjechały na miesiąc, miałabym czas na spotkania z Émile’em... Odganiem jednak czym prędzej tę myśl, wsłuchując się w regularny oddech śpiących chłopców. Idę do salonu, włączam komputer i piszę dalej moją nową książkę, oświetlona przez ekran i latarnie na ulicy La Santé.

DZIEŃ 9

Eksterminacja przedostatnich wrogów

Pada deszcz. Niebo wisi nisko, jakby chciało nam podarować uczciwy pretekst do schowania się w domu, czy wręcz w pokoju, czy nawet pod kołdrą, i oglądania filmów. Ale uczciwy pretekst zawsze posuwa się za daleko i przypomina mi o kolonii mutantów, które opanowały nasze głowy. Ja, która cieszyłam się z omijania ogrodów publicznych, zostaję zmuszona do wypowiedzenia wojny transgenicznym insektom, na które nie działa już żaden produkt, co podsuwa mi myśli, że laboratoria farmaceutyczne pracujące nad nowymi formułami eksterminacji (albo nad ich placebo) większe postępy robią raczej w badaniach nad mutacją genetyczną i przeprowadzaniu frankensteinowskich eksperymentów w celu odkrycia sekretu niezniszczalności. W pewien sposób to oni właśnie zbliżyli się najbardziej do formuły nieśmiertelności od czasu śmierci Boga. Wszawiks, najmarniejsza i najbardziej niewdzięczna z kuracji – na jego opakowaniu napisane jest, żeby przede wszystkim nie dotykać oczu ani ust. Tymczasem on nieubłagalnie ścieka z włosów na twarz, na ubrania, na palce i zostawia niezmywalne plamy, nakręcając tym samym hipochondrię matki, która ma do wyboru albo pogodzić się z życiem w towarzystwie wszy, albo z ryzykiem definitywnego oślepienia własnych dzieci.

Ale zdarzyło się w c z o r a j. Zdarzyło się w c z o r a j i postanawiam przerodzić czekającą nas drogę przez mękę w święto. Pierwsza inicjatywa polega na starannym wybraniu playlisty: to nie będzie trudne, po tylu zawirowaniach potrzebuję odnaleźć moje źródła. *Melody Nelson* wydaje mi się oczywistością. Dzieci znają słowa na pamięć i zaczynają śpiewać, to nasze credo, nasze *Ave Maria*, nasze *Ojciec nasz*. Emocje są namacalne, więc wydaje mi się, że nadszedł dobry moment na ogłoszenie im programu dnia. Padają dwa: „Nie!!!”, ale nie pozwalam im zbić się z tropu – inaczej ryzykuję, że opanuje mnie w c z o r a j i wrócę do łóżka ze słuchawkami na uszach. „Tak, tak, nałożymy balsam, potem trzy mycia szamponem i czesanie, tak czesanie, ale... ale... ale to będzie przed... *Zarafa!*” Ich „nie” zmienia się w mało przekonane „hmmm...”. „*Zarafa*, a potem... a potem...

Charlie i fabryka czekolady”. „No, ale to wtedy bez czesania”. „Nie, wszystko. Zrobimy wszystko: wypierzemy prześcieradła, poszewki od poduszek, ubrania, no życie po prostu”. To ostatnie słowo mi się wymknęło, dzieci patrzą na mnie trochę zaniepokojone. Wrzucam płytę do odtwarzacza: „*Elle avait de l’amour, pauvre Melody Nelson, ouais, elle en avait des tonnes...*”, mój głos nabiera wyrazu: „...*mais ses jours était comptés, quatorze automnes, et quinze étés*”^[3]. Biedna Melody. Moje dzieciaki skupiają się na ciągu dalszym, wiedzą, że padnie tam słowo „idiotka”, ich ulubiony moment przekraczania zasad, dopuszczalnego, bo uprawnia do niego Serge G., więc drzemy się razem: „*Oh! Ma Melody. Ma Melody Nelson, aimable petite conne*”^[4] – radość na ich buziach, potem te uśmieszki, oczy błyszczą im od mocy, jaką przez chwilę poczuli. Otwieram buteleczkę Wszawiksu. Adrien i Gabriel śpiewają chórem po łacinie: „*Tu étais la condition, sine qua non, de ma raison*”^[5], tańcząc niezdarnie. Spryskuję ich włosy tłustym i śmierdzącym płynem, krople spadają na podłogę, następnie rytmicznie masuję ich głowy. Kiedy kończy się piosenka, podchodzę do wieży hi-fi i zmieniam płytę na *Buffalo Bill*. Mam tłuste palce i podczas chórków atakuję swoje własne włosy. Po zakończeniu tego pierwszego etapu siedzimy sobie wszyscy pośrodku salonu, z nastroszonymi włosami, wciśniętymi pod plastikowe worki. „Poczekajcie, dzieciaki, zrobię nam zdjęcie!” Korzystam z okazji, żeby sprawdzić, czy nie czeka na mnie żadna wiadomość, ale nie. Szybko otrzepuję się z tego lekkiego zawodu i powracam do moich dzieci, mojego życia, moich bliskich, do tej ciepłej bańki, pewnej i spokojnej, którą chciałabym zachować szczelną podczas deszczowej soboty. Chcę wypalić ją na ekranie mojego iPhone’a, żeby nie zapomnieć, że ta chwila doskonałego spełnienia, miłości bez przeszkód, spokoju, miała miejsce.

Gabriel chce zobaczyć zdjęcie. Robię wyjątek i oddaję mu telefon, a on korzysta z tego, żeby porobić inne zdjęcia i przyprawić nam wąsy – to taka nowa aplikacja, którą ściągnęłam specjalnie dla nich. Drzę na widok mojego syna z tym od niedawna tak intymnym i palącym przedmiotem w rękach. Ale dzisiaj intymność to moje dzieci. Zdobywam się na refleksję, że lepiej będzie nie otrzymywać dziś wiadomości, które tylko zakłócałyby mój spokój. Moja myśl z nocy (cały miesiąc bez dzieci, miesiąc wolności, miesiąc ciała w ciało) wraca do mnie razem z falą wstydu. „To ich kocham” – mówię do siebie.

Obejmuję ich i gilgoczę, dyskretnie popychając w stronę łazienki, puszczam wodę z prysznica i energicznie szoruję ich małe głowy. Przyglądamy się armii trupów spadających w tym samym czasie co woda i płynących razem z nurtem aż do odpływu. Adrien usiłuje je policzyć, ale jest ich za dużo. Czujemy radość, widząc, jak topią się całymi rodzinami, całymi stadami – jak przegrany, pokonany tłum. W tle, pomimo podekscytowanych komentarzy moich chłopców, słyszę „Charlotte, Charlotte forever, à jamais dans mon coeur” i splukuję dalej, „...Pitié pour moi mon coeur, Charlotte, Charlotte forever, tu as gagné je pleure”^[6], czego nie widać, bo teraz sama weszłam pod prysznic eksmitować insekty, które przez długie tygodnie dotrzymywały mi towarzystwa, a być może wyemigrowały też na inne głowy – o proszę, na przykład na głowę Émile’a Berthot? I zamiast zalać się łzami, zaczynam się śmiać, nie mogę się już dłużej powstrzymać, ten pakt krwi przeciwko niemu, przekazany incognito przez matkę-nosicielkę. „Mamo, dlaczego się śmiejesz?”, „Sama nie wiem”, po czym ich dwa perliste śmiechy ostatecznie dołączają do mojego. Podłoga w łazience jest zachlapana, ale co to komu przeszkadza? Wielki ręcznik przykrywa dwa małe ciała, które wycieram, zanim posadzę chłopców na kanapie przed obiecanyymi filmami. Kiedy pojawia się żyrafa, zaczynam delikatnie czesać ich brązowe i grube włosy, bez protestów z ich strony – mogłabym robić to godzinami, czesać moje dzieci, przyglądać się korzeniom ich włosów, głaskać loki, wciąż i wciąż, kiedy pada deszcz, a ja jestem mu wdzięczna za to, że pada.

Zasypiają w połowie drugiego filmu. Kładę się obok nich i zamykam oczy, potem otwieram je, żeby przyjrzeć się chłopcom, zamykam ponownie i zasypiam. Kiedy się budzę, nie wiem już, która jest godzina ani jaki dzień i dlaczego czuć od nas ten dziwny zapach detergentów. Wszystko wraca do mnie naraz: że nigdzie nie wyszliśmy, że nie popracowałam, że do niczego się nie zabraliśmy – ani do ćwiczeń fizycznych, ani do gier edukacyjnych, ani do czytania, ani nawet do pracy domowej... Chwytam za telefon z nieustanną nadzieją na znalezienie w nim wiadomości, dostrzegam zdjęcie, które zrobiliśmy sobie wczoraj wszyscy troje z plastikowymi workami na głowie, i nie potrafię powstrzymać fali wzruszenia. Do niczego się nie zabraliśmy. I to było wspaniałe.

DZIEŃ 10

Rodzinna kolacja

Delikatnie budzę dzieci przy dźwiękach *Joan Jett and the Blackhearts*. Delikatność jest tu pojęciem względnym. Niezdolna do siedzenia w domu ani dnia dłużej proponuję im spacer do parku, gdzie na pewno spotkamy ich kumpli ze szkoły. Entuzjazm chłopców budzi się wolniej niż oni sami, ale zgadzają się, kiwając głowami, jakby nie było nic normalniejszego od tego, że chcę im sprawić przyjemność. Na widok moich trzech swetrów dzieci pytają zdziwione: „Nie jest chyba tak zimno, mam?” „Chyba coś mnie bierze”, mówię im zgodnie z prawdą. Członki mam zmordowane, mózg mi się gotuje, a dziś wieczór mamy świętować urodziny mojego ojca.

Staram się odsuwać od siebie ten tak bliski termin: jeżeli nie chcę zepsuć całego dnia, który mnie przedtem czeka, muszę zdobyć się na wysiłek chwilowej amnezji. Z lekkim sercem puszczam ich przy bramie do parku Montsouris i podniecam się, patrząc na ich akrobacje na pajęczej sieci z lin, zastanawiając się przy tym, jak właściwie nazywa się to coś. Na pewno nie „pająk”, więc jak? Jakie słowa wklepać w Google, żeby otrzymać odpowiedź? „Pająk dla dzieci”? „Pająk linowy”? Obawiam się, że termin „pająk” jest tu mylący, biorąc pod uwagę, że wcale nie przypomina to tak bardzo pajaka. To pytanie, które prowokuje kolejne, odrobinę mąci mój dobry humor, więc odwracam się w poszukiwaniu jakiejś matki (która okazuje się tatą, jak najbardziej stuprocentowym), i pytam, czy wie może, jak nazywa się ten rodzaj przyrządu, na który wspinają się dzieci. „Który?” – pada w odpowiedzi. Rzeczywiście, można by tak określić różne urządzenia: z braku odpowiednich słów muszę mu go pokazać, co tylko zwiększa moją bezsilność. Tymczasem zjeżdżalnia i dwie huśtawki przysłaniają nam widok. Tak więc staram się mu opisać: widzi pan, ten pająk z linek. On szuka go wzrokiem, z czego ja z kolei korzystam, żeby przyjrzeć się mężczyźnie z profilu. Co mi się teraz stało, że jednego po drugim spotykam mężczyzn, na których czekałam? „Ach tak, no nie wiem, z pewnością to pająk z linek”. Porusza mnie ta odpowiedź, która normalnie by mnie rozgniewała. „Muszę to sprawdzić”. Uśmiecha się, w prawym

policzku robi mu się dołek. W ogóle nie uznaję tego za pobłażliwy uśmiech, taka jestem uniesiona swoim nowym życiem oraz obudzonym we mnie i czatującym erotyzmem. Nie mam odwagi zapytać go, jak się nazywa, ale to on zaczyna. „Mieszka pani w okolicy?” „Tak, dwa kroki stąd, a pan?” „Ja też, ale nigdy pani nie widziałem”. „Przecież przychodzę regularnie”. (Co tak między nami nie oznacza wcale tego samego co „często”; można przychodzić regularnie raz na rok). „Widocznie nie w te same dni”. „Jaki jest pana dzień?” „Niedziela, raz na dwa tygodnie”. Domyślam się, że jest po separacji, zajmuje się dziećmi co drugi weekend i być może jeszcze jeden dzień w tygodniu, ale chociaż jest wolnym mężczyzną, pozostaje dobrym ojcem znoszącym chodzenie do parku. „Więc nie mamy tych samych weekendów, bo ja też mam jeden na dwa tygodnie”. „Co oznacza, że dziś jest wyjątek?” Jego błyskotliwość mnie intryguje: „Nie, ten „co drugi weekend” nie występuje zbyt regularnie”. Przybiega do niego córka, prosi, żeby na nią patrzył. „Ależ patrzę na ciebie, kochanie”. „Kto to?” Dziękuję w głębi ducha dziewczynce za to pytanie, którego jej ojciec nie miał jeszcze odwagi zadać. „Jakaś mama, tak jak ja! To znaczy jak ja jestem twoim tatą...”, po czym odwraca się do mnie – „Gdzie są pani dzieci?”, co nie daje mi czasu na reakcję, chociaż o dziwo, to zmieszanie powoduje, że wypadam z rytmu. „O tam, na pająku linowym”, co wywołuje w nas drugi zsynchronizowany uśmiech i tworzy niepodważalny początek bliskości. Teraz to moi chłopcy przybiegają. Są głodni. Nie chcę zniszczyć tego momentu łaski ani przedłużyć go w nieskończoność, bo jestem dogłębnie przekonana, że chwile łaski i nieskończoność nie idą ze sobą w parze, wstaję i podaję mu rękę. „No to do zobaczenia, jestem Joséphine”. „Maxime – odpowiada mi z uśmiechem. – Do następnego!” Po czym kierujemy się w stronę budki z goframi. Odwracam się, żeby zobaczyć, czy na mnie patrzy, ale widzę tylko jego plecy. Nieważne, i tak podnosi mi się poziom szczęścia. Wracając, zastanawiam się jednak, dlaczego nie zaproponowałam mu, żeby zjedli razem z nami gofry. Na pewno by się zgodził, co innego ma do roboty w niedzielę rano ze swoją córką? Mała musi być w wieku Gabriela, zaprzyjaźniliby się, zaszlibyśmy wszyscy razem do nas i zjedli lunch na szybko, wymienilibyśmy się adresami mailowymi, numerami komórek i porozumiewawczymi spojrzeniami. Co mnie powstrzymuje? Podczas gdy dzieci rozkładają się na kanapie i grają na Wii (z którą się pogodziłam w tym tygodniu), robię rachunek sumienia

i przyznaję, odrobinę zmieszana, że miejsce zostało zajęte, i to na dobre. Nieznajomy z parku zjawił się o tydzień za późno.

Kończę przed Wii razem z dziećmi, gramy nieokreśloną partię tenisa. Naprawdę czuję się po tym lepiej. Potrzebowaliśmy odskoczni od tego, co nas czeka wieczorem. Tyle że pora zacząć seans ubierania się. Moja matka nienawidzi, kiedy dzieci są „niechlujnie ubrane”, jak mi to za każdym razem wyrzuca. Obdarowuje ich koszmarnymi ubraniami, których one nigdy nie zakładają poza wieczorami, kiedy idziemy do rodziców na kolację. Przynajmniej nie muszą ich prać ani prasować, są całkiem jak nowe. Ale ona nic nie wie o czasie, jaki trzeba spędzić na perswazji, pieszczotach, dyskusji, kompromisie, które kończą się na krzyku zajmującym miejsce negocjacji. Nic też nie wie o tym, ile ostatecznie kosztuje mnie cała ta operacja – po pięć euro na głowę, żeby zgodzili się przebrać. Nie obliczam tego, ale jest bardzo możliwe, że dziesięcina, którą pobierają w zamian za ponoszenie bezgranicznego ryzyka, że wpadną na swoich kolegów, jest równa cenie ślicznych dżinsów i swetrów La Redoute, które mogłabym im kupić przez Internet, a chłopcy byłiby przeschęczeni. Ich pieniądze idą na Pokemony, co jest wątpliwą inwestycją, ale tutaj nie mam już prawa głosu: to takie mamine kieszonkowe, robi się z nim, co się chce. Przyznaję, ta stawka jest czasem podbijana, kiedy z braku argumentów wyciągam portmonetkę, żeby skończyli swoje dyktando. Równoważę moje dowody słabości wielkimi wykładami o korupcji. Pocięszam się, mówiąc sobie, że w ten sposób uczą się życiowych strategii i oddzielają teorię od praktyki, czego żadne dziecko w ich wieku nawet nie jest w stanie zrozumieć. No a poza tym: phi! Mój autorytet ma swoje granice i już.

Batalia toczy się zgodnie ze zwyczajem, ale dziś oszczędziłam dziesięć euro – dobre i to, biorąc pod uwagę moją zmywarę. W końcu ten wieczór jest wyjątkowy, możecie chyba zrobić to dla dziadka w prezencie! Argument jest chybiony, bo mój ojciec ma kompletnie w nosie, jak ubierają się jego wnuki. Niemniej jednak skutki uboczne w postaci wyrzutów mojej matki zostaną im w ten sposób oszczędzone – usłyszę je w kilku lapidarnych zdaniach, wymruczanych niby to tylko dla niej samej, ale padających jedynie w pobliżu nastawionego ucha, przypadkowo akurat mojego. Wprawi mnie to w stan odczuwalnego rozdrażnienia, które zasmuca mojego ojca. Męczy go męką tak starą, że ostatecznie stała się ona częścią niego samego. Nigdy jednak nie pomyślał o tym, żeby ją

zakończyć, zażądać jasno i wyraźnie końca złośliwości, uderzyć pięścią w stół i, mówiąc wyraźnie, raz na zawsze wygarnąć mojej matce całą prawdę o niej, w trzech zdaniach (można by w wielu więcej, ale z kolei nie wymagajmy, żeby się tak rozwijał). Dać w ten sposób usłyszeć swój głos, głos ojca, silnego, rozsądnego mężczyzny, reprezentującego autorytet, prawo, mędrca szanowanego przez wszystkich. Nie, mój ojciec uciekł w milczenie, odrzucając mądrość, szacunek i rozsądek, pozostawił wolne pole arbitralnemu i wszechmocnemu autorytaryzmowi mojej matki.

Ja sama ubieram się starannie, ale bez ostentacji, natomiast ta prostota jest adresowana raczej do mojego brata, żeby zasygnalizować mu, że panuje bieda i że ten płaszcz BA&SH, który ma być moim wkładem we wspólny prezent, moją ofiarą na ołtarz, moją żałobą, zostanie przez niego skradziony w biały dzień. On nie będzie miał co do tego żadnych skrupułów, wiem o tym, ale nigdy nie zaszkodzi spróbować wywołania w nim poczucia winy.

Wychodzimy wszyscy troje, trzymając się za ręce. Chłopcy czują mój niepokój i przekazują mi milcząco swoje wsparcie. Mam ochotę ich uściskać, pożreć ich, płakać z wdzięczności, ale dwa przesadne pokazy mojej miłości w przeciągu dwóch dni zaniepokoiłyby ich bardziej niż cokolwiek innego, więc się wstrzymuję. Czekamy na autobus co najmniej dziesięć minut, czego nie znoszę, wolę iść na piechotę niż być zależną od transportu publicznego, ale Gabriela piją buty, a Adrien gra na mojej komórce w jakąś grę, która wydaje się wymagać pozycji siedzącej, a przynajmniej nieruchomej. Otwieram książkę pochodzącą z tej samej kolekcji co moje dzieła i czytam z Gabrielem, przytulonym do mnie, podczas gdy przystanek autobusowy stopniowo się zapełnia. Śmiejemy się razem, ale czy na pewno z tych samych rzeczy? Pytam, co go śmieszy, a on mi tłumaczy: chodziło dokładnie o tę samą rzecz, która mnie rozśmieszyła. Milcząco podziwiam tak przedwczesne poczucie humoru mojego syna. Adrien pyta się, co nas tak bawi, tłumaczmy mu tę samą historię, on też zaczyna się śmiać. Autobus w końcu nadjeżdża, ściskamy się znów wszyscy troje, trzymając się metalowej barierki. Chwila spokoju przed rodzinnym piekłem. Chociaż kto wie, może ten posiłek będzie radosny. A jeżeli nie, to mniejsza z tym. O dwudziestej trzeciej będziemy w łózkach.

Moi rodzice mieszkają w XII dzielnicy, daleko od centrum i z kiepskim dojazdem, przynajmniej z perspektywy mojego domu. Żeby jak najmniej się przesiadać, musimy się przemieszczać wewnętrzną obwodnicą, zakorkowaną przez budowę linii tramwajowej. Dlatego wyjechaliśmy

z zapasem czasu, by przyjechać punktualnie. Ale lubię ten graniczny pejzaż, ten pas, który odcina miasto od niepewnej strefy, to otwarcie na nie wiadomo co, które zamyka nie wiadomo co. Jest ciemno, Gabriel i ja obserwujemy, co dzieje się za oknami domów, czasem szepczemy do siebie: „Popatrz na tę kobietę tam, przygląda nam się zza swojego okna!”, „Widziałeś wystrój, obskurnie wyglądało to mieszkanie...”. Komentujemy, rozmarzamy się – mój syn ma taką samą manię podglądania co ja.

Wchodzimy na górę na piechotę, bo winda jest za mała na nas troje, a mamy instynkt stadny. Moja matka musiała nas usłyszeć, bo otwiera drzwi, zanim dotrzemy zasapani (wiem, że to ona, rozpoznaję jej ruchy po hałasie, jaki robi). Całuje swoich wnuków, ściskając ich za mocno, co mnie drażni – potem całuje mnie szybko w policzek, a tak naprawdę w powietrze, bo nic nie dociera do mojej skóry, ani jej usta, ani policzek, czuję tylko podmuch spowodowany przez ruch jej głowy i włosów z trwałą. To jedyny smak jej pocałunków, jaki znam, od kiedy byłam nastolatką. Wydaje mi się, że gdy byłam dzieckiem, matka bardziej się starała, nawet jeżeli tylko po to, by wywołać wrażenie, że traktuje mnie i brata na równi.

Ojciec ubrał się na galowo, jak zwykle mnie to wzrusza. Wiem, że ślepo podporządkował się rozkazom mojej matki, ale że nie jest aż tak bardzo zafrasowany, przynajmniej tego wieczoru, w dzień swoich siedemdziesiątych urodzin. Jest mały, skurczony, emerytura nie była dla niego synonimem rozwinięcia skrzydeł – nic dziwnego, w końcu spadło na niego wtedy obcowanie z matką jeden na jeden – ale zachowuje pewną elegancję w swojej chęci bycia eleganckim. Tego wieczoru podejmuje swoją rodzinę – dowód na życiowe powodzenie: dość niejednoznaczny, ale namacalny. Ojciec całuje mnie, on akurat bez żadnego wahania, a nawet przytula mnie do siebie. Z niejaką powściągliwością, to fakt, ale też z nieoszukiwaną energią. Zdejmujemy płaszcze, wieszamy je przy wejściu i przechodzimy do salonu, gdzie ojciec otwiera butelkę szampana, podczas gdy matka nalewa dzieciom sok owocowy. Podając akurat szklanek Adrienowi, mówi do mnie jakby od niechcenia: „Zaprosiłam José. Zadzwoił do nas przed chwilą z życzeniami urodzinowymi dla twojego ojca, uznałam, że tak będzie w porządku”. To jak policzek. Nieruchomieję w tej samej chwili, w której Adrien wybuchą śmiechem, uradowany, ale też w której Gabriel spogląda na mnie, zanim poczuje się upoważniony do wyrażenia radości. To, co we mnie widzi, najwyraźniej czyni go ostrożnym, bo nie wygłasza żadnego komentarza. Mój ojciec, zażenowany, wstaje

i idzie poszukać w kuchni migdałów i pistacji. Zajadam je kompulsywnie, zmrożona w środku, gotowa eksplodować. No więc czemu właściwie nie wybucham? Matka nie pyta mnie o zdanie ani się nie tłumaczy. To prosty fakt, z tej samej półki, co incydent z piekarzem, który kazał jej zapłacić dwa razy za ciasto i który nie chciał się wycofać – Bogu dzięki, moja matka użyła decydującego argumentu i wezwała szefa. Z polarnego chłodu, który opanował moje ciało, przechodzę do saharyjskiego gorąca, wstaję i idę do kuchni, strategicznego skrzyżowania w mieszkaniu, i wkładam twarz pod kran. Czekam, aż dołączy do mnie ojciec, bo wiem, że miałby na to chęć, ale on jak zwykle nie ma odwagi. Za to moja matka zdecydowanie powstrzymuje się, żeby do mnie zajrzeć. Jestem w pułapce, niemożliwe, żeby zrobić scenę przy dzieciach, szczęśliwych, że rodzina znów jest w komplecie. Niemożliwe jest też udawanie, że nic się nie stało. Tak bardzo chciałabym, żeby mój brat dotarł przed moim byłym mężem. Może do niego zadzwonić? Nie ma sensu, na pewno wyciszył telefon, żeby uniknąć jakiegokolwiek matczynego molestowania, mając już wcześniej zaplanowane s w o j e spóźnienie, które j a będę kryć.

Tym razem jednak nie daję rady wziąć wszystkiego na siebie i podchodzę prosto do matki: „Dlaczego to zrobiłaś?” – szepczę do niej z nadzieją, że dzieci mnie nie słyszą. „Co takiego?” – zgrywa idiotkę. „Nie powinnaś zapraszać José bez pytania mnie o zdanie”. „Jak na razie, to jesteśmy u mnie, a wasze zerwanie jest zbyt świeże, żeby odbierać dzieciom radość ze spotkania rodziny w komplecie”. „Nie ty będziesz o tym decydować. Gdyby nie chodziło o urodziny taty, to wyszłabym stąd w tej samej chwili”. „Ale to właśnie są urodziny taty i każdy musi zdobyć się na wysiłek”. Nienawidzę jej do niewyraźnego stopnia, czuję żądzę mordy. Gdybym nie spotkała niedawno mężczyzny, który przypomina mi, że moje życie ma szansę toczyć się dalej, nawet jeżeli przypomina mi też, że zwariowałam, zamknęłabym się jak zwykle. Ale ja odparowuję jej pełna nowej energii: „Po raz ostatni przychodzę z dziećmi, ostatni!” – obietnica, której ona nie bierze pod uwagę, wnioskując po jej wzruszeniu ramion. Dlatego powtarzam: „Ostatni raz, rozumiesz?! Będziesz mogła widywać się ze swoimi wnukami, a ja będę widywać się z moim ojcem, ale między nami dwiema koniec” (nawet jeżeli początku nigdy nie było – to zachowuję sobie dla siebie). „No już dobrze, może jednak nie rób mi tu sceny!” To prawda, mam wrażenie, że to hollywoodzki dialog między dwoma kochankami. Ale ten jeden jedyny raz matka nie popada w śmieszność: „Posłuchaj, mamó,

mam dosyć, nawet bardziej niż dosyć, tego, że wtrącasz się do mojego życia, nigdy się ze mną nie konsultując! Zepsujesz mi wieczór. Możesz na mnie liczyć w kwestii zepsucia twoich stosunków z połową twojego potomstwa. Jeżeli zaś chodzi o Pierre'a, to zaufaj mi: wytłumaczę mu, co o tym myślę, i przestanę go kryć, bo jeżeli ci się wydaje, że on będzie na czas, to się mylisz! Psychologowie dziecięcy nie pracują w niedziele częściej niż inni!”. Ten argument najwyraźniej ją dotknął. Waha się, ale zbiera w sobie. „Nie bądź śmieszna. Możesz chyba zrobić to dla swojego ojca”. „Ojcu to zwisa – zaczynam być wulgarna – ...a ty wkurzasz wszystkich od niepamiętnych czasów, więc zostanę dla niego, ale tylko tego wieczoru. Wiem, że nieoglądanie mnie nie będzie wielką stratą, no i dobrze, ulży ci na zawsze”. Matka jest trochę rozkojarzona przez gwałtowność mojego tonu, do której nie przywykła, być może nawet byłaby o dwa kroki od zmartwienia się, gdyby miała choć najmniejszą świadomość, że przesadziła. Mimo wszystko nie pokaja się – to już nie byłaby moja matka. Ojciec natomiast dobrze ocenił niecodzienność i natężenie mojego gniewu. Przeczeka to wszystko, zajmując się wnukami, co w zasadzie mnie uspokaja. Wracam do salonu, żeby zakończyć tę rozmowę, i siadam roztrzęsiona obok chłopców. Nie trzeba długo czekać na dźwięk ruszającej windy. Mam szósty zmysł do wyczuwania mojego byłego męża i nawet jeżeli w budynku jest osiem pięter razy cztery mieszkania na każdym, to wiem, że oto nadchodzi właśnie on: zdrajca, tchórz, który nie odpowiedział mojej matce – „Ależ nie ma mowy, Geneviève, dziękuję za to perwersyjne i wstrętne zaproszenie, ale nie wejdę w wasze rodzinne neurozy, a tym bardziej w twoje osobiste neurozy! Jesteś wielką pizdą i nawet jeżeli mam żal do twojej córki i z chęcią bym ją czymś wkurzył, to mam z nią dwóch synów i chociażby tylko dlatego ta propozycja jest czystym świństwem”. Nie, on na to nie wpadł, a jeżeli nawet na to wpadł, to wybrał odwrotną opcję z tych samych powodów, dokładnie tych samych, którymi kierowała się moja matka, zapraszając go.

José przybrał wyraz twarzy dobrze wychowanego, onieśmiałego sytuacją; takiego, co to nie chce przeszkadzać, ale robi dobry uczynek, żeby rodzina była w komplecie. Wyraz twarzy kogoś, kto bierze odpowiedzialność za swoje czyny, świadomy, że jego pozycja jest delikatna, ale zmysł rodzinny liczy się przede wszystkim. Twarz faceta, który dobrze się pilnuje, żeby na mnie nie patrzeć, dumny ze swojego chamstwa i tej ohydnej intrygi. Moje dzieci rzucają się na niego. On

odczuwa w tej chwili całym ciałem moją reakcję: nie potrzebuje podnosić na mnie wzroku, każdy z jego gestów jest przeznaczony dla mnie. Oto piękna ojcowska miłość wkracza na scenę. Piękna jest taka rodzina w komplecie: jej jedyni prawdziwi członkowie woleliby być gdzie indziej, a ci, którzy już nie są jej częścią, odstawiają maskaradę. Po tych uniesieniach José rzuca do mnie pospieszne „dobry wieczór”, odpowiadam mu przez zaciśnięte zęby, w obliczu moich dwóch chłopców, nagle ekstremalnie wyczulonych na sposób, w jaki potoczy się nasza wymiana zdań. Zawiodą się – nie pozostaje mi zbyt wiele innych środków wyrazu poza milczeniem. A radość chłopców z zobaczenia nas razem sprawia mi przykrość. Moja matka ogarnia ich zwycięskim spojrzeniem, jakby chciała mi powiedzieć: „Widzisz, miałam rację, postaraj się trochę, by sprawić przyjemność swoim synom, poświęć się ten jeden raz, ty, która nieustannie wszystko niszczysz, wszystko krytykujesz, skupiasz się tylko na sobie”. Znam tę mowę na pamięć, to była kołysanka mojego okresu dorastania. To ona ostatecznie mnie określiła, chociaż nigdy nie zrozumiałam, skąd się to wzięło, wydawało mi się, że jest dokładnie odwrotnie: moja wola współpracy, powstrzymywanie się od krytykowania, posłuszeństwo grzecznej dziewczynki, krótko mówiąc: spędziłam życie na próbach przypodobania się matce, ale bez wątpienia nie znalazłam na to sposobu. Dzisiaj postanawiam zastosować po raz pierwszy inną metodę: robić odwrotnie, czy raczej robić dokładnie to, co ona mi wyrzuca. Być może w takiej grze luster odnajdę w końcu łaskę w jej oczach, a przynajmniej będę źródłem jej złego humoru, to zawsze lepsze, niż być źródłem złej woli. Jej wizja mnie pasowałaby o wiele lepiej do postawy mojego brata, którego ona jakimś cudem usprawiedliwia z wyuczonym kunsztem doktorów prawa, zdolnych wybierać i interpretować teksty na korzyść aktualnie sprawujących władzę. Moja matka zdecydowała raz na zawsze, jakie są jej dzieci, a trudno jest wymazać siebie samego z decyzji podjętej przez własną matkę, o ile nie przestanie się być jej dzieckiem, ale to już inna historia.

Teraz rozmawia z José, patrząc na niego czule. Jej współczujący ton jest jak obelga, a ona wdzięczy się, jakby miała dwadzieścia lat i mogła oczarować byłego męża swojej córki, kiedy tylko skończy się ta imprezka. On gra w jej grę z kokieterią, podnosi okulary, które ona z nieuwagi upuściła, przeciera je swoją koszulą i wkłada jej na nos, „jak za starych dobrych czasów” – słyszę słowa mojej matki. Niedługo będzie miała łzy w oczach, a José wyciągnie swoją chusteczkę. Idiotyczni są ci dwoje,

wykluczający w ten sposób mojego ojca siedzącego na kanapie i pogrążonego w milczeniu – milczeniu, które mieści z pewnością dezaprobatę, ale kto się o tym dowie, skoro nie potwierdzi tego żadne słowo wydostające się z jego ust. Gabriel i Adrien chodzą w tę i z powrotem między obojgiem rodziców z zawiedzioną nadzieją na połączenie ich nie tylko na ten wieczór, ale na resztę dni. Jestem zmuszona się im opierać, oczywiście pełna wyrzutów i złości, które mogą mnie za chwilę rozsadzić.

Bogu dzięki ktoś puka do drzwi. Pierre mnie uratuje, uratuje nas wszystkich od porażki. Z racji tego atmosfera błyskawicznie się rozluźnia. Mój brat: wysoki, uwodzicielski, zabawny, wita się ze wszystkimi, tłumacząc spóźnienie – „Pilny przypadek w ostatniej chwili”. Moja matka go żałuje. Z wirtuozerią, którą musiała zapożyczyć od Jima Carreya, udaje się jej sprawić, że oczy opadają jej jak labradorowi. To porównanie dużo mnie kosztuje z uwagi na miłość, którą czułam do Balou (ze wzajemnością). „Moje biedne kochanie, nawet w niedzielę nie mogą dać ci pięciu minut spokoju, za dużo pracujesz, za dużo dajesz z siebie, trzeba pomyśleć o odpoczynku”. Sekunduję jej tyradzie wewnętrznym „blablablaba i blablablaba”, Pierre mruga do mnie okiem, mój ojciec nie daje się nabrać i uśmiecha się, to momenty naszej rodzinnej jedności: wszyscy troje przeciwko matce, ale w milczeniu. Kiedy Pierre dostrzega José, wypala: „A ty też tutaj?” z naturalnością, która przecina wrzód, wymagając wyjaśnienia, chociaż najmniejszego. José jest tym zmieszany – wreszcie! Wzdycham. „Tak, twoja matka mnie zaprosiła. Sprawilo mi przyjemność uściskanie Régisa, w końcu świętowaliśmy razem jego urodziny czternaście razy, nie mogłem przegapić tej siedemdziesiątki”. Nie, no jasne, wybac, powinnam poczekać do siedemdziesiątki mojego ojca z zostawieniem cię, umknęła mi ta oczywistość: po czternastu latach rozumie się samo przez się, że trzeba świętować urodziny ze wszystkimi, tym bardziej że przedtem trzeba było tam bywać za każdym razem. I przechodzić przez burzliwy seans ubierania dzieci jako obowiązkowy etap, tradycyjne starcie, którego w tym roku sobie oszczędziłam. Dostrzegam jednak, że dzięki matczynej zapobiegliwości i staraniom José jest tylko trochę zmieszany. Pierre odpowiada: „Bardzo dobrze, bardzo dobrze” i szepcze w moją stronę: „W takim razie będzie mógł się dorzucić do prezentu, masz szansę ocalić swój płaszcz”, co wywołuje u mnie uśmiech – ale nie robię sobie złudzeń, najpierw musiałby zapłacić mi alimenty. Tymczasem José korzysta z chwili zamieszania, żeby wyjąć

z torby zapakowany i obszerny prezent, wyprzedzając wszystkich – chcieliśmy zachować niespodziankę dla ojca na deser. „Proszę, Régis, to taka drobnostka, powiedziałbym symboliczna”. Moja matka bierze od niego prezent i stawia go przed swoim mężem, lamentując: „Ale jednak, José, nie trzeba było się tak wykosztowywać, wszyscy wiemy, że to trudny okres... Régis w tym wieku niczego nie potrzebuje!”. Trudny dla kogo? – mam ochotę wrzasnąć. A poza tym, skoro Régis niczego nie potrzebuje, jak twierdzi moja matka, to rzeczywiście na pewno nie potrzebuje kolekcjonerskiej miniaturowej lokomotywy, na którą ojciec moich dzieci musiał wydać fortunę, czyli równowartość stołówki za cały rok szkolny. Mój ojciec wstaje i niezdarnie bierze José w ramiona. To w tym momencie dostrzegam uśmiech José, zwycięski uśmiech zaadresowany do mnie, tylko do mnie. Mam ochotę podeptać ten bezużyteczny i zawadzający przedmiot, ale on kontuuje: „To żeby ci zrekompensować podróż samolotem”. Patrzymy z Pierre’em po sobie, mój ojciec patrzy pytająco. Skąd José mógł wiedzieć, że szykujemy mojemu ojcu podróż, jeżeli nie od matki? A teraz musimy się tłumaczyć. Pierre wyprzedza uderzenie: „Dzięki, José, za puszczenie farby, ale jeżeli to możliwe, tato, żebyśmy podarowali ci nasz prezent w momencie, który s a m i wybierzemy, to byłoby przewspaniale”. Mam ochotę go uściskać, skakać z radości i odsyłam José szeroki uśmiech. Ten nie uznaje się za pokonanego, mimo że przegrał bitwę. Moja matka czuje, że bieg wydarzeń jej się wymyka, więc zaprasza nas wszystkich do stołu.

Bo przez to wszystko mamy trzy kwadransy opóźnienia w stosunku do zwyczajowego planu. Nadrobimy je, połykając bez przeżuwania albo odmawiając herbatki na trawienie. Jeśli o mnie chodzi, to jestem już przy czwartym kieliszku szampana, co nie umyka uwadze mojej matki, która kładzie rękę na butelce, kiedy znów sobie nalewam. Mam ochotę strzelić jej z pięści prosto w pysk, ale „to urodziny taty”, nieprawdaż, postaram się jeszcze trochę, za godzinę będzie po wszystkim. Matka wskazuje nam miejsca, opracowała bowiem plan rozsadzenia gości – na wszystkie etapy po kolei, obecność José przemieszała jej wizytówki. Sadza go obok siebie i z dala ode mnie, co w rzeczywistości powoduje, że stół jest dokładną kopią tego z zeszłego roku, dlatego zastanawiam się, po co matka spędza tyle czasu na rysowaniu na papierze miejsca dla każdego, żeby ostatecznie dojść do tego samego ustawienia. Ojciec i brat siedzą po moich bokach, podczas gdy dzieci są na wyciągnięcie ręki mojej matki i mojego byłego

męża, który podczas posiłku będzie ich nieustannie strofował: „Chłopcy, łokcie”, „Skończ swoją porcję”, czego oczywiście nigdy nie robił u nas w domu i czym wywołuje w mojej matce swoistą satysfakcję, czy nawet przekonanie, że José spędził swoją karierę ojca na toczeniu batalii ze mną, żeby odpowiednio wychować moje dzieci. Jasne jest, że rady wysłuchiwane raz do roku z trudem docierają do ich głów. Drażni ich to, ale się podporządkowują, żeby nie zaszkodzić niesamowitemu zgromadzeniu rodziny w komplecie. Brat podtrzymuje rozmowę, wypytywany przez matkę pochłoniętą szczegółami medycznymi. Ja wpytyuję ojca o jego zajęcia – pracuje jako wolontariusz w stowarzyszeniu byłych kolejarzy, to jego jedyny łyk powietrza w stosunkowo szarej końcówce życia. Matka ma zwyczaj odpowiadać za niego, ale ja stawiam sobie za punkt honoru, żeby nie słuchać jej odpowiedzi i powtarzać pytanie tak, żeby to on i tylko on zdawał mi relację ze swoich dni. Żeby zmienić temat, matka w końcu pyta mnie z powątpiewaniem, czy podpisałam umowę z nowym redaktorem serii. Odpowiadam jej: „Tak”, czeka na ciąg dalszy, ale ja się powstrzymuję. To mój brat mnie prowokuje: „Jaki jest?”. „Wspaniały, uwielbia to, co robię”. „Normalka – mówi moja matka – zarabia na tobie pieniądze”. „Tak, z pewnością, ale on z kolei ryzykuje, dając mi je zarabiać, biorąc pod uwagę wszystkie projekty, które ma dla mnie”. „Podrywa cię”, podsumowuje José. „Tak, zdaje mi się, że tak, przeszkadza to komuś?”

Rozmowa kończy się krępującą ciszą. Moje dzieci ani drgną. Przepraszam je w duchu, później im to wytłumaczę. Nie jestem gotowa na zrobienie im numeru pod tytułem: jakiś mężczyzna w domu... I zdaję sobie sprawę, że nikomu tutaj obecnemu nie mogę zrobić takiego numeru, bo nikt tu obecny by mi na niego nie pozwolił. Poza bratem, oczywiście poza bratem, ale mój brat optuje za prowadzeniem równoległego życia i starannie pilnuje się przed przedstawianiem kogokolwiek rodzicom. Ja potrzebuję przestrzeni, muszę ją zdobywać, niezdarnie, tocząc cichą partyzantkę, zbrojny opór, krew, łzy, muszę chwycić za broń i przeciąć raz na zawsze tę niezdrową pępowinę, która mnie dusi. Ojciec kładzie swoją rękę na mojej, powściągliwie. I dodaje mi sił na dokończenie tego posiłku. Przy deserze mój brat wręcza mu kopertę, którą ojciec rozpakowuje: podróż we dwoje (to perwersyjna część tego prezentu) do Egiptu. Régis wygląda na poruszonego, nawet jeżeli niespodzianka została łaskawie zepsuta przez José: „To za drogo, powariowaliście!”. Chłopcy są już rozkojarzeni, wstajemy wreszcie od stołu, mój brat, przechodząc obok, szepcze do mnie:

„Zatrzymaj sobie płaszcz, przyda ci się do uwodzenia twojego nowego faceta...”. Podnoszę na niego wzrok. „W zamian za to, kiedy będziesz znów iść na zamknięte wyprzedaje, musisz wziąć ze sobą jedną moją przyjaciółkę”. „Z przyjemnością”, odpowiadam, chociaż przysięgam sobie nie postawić tam stopy w tym roku i uprzedziłam moją znajomą dziennikarkę, dysponującą zaproszeniami, żeby nawet nie próbowała mnie kusić. Ale dla niego oczywiście mogę to zrobić, uratował mnie dzisiaj dwa razy.

Jako że wieczór dobiega końca, José proponuje, że odwiezie mnie i dzieciaki. Zanim chłopcy rzucą się na tę okazję, odmawiam, wolę zapłacić za taksówkę, niż wsiadać do naszego starego samochodu. „To żaden kłopot” – nalega José. „Tak przecież byłoby łatwiej!” – ekscytuje się moja matka. Pierre po raz trzeci się wtrąca: „Ja ich zabiorę, nie martwcie się. Tak się umówiliśmy”. José przesyła mu mroczne spojrzenie. Schodzimy wszyscy razem. Na schodach José proponuje Adrienowi: „Nie chcesz jechać ze mną? Odstawię cię przy ulicy La Santé, nie nadłożymy tak bardzo drogi”. Ale Adrien nie ma odwagi się odłączyć, więc ja interweniuję: „Nie, jutro ma szkołę. Wracamy wszyscy razem, dawno już nie widział wujka”. José ostatecznie odpuszcza: „OK, nie ma problemu. Chłopcy, widzimy się we wtorek”, potem do mnie, już innym tonem: „Zabierz ich o osiemnastej, nie o osiemnastej trzydzieści”. Po tych słowach się rozstajemy. Żadnego pożegnania. Dzieci w samochodzie są smutne, ale zaczynają przysypiać. W końcu mogę porozmawiać z bratem zupełnie spokojnie. „No więc, to prawda z tym redaktorem serii?” Uciekam się do półprawd, zadowolona z odzyskania mojego płaszcza: „Nie, to znaczy w sumie to nie wiem. Być może ma mnie całkiem w poważaniu, ale jednak podpisuje ze mną umowę”. „Szkoda, ale powiedziałaś wyraźnie b y ć m o ż e?” „Muszę uważać na mieszanie pracy i uczuć”, co jest absolutną nieprawdą, przynajmniej nigdy nie narzucałam sobie zasady postępowania w tym stylu, okazja pomieszania tych dwóch gatunków nigdy się nie pojawiła. Zasady czy nie, nadejdzie pora, żeby się z tym zmierzyć: „W zasadzie myślę, że mi się podoba”. Mój brat kładzie mi rękę na udzie, uśmiechając się: „Humhum! A on?”. „Wydaje mi się, że też mu się podobam i jednocześnie wolałabym myśleć inaczej”. „Przestań, Joséphine, to już nie pora na myślenie! Wchodzisz w to, koniec i kropka!” Ale ja wolę na razie zmienić temat, obiecuję mu okolicznościową relację z tego, co nie jest jeszcze historią – gdyby okazało się, że dzieci nie do końca śpią – i kieruję

rozmowę na naszych rodziców. Wreszcie mogę uwolnić wściekłość, która trzymała mnie przez cały wieczór. Podsumowujemy: „Biedny tata!”. Proponuję bratu wejście na górę na jeden kieliszek, ale z pewnością czeka na niego w domu jakaś młoda kobieta. „No już, Józefinko, odwagi! Jestem na miejscu w razie czego”. „Wiem o tym”. Dobrze jest mieć brata.

Budzę Adriana, żeby wysiadł z samochodu, i niosę Gabriela aż do jego łóżka, rozbieram obydwu chłopców, przykrywam i całuję każdego w czoło. Potem robię obchód po kuchni, żeby przyjrzeć się klęsce pod postacią mojej szkieletorowatej zmywarki, z odrobiną nadziei na to, że w ciągu wieczoru przymocowano do niej drzwi. Ale urządzenia są równie wierne jak rodziny, żadnego zaskoczenia, zawsze wydarza się to, co najgorsze. Jutro powinny dotrzeć nowe drzwi. Jutro, tak.

DZIEŃ 11

Od oczekiwania do działania, kronika zapowiedzianej śmierci

Kiedy budzę się po kilku godzinach snu, towarzyszy mi dziwna radość. Chłopcy już wstali, sami nalali sobie soku i posmarowali masłem mleczne bułeczki. „Czekaliśmy z budzeniem ciebie do siódmej trzydzieści”. Całuję ich ciepłe policzki, poruszona takim pokazem niezależności: to teraz mali mężczyźni. Mężczyźni in spe. Którzy pozwalają mamie spać, żeby wypoczęła. Którzy sami sobie szykują jedzenie. Którzy zajmują się swoją matką przez zajmowanie się samymi sobą, ale którzy zajmując się nią, jednocześnie się od niej odłączają. Którzy sprzątaję w domu, bo to ich dom. Nabrali takiego zwyczaju bez dodatkowej motywacji z mojej strony. Miałam władzę nad przedmiotami, dopóki byłam jedyną, która ich używa, władzę nad naturą i nad światem, do którego byłam wrotami wejściowymi. Teraz ten świat stoi przed nimi otworem. A ten świat to również nasz dom. Po raz pierwszy mam poczucie pewności: dom należy do nas trojga, to miejsce także ich życia i dorastania, życia, które z ich strony zaczyna mi się wymykać, ale które oni wiążą z moim, nie zadając sobie pytań, bo jestem ich matką, nawet jeżeli rozstałam się z ich ojcem, nawet jeżeli czasem zaliczam porażki, nawet jeżeli jestem pochłonięta sprawami, które ich nie dotyczą. Opuściliśmy bardziej przestronne czteropokojowe mieszkanie, gdzie chłopcy wyrosli, gdzie ich dzieciństwo rozpościerało się, jednocześnie przemijając w nieruchomej czasoprzestrzeni, w fikcji naszej rodziny, która jednak dla nich była granicami świata. Mieszkanie, w którym czasem przyjmowało się przyjaciół, ale też widywało kłótnie rodziców, odczuwało nieobecność ojca: chociaż przecież tam był, poprzez swoje ubrania, papiery, długopisy walające się po komodzie, płaszcz powieszony przy wejściu, filiżankę po kawie w zlewie. Jego obecność nie była kwestionowana, bo jego miejsce było trwałe. Dla mnie to miejsce było coraz bardziej puste, ale dla nich? Były rodzinne kolacje, które pamiętają, i śniadania we czwórkę, nawet jeżeli pod sam koniec zdarzały się rzadziej. Były wyjazdy na wakacje, wszyscy zamknięci w jednym samochodzie, CD

wsuwane jedno po drugim, autostrady przemierzane na liczeniu białych i czerwonych samochodów, przyglądaniu się krajobrazowi zmieniającemu się niedostrzegalnie, niezastąpionemu krajobrazowi ich dzieciństwa, który dziś jest zapisany we wspomnieniach. Teraz mają dostęp do wspomnień. I do czasu, który już nie wróci. Do nieodwracalności wciąż trochę niejasnej, bo ich rodzice jeszcze się do niej nie przyznali, czy może jedno z ich rodziców, a drugiemu nie udaje się przerwać wszystkiego, zerwać z fikcją zupełnie, przejść do kolejnej sceny, spuścić kurtynę.

Dziś są tutaj, w swoim nowym mieszkaniu, robią sobie kanapki z mlecznych bułeczek, które sami sobie wyjęli ze spiżarki, wchodząc na krzesło postawione przy meblu, żeby sięgnąć do półki za wysokiej dla nich. Otworzyli lodówkę, wyjęli z niej butelki z sokiem, postawili sobie szklanki na stole, wykonali naturalne ruchy, ruchy przystosowania i ruchy dorosłych jednocześnie. Już nie zadają sobie pytania o swoje miejsce, podczas gdy ja wciąż czuję się w tej kwestii niepewnie. To oni uzasadniają moją obecność. Czynią naszą przestrzeń żywą, czynią naszą przestrzeń naprawdę naszą. Wzięli się do rozpoczynania od nowa.

Nagle pojawia się w mojej głowie pytanie: komu mogłabym pozwolić wejść do naszej jamy, naszej równowagi, naszych nowych przyzwyczajzeń, które jednak chciałabym trzymać z daleka od wszelkich form niestabilności? Czy starczy mi odwagi, żeby ponownie zachwiać równowagą naszego trzyosobowego życia, ich osadzonym dziś światem, który pozostaje ich centrum uwagi, pomimo kolegów, zajęć, projektów, sekretnych myśli? Czy odważę się wprowadzić kogoś innego między naszą lodówkę a spiżarkę, przechowywać piwo obok soku, pozwolić, by męski płaszcz zwisał z wieszaka zajmowanego przez nasze okrycia, wieszaka, który wystarcza dokładnie na jedną kobiecą marynarkę i dwie małe kanadyjki? Przesunąć ich szczoteczki do zębów, żeby zrobić miejsce dla jednej, większej, posprzątać zabawki z wanny, dołożyć do szafki z lekarstwami maszynkę i krem do golenia? Mieszać ich slipy i brudne skarpetki z długimi bokserkami? Zabraniać im wstępu do mojego pokoju, kiedy w nim śpię?

Odkładam ten lekki niepokój na później. W głębi jednak coś mnie uwiera. Czy jeżeli oddam skrawek przestrzeni należący do naszej trójki, jeżeli wykuję szczelinę, to nie pogrzebię wtedy ich dzieciństwa? Ja, która już utworzyłam w nim wyrwę? Moją jedyną pewnością jest bycie matką, cała reszta to tylko wątpliwość, rozczarowanie, fałszywe nadzieje. Nic mnie

w tej chwili nie zmusza, żebym zdecydowała się zachwiać czymkolwiek. Siadam obok Gabriela, stawiam przed sobą filiżankę z herbatą i robię sobie kanapkę. Wciąż uwięziona w nastroju tego poranka, nie odpowiadam na SMS-a od Émile'a Berthot, który prosi mnie o jakąś datę. Jasne, zapracowałam sobie na to przedwczoraj, odpowiadając jeden po drugim na jego wiadomości, tkając kruche, ale porywające uczucie. Muszę jednak postawić sprawy jasno, wycofać się z gry, pomyśleć o konsekwencjach, zabarykadować się w środku, zamknąć drzwi i okna, i sprawdzić, czy będzie się tak dało oddychać.

Koło południa nie dają już rady, odpalam telefon. Czekają na mnie trzy wiadomości. Jedna od José, dwie pozostałe od Émile'a. Poświęcam się najpierw tym dwóm z pokusą, żeby wykasować tę od José, nawet jej nie czytając. „Mój weekend był tyle trudny, ile wspaniały, tęsknię już”. „Halo? Jesteś tam?” Niepokój mężczyzny niepewnego, że posiadzie obiecaną kobietę, niepokój mężczyzny w obliczu milczenia. Napawam się nim przez dwie sekundy, po czym odpowiadam: „Jestem!”. Tym razem to do niego należy nie odpowiadać. Moje ruchy stają się bardziej nerwowe, dlaczego nie skorzystałam z tego dnia, żeby złapać dystans do niecierpliwości, o której domyślałam się, że będzie częścią tej ledwo rozpoczętej relacji, mogącej równie dobrze zatrzymać się na tym etapie. Moje zagadkowe „Jestem!”, bo gdzie właściwie jestem, jeżeli nie tutaj, żeby odpowiedzieć, gdzieś tutaj i byle gdzie, na drugim końcu nici utkanej wirtualnie przez magię telefonii komórkowej? Tymczasem świat wirtualny przybrał szaty realu, a ja jestem rzeczywiście przywiązana. Może i swobodna w ruchach, niemniej jednak oddana temu przedmiotowi jak kiedyś, gdy oczekiwałam na sygnał od mojego pierwszego kochanka, siedząc przy telefonie; zabraniałam sobie wyjścia do toalety albo do sklepu po pieczywo. Zabraniałam sobie zniknąć choćby na chwilę, bo on nieuchronnie wybrałby akurat ją, żeby do mnie zadzwonić. Moje ciało nie jest już przykręcone do telefonu, to telefon jest przykręcony do mojego ciała, a przestrzeń jest obojętna, bo liczy się tylko jedna rzecz: jego głos.

Jak na razie mój umysł jest gdzie indziej, to znaczy nigdzie, w tej rakotwórczej i niewidzialnej sieci, gdzie każde słowo może zostać uchwycone w locie, nawet jeżeli pada w odległości kilku kilometrów. Wciąż jednak te słowa trzeba wypowiedzieć albo napisać, krótko mówiąc: sformułować, żeby zapewnić, że jesteśmy razem, nawet oddzielnie, w zapewnieniu o myśli tego drugiego. Przez chwilę jestem w stanie opierać

się tylko na domysłach: Co robi? Kolacja? Spotkanie służbowe? Kobieta? Moje serce się buntuje, a zazdrość już się wślizguje, wirtualna, a jednak bardzo rzeczywista, zważywszy na stan moich nerwów. Opieram się jeszcze kilka minut, po czym wysyłam kolejną wiadomość. Mogłabym związać sobie ręce, przykuć je do łóżka, pokaleczyć sobie koniuszki palców, aby uniknąć jakiegokolwiek pośpiechu, ale nie mam siły ani chęci. „Halo, jesteś tam?” – pytam go, żeby przyozdobić moją wiadomość odrobiną ironii, w końcu powtórzyłam po prostu jego własne słowa, maskując niebezpieczne nadejście paniki podszytej złością – marni to doradcy, jeżeli miałabym oceniać po własnym doświadczeniu.

Teraźniejszość, w której się wpadłam od chwili mojego rozstania, ustąpiła miejsca doraźności, jedna przechodzi w drugą w taki sposób, żeby żaden wątek nie miał możliwości się zadomowić. Czy uda mi się ponownie wejść w inny wymiar czasu? Czy mojej przestrzeni już na zawsze będą nadawać rytm wyjścia do szkoły, moje własne zajęcia na uczelni, jeżdżenie w tę i z powrotem metrem, zakupy i wieczorne posiłki? Ta powtarzalność dni niezakłócona żadnym spotkaniem, oczekiwaniem na nie, spotykaniem się, potem żałowaniem spotkania. Być może czas definitywnie opuścił moje życie, a głęboki chaos walczy z rytuałem, z nieokreślonym zapętleniem teraźniejszości. Być może moje życie jest skończone, zanim się tak naprawdę zaczęło, albo wciąż za bardzo boję się życia, w którym wydarzenie pojawia się nie w porę i niewywoływane przeze mnie. Być może mój grafik, mój kierat są właśnie w trakcie eksplozji, ale w takim razie w kierunku czego, jeżeli nie w kierunku rozpadu na cząsteczki mnie samej?

I podczas gdy nurzam się w tych niezgłębionych rozważaniach, wibruje mi telefon. To Émile Berthot. Odpowiada na moje telepatyczne wezwanie, odpowiada na wezwanie mojego ciała, w którym pozostawił pustkę, pustkę, która karmi pożądanie, ziejącą jamę, usta, które trzeba nakarmić: wystarczyło jeden raz obudzić moje uśpione zmysły i stać na baczność, tak jak byłemu alkoholikowi wystarczy jeden kieliszek wina, żeby znów popłynąć. Pozwalam, żeby dzwonek rozbrzmiał dwa razy, potrzebuję tego czasu na uspokojenie oddechu, ułożenie głosu, ale ułożenie nie ma już dłużej racji bytu, chcę miejsca, godziny, chcę natychmiastowego zapewnienia, że moja chęć nie zostanie pozostawiona sama sobie, że kobieta nie zostanie porzucona, raz jeszcze, przez niego, przeze mnie, przez żądzę ciała, które sprawia, że żyję. Odbieram. Słyszac jego głos, dociera do

mnie, że nie chcę też nic mówić, tylko czuć, dać się głaskać, dać się spenetrować, żeby jego słowa były obietnicą, nic więcej. Ale Émile Berthot jest także nowym redaktorem mojej serii. I muszę oddać mu tekst, żeby móc pojechać z tatą do Limoges. Limoges czy hotel teraz zaraz? Dłuższa czy krótsza perspektywa? Nostalgiczna przeszłość mojego ojca czy mój żołądek, który się ściska? „Joséphine? Halo? Jesteś tam?” Zasada przyjemności, zasada rzeczywistości, słyszę mojego wykładowcę z czasów studiów, który tłumaczył nam różnicę, ale dla mnie zasada przyjemności opiera się na zasadzie rzeczywistości: gdzie i kiedy? „Joséphine?” „Tak, to ja”.

Pół godziny później nie jestem wcale w trakcie poprawiania moich pierwszych trzydziestu stron ani w trakcie kończenia rozdziału o koalicionoszu, tylko w kuchni – nie potrafiliśmy dojść do pokoju, siedzę na stole, z wessanym językiem, plecami zroszonymi potem, jego palce we mnie, wilgotna, chwytam się, drapię, zapominam oddychać, zapominam. Dopiero potem lustruję pomieszczenie. Butelki po piwie walają się wszędzie po trochu, popielniczki są pełne, brudne naczynia piętrzą się w zlewie. Wchodzę do pokoju, jest doskonale uporządkowany. „Nie spałeś tu?” „Oczywiście, że spałem, dlaczego pytasz?” Nie odpowiadam i kontynuuję wizytację. W równie perfekcyjnej łazience kilka szczoteczek do zębów, ale żadnego kremu do twarzy ani kosmetyków. Wracam do kuchni, gdzie Émile przyrządza mi kawę, i przyglądam mu się podejrzliwie. „Przepraszam za bałagan, podejmowałem wczoraj autora z Kanady. Kolacja trochę się przeciągnęła, nie miałem czasu posprzątać”. „Nie jestem w stanie zdecydować, czy jesteś maniakiem, czy bałaganiarzem”. „Jeżeli miałbym wybierać, to przyznaję, że wolę porządek”. „Sam sobie ścielisz łóżko?” „Tak, ale sprzątaczką powinna za chwilę przyjść”. Wszędzie są książki, płyty CD, przeglądam je z niejaką obawą. Ale chociaż uważnie szukam, nie znajduję b ł ę d u. Pod literą G rozciąga się cała kolekcja wielkiego Serge’a. Zaskakuje mnie moja własna radość z tego powodu. „Mogę?” Przygląda mi się od pewnego czasu, z niewyraźnym uśmiechem na twarzy. „Ależ proszę”. Wrzucam do odtwarzacza *Melody Nelson* i zaczynam delikatnie poruszać biodrami, zaskakując samą siebie łatwością, z jaką udaje mi się rozkręcić. Ja, która myślałam, że nigdy już nie potrafię wystawić się na spojrzenia, ani stać się widzialna – czy kiedykolwiek taka byłam? Czuję na sobie jego wzrok i budzi się we mnie pożądanie. On zbliża się i całuje mnie, delikatniej niż przed chwilą. Przytula się do mnie, pieści

moje plecy i kładzie mnie na dywanie przed kominkiem wciąż ciepłym od wczorajszego żaru. Mamy czas, żeby poświęcić uwagę każdemu z naszych gestów. Mamy czas, żeby na siebie patrzeć. Coś we mnie topnieje, oczy Émile'a mętnieją, wciąż opieram się erupcji uczucia, ale przyjemność nadchodzi, gwałtowana i niszczycielska. Pozostawia nas zadyszanych.

Nie chcę przechodzić z jednej zależności w drugą. Ale dlaczego nie? Jest za wcześnie, żeby cokolwiek sobie obiecywać, obietnica zgasiłaby rozkosz niepokoju. To jednak ona wypływa na powierzchnię, kiedy wychodzę od Émile'a Berthot. Bo tam, gdzie nie ma obietnicy, jest oczekiwanie. Samotność. I wciąż pożądanie. Zaspokajanie go daje tyle, że przychodzi się po jeszcze. Tam gdzie nie ma obietnicy, jestem ja, pokierszowana, krucha, drżąca i przerażona.

Kiedy wracam do domu, José stoi pod drzwiami. Ta niespodzianka wytrąca mnie z równowagi, ale w innych kwestiach zyskałam pewność. José wydaje się to dostrzegać. Coś się zmieniło w tym, jak na niego patrzę, albo jak na niego nie patrzę, po prostu się z nim witam, bez jakiegokolwiek napięcia zmieniającego ton mojego głosu, jak nie zadaję mu pytań, jak wpuszczam go, jak gdyby był przyjacielem z dawnych lat, jak oferuję mu kawę. Przemierza za mną przedpokój, zbliża się i zdaje się mnie wachać. Odwracam się gwałtownie, urażona jego zachowaniem drapieżcy. Wyczuł krew. José zna mój zapach, ta krew, która paruje, tej nie zna. Krew go podnieca, przyciąga, drapieżnik rozrywa to, co już krwawi, przywłaszcza sobie to, co zostało zranione gdzieś indziej. Drapieżnik chce tę ranę uczynić swoją własną, aż do zabicia ofiary. Odrywam się od niego, przyspieszając kroku. Chwyta mnie za nadgarstek. „Skąd wracasz?” „Podpisaliśmy kontrakt zastrzegający, że mam ci opowiadać swoje życie?” „Jesteś matką moich dzieci i nie pozwolę ci się skurwić”. Świetnie, skoro chce, możemy skierować dyskusję na ten teren, ale gwałtowność jego tonu nie pozwala mi na spokój. „Czego chcesz?” „Chcę porozmawiać o dzieciach”. „A co takiego chcesz mi powiedzieć w t e m a c i e d z i e c i?” „Weekend mi nie wystarcza. Chcę się nimi zajmować na zmianę”. Przyjmuję cios i przeczekuję, szykując dwie kawy. Rośnie we mnie gniew: jestem przekonana, że nie przyszedł w tym celu, że ten ostatni kaprys narodził się w wyniku impulsu. José wie, jak mnie pogrążyć: moje dzieci. Nie może tknąć moich dzieci. Są moje. „Zajmować się na zmianę? Dlaczego?” „Bo tego chcę”. „A jeżeli ja tego nie chcę?” „To sąd o tym zdecyduje”. Patrzę mu prosto w oczy: „Więc chcesz wojny?” „Chcę sprawiedliwości”.

„O jakiej sprawiedliwości mówimy? Od kiedy to zajmujesz się dziećmi? Od kiedy cię to interesuje?” „Od kiedy za dużo pijesz, od kiedy nie jesteś w stanie zarządzać swoimi pieniędzmi, zarządzać swoim życiem, od kiedy kupujesz, przepłacając zepsute zmywarki za pieniądze, które ci dają...” „...których nie dajesz mi już od pół roku”. „...od kiedy się puszczasz”. O to dokładnie chodzi. Zapach krwi. „Nie puszczam się”. „Nie chcę wiedzieć, kiedy i z kim sypiasz, chcę tylko zabrać swoje dzieci. Chłopcy potrzebują ojca. I nie zamierzam pozwolić, żeby zastąpił mnie pierwszy lepszy burak”. „Nikt cię nie zastępuje ani nie zastąpi, jeżeli tego się boisz. Jesteś ich ojcem”. „Częściej widują się z twoimi histerycznymi koleżankami niż ze mną”. „Moje histeryczne koleżanki nigdy nie udawały, że pełnią rolę ich ojca”. José patrzy na mnie z nienawiścią, jego ciało jest o dwa palce od mojego, równie dobrze mógłby mnie zabić albo pocałować. „Chcę ich, koniec i kropka”. Odsuwam się od niego, żeby uniknąć obu ewentualności. „Świetnie. Więc pójdziemy do sądu”.

Spokój mojej odpowiedzi zaskakuje nas oboje. José dał się złapać we własne sidła, groźba odwraca się przeciwko niemu: „I nie licz więcej na to, że zrobię ci jakikolwiek prezent”, mówię z siłą, której nie znałam. José w tej chwili właśnie zerwał nasz pakt. Wie o tym, że właśnie teraz się rozstaliśmy. Ale mimo wszystko nie wycofa się, będzie toczył bitwę do końca – woli mnie zniszczyć, niż zwrócić mi wolność. Chciałabym, żeby umarł. Ale śmierć jest prostym rozwiązaniem. Po raz pierwszy godzę się na prawdziwy konflikt, niemożliwy konflikt z samą sobą: walczyć o siebie, podczas gdy zawsze walczyłam o i n n y c h p r z e c i w k o s o b i e. Ale teraz ta „ja”, przeciwko której walczyłam, zaczęła żyć – czuję, jak buzuje mi między udami. Nie potrzebuję już Kanta ani moich koali, ani mojego brata, ani moich przekonań, ani nawet José, jego nienawiści albo jego miłości, co koniec końców sprowadza się do tego samego. Broniąc moich dzieci, to samą siebie powołam do życia. José się cofa, jakby z mojego ciała emanowało parzące gorąco. Potyka się o mebel, który sam zmontował, po czym dociera do drzwi. „I zabierz tę komodę, zajmuje za dużo miejsca”.

José nie zabiera komody. Nigdy jej nie zabierze.

Kiedy już sobie poszedł, idę poszukać piły, opróżniam szuflady z niepotrzebnych przedmiotów, które się tam nazbierały przez tygodnie, i starannie tnę na kawałki ten paskudny mebel. To trudne ćwiczenie powoduje, że jestem złana potem. Korzystam z przerwy, żeby podłączyć iPhone'a do głośników, i puszczam Johnny'ego Casha – czyżby śmierć jego

brata przeciętego na pół piłą tartaczną miała jakikolwiek związek z moim wyborem? Po jakichś dwóch godzinach wejście do mojego mieszkania jest uwalone wiórami, nierównymi kawałkami drewna i desek. Mam rozczochrane włosy i jestem czerwona na twarzy. Zbliża się pora przyjścia dzieci. Chwytam za miotłę i wpycham wszystko do wielkiego worka na śmieci, który chowam do szafy, do której chłopcy nigdy nie zagląдают. Przed wyjściem po nich przywracam włosy do ładu i myję twarz w ramach dbania o siebie. Chcę im zapewnić wieczór absolutnie podobny do pozostałych. Tylko więźniowie z naprzeciwka mogliby poświadczyć o mojej zbrodni, ale oni akurat nie będą mieli takiej możliwości przez długie lata. Z braku czasu nie myślę o niczym innym niż moje zakwasy, i usatysfakcjonowana z prawie zakończonej pracy, rozmyślam, czy ostatecznie nie zajmę się jakiś sportem. Zасыpiam prawie w tej samej chwili co maluchy, po przeczytaniu im *Moja matka jest wszędzie* Nathalie Kuperman i głaskaniu po włosach, dopóki nie zasną, chroniąc ich poprzez swoją obecność, swoją miłość, chroniąc ich przed innymi, przed ojcem, przed światem zewnętrznym, chroniąc samą siebie, owijając ich magiczną siłą, na której zesłaniu skupiły się wszystkie zasoby mojego ducha. Podchodzę do okna i odmawiam modlitwę pod adresem mieszkańców z naprzeciwka, modlitwę, która przypomina pożegnanie. Was też opuszczam, postanowiłam się uwolnić, ale dziękuję wam za te wszystkie miesiące w waszym towarzystwie. Trzeba umieć się rozstawać, prawda? Nie miejcie mi tego za złe.

To był dzień wyczerpujący fizycznie, zasypiam w mig, śpię całą noc, co nie zdarzyło mi się już od dawna.

DZIEŃ 12

Karawan i apoteoza

Po odstawieniu dzieci do szkoły zasiadam ze ślepym uporem z powrotem do pisania ostatniego rozdziału, w oczekiwaniu na południe, kiedy będę mogła zabrać się spokojnie do różnych zadań przewidzianych na dziś. W południe dzwonię do Anne poprosić ją o numer do jakiegoś adwokata. Anne ma wśród przyjaciół samych rozwodników, chorych albo niedoszłych samobójców, jest dość pokaźnym bankiem danych we wszystkim, co dotyczy psychologów wszelkiego rodzaju, lekarzy, specjalistów, instytucji i adwokatów. José słusznie się obawia. Po zanotowaniu wszystkich numerów, wybieram ten przypisany do adresu najbliższej mnie. Umawiamy spotkanie, mam zabrać ze sobą określone dokumenty. Gromadzę je, zapisując, czego mi brakuje, i wysyłając mailem wnioski o wyrobienie odpisów. Po zakończeniu formalności wysyłam SMS-a do Émile'a: „Dziś wieczór, kolacja u ciebie, zadbam o jedzenie i nastrój”. Zostawię dzieci z Aichą. Émile zwleka trochę z odpowiedzią, ale to mnie nie wzburza. Po południu dostaję wiadomość: „Udało mi się odwołać koktajl w wydawnictwie, spotkanie o 20, zajmę się winem”.

Napuszczam sobie wodę na kąpiel, rzadki wypadek w środku popołudnia, długo myję głowę, golę włoski kielkujące na moich nogach i pod pachami, smaruję ciało perfumowaną oliwką, którą dostałam przy okazji salonu literatury młodzieżowej, pojęcia nie mam dlaczego, i której nie miałam okazji użyć aż do teraz. Starannie wybieram ubranie, ale bez poświęcania na to całej godziny, czarne dżinsy, T-shirt w cętki, sweterek o klasycznej fakturze, którego i tak nie będę mieć na sobie długo. Wkładam buty na wysokim obcasie, z nieznaną dotychczas sprawnością, po czym wychodzę zrobić zakupy na kolację we włoskich delikatesach, przed którymi zasadniczo staram się nie przechodzić, żeby mnie nie kusiło. Po powrocie do domu nie otwieram żadnej butelki, wypalam tylko jednego papierosa, nie biorę ani jednego xanaxu, słucham Neila Younga i zamawiam taksówkę.

Operacja, która teraz nastąpi, może być delikatna, tak więc zmieniam moje szpilki na stare adidas, starannie pakując te pierwsze do torebki. Ciągnę worek na śmieci aż do windy i idę zabrać płaszcz, który włożę dopiero po przyjeździe, żeby się teraz nie spocić. Taksówkarz dziwi się na widok mojego nieforemnego i absurdalnie ciężkiego worka. „To trup”, oświadczam mu poważnie. Patrzy na mnie dziwnie, ale zanosi worek do bagażnika, który następnie gwałtownie zamyka. Podczas jazdy widzę, jak jego spojrzenie w lusterku pada na mnie, uśmiecham się do niego, ale to wydaje się niewystarczające, żeby skłonić go do opuszczenia gardy. Płacę za kurs i dorzucam napiwek, żeby pomógł mi zanieść worek aż do holu. Kamienica Émile’a Berthot na szczęście również jest wyposażona w windę. Naciskam na piątę, poprawiam fryzurę w lustrze. Wjeżdżam na górę, wyciągam za sobą plastik, który zaczyna się rwać w różnych miejscach, i dzwonię. Émile Berthot również wydaje się mieć za sobą przygotowania do wielkiego rytuału miłości. Ładnie pachnie, włożył świeżą koszulę, uczesał się. Nagle czujemy się onieśmieleni oficjalną formą tego spotkania. Butelka wina czeka otwarta na stole, w towarzystwie dwóch dużych kieliszków z nóżką. Zauważam, że nie zaczął beze mnie, co ja bez wątpienia zrobiłabym na jego miejscu. Kładę papierową torbę z włoskich delikatesów na stole i cofam się do wejścia, podczas gdy on zajmuje się przełożeniem anitpasti na talerze. Z trudnością przesuwam mój nieforemny worek aż pod kominek. Émile dołącza do mnie zaciekawiony.

„Dziś wieczorem rozpalimy sobie ogień radości”. Émile Berthot przygląda się wiórom, które zostawiam na swojej drodze jak ślimak mokry ślad, z uśmiechem, który wkrótce przeradza się w szaleńczy śmiech. „Daj mi jakąś miotłę”, rozkazuję mu. Wykonuje polecenie, wciąż się śmiejąc, co staje się zaraźliwe. Wrzucam resztki do kominka i tworzę piramidę z drewnienek. Drzazga wbija mi się w palec wskazujący. Émile bierze go do ręki, ssie, wysuwam go z jego dłoni, żeby wziąć pudełko zapalek z obudowy kominka, zapalić zapalną i podpalić stare gazety, które starannie wsunęłam pod spód tej wyszukanej budowli. Pojawia się wysoki płomień, obejmując całość paleniska. Jesteśmy naprzeciwko siebie. On chwytą z powrotem za mój palec i przeciąga nim po swojej twarzy. Nie pójdziemy do łóżka, dopóki ogień całkiem się nie wypali.

Podziękowania

Dziękuję Astor za imiona Pokemonów, dziękuję Véronice, Fanny, Sophie, Ilouce, Anne i Dominique, moim wiernym i oddanym przyjaciółkom.

Dziękuję Samowi, mojemu specjalnemu doradcy.

Dziękuję Noémie i Betty, jak zwykle.

Przypisy

[1] Instytucja kultury z siedzibą w Paryżu, powołana do promocji i organizowania wydarzeń muzycznych, otwarta w 1995 r. (przyp. tłum.).

[2] W 1992 r., podczas piłkarskiego meczu półfinałowego Pucharu Francji, rozgrywanego w korsykańskim mieście Furiani, zawałała się jedna z trybun stadionu. W wypadku zginęło 18 osób, a 2357 zostało rannych.

[3] Biedna Melody Nelson, miała w sobie miłość, o tak, miała pełno miłości... / ...ale jej dni były policzone, czternaście jesieni i piętnaście lat.

[4] Och! Moja Melody. Melody Nelson, moja mała słodka idiotka.

[5] Byłaś warunkiem sine qua non mojego istnienia.

[6] *Charlotte, Charlotte forever...* – na zawsze w moim sercu. / Miej dla mnie litość, serduszko, Charlotte, Charlotte forever, wygrałaś, tonę we łzach.